

★ James Reasoner ★

# REWOLWEROWCY

NAJSŁYNNIEJSZE STRZELANINY  
DZIKIEGO ZACHODU



Doc Holliday ★ Wyatt Earp ★ Jesse James  
Bat Masterson ★ „Dziki Bill” Hickok ★ Billy Kid  
Gang Daltonów ★ Agencja Pinkertona

Wydawnictwo Astra

★ James Reasoner ★

# REWOLWEROWCY

NAJSŁYNNIEJSZE STRZELANINY  
DZIKIEGO ZACHODU

Przekład

Iwona Michałowska-Gabrych

Wydawnictwo Zestra

*Dla Livii, Shayny i Joanny*

# Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

DEDYKACJA

PODZIĘKOWANIA

## CZEŚĆ I - JEDEN NA JEDNEGO

1. POJEDYNEK POD BIAŁYM SŁONIEM

2. KRES WARRENA EARPA

3. OSTATNIA WALKA DOCA

4. STRZELANINA W SALONIE LONG BRANCH

5. STRZELANINA W TANCBUDZIE TUTTLE'A

6. LEVY, NIEDOCENIANY REWOLWEROWIEC

7. POJMANIE

## CZEŚĆ II - BANDY

1. WOJNA O STOLICĘ HRABSTWA

2. OSTATNIA AKCJA DALTONÓW

3. BAT MASTERSON I BITWA NA PLACU

4. YOUNGEROWIE KONTRA AGENCI PINKERTONA

5. KONIEC DOBREJ PASSY BANDY SAMA BASSA

## CZEŚĆ III - POŚCIGI

1. POŚCIG W DIABLO CANYON

2. NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY PRZESTĘPCA KALIFORNII

3. STRZELANINA W KAMIENNYM KORRALU

4. BANDA DOOLINA KONTRA MARSHALE FEDERALNI

## CZEŚĆ IV - NAPADY

1. NIEUDANY NAPAD NA BANK

2. POJMANIE „CZARNEGO JACKA” KETCHUMA

3. KRÓL NAPADÓW NA BANKI

4. SZWINDEL W EXPRESS COMPANY

## CZEŚĆ V - STRZAŁY W PLECY

1. CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ ZABÓJCĘ JESSEGO JAMESA
2. UPEWNIJ SIĘ, ŻE NIE ŻYJE!
3. TAJEMNICZA ŚMIERĆ PATA GARRETTA
4. ZASŁUŻONY KONIEC JOHNA WESLEYA HARDINA
5. BEN THOMPSON I ZASADZKA W VAUDEVILLE

#### CZĘŚĆ VI - WPADKI I POMYŁKI


1. TO NIE BYŁ CLAY ALLISON
2. TRAGICZNA POMYŁKA „DZIKIEGO BILLA”
3. PECHOWY NAPAD ROURKE'A
4. NOWOROCZNA STRZELANINA W WICHICIE
5. OSTATNIA WALKA MILLERA I FRAZERA
6. KULĄ W KULĘ

#### BIBLIOGRAFIA

#### O AUTORZE

#### PRZYPISY

# PODZIĘKOWANIA

d ponad dwóch dekad snuję opowieści o amerykańskim Zachodzie. Choć wielu z nich starałem się zapewnić solidną bazę historyczną, w ostatecznym rozrachunku są to jednak dzieła fikcyjne. W niniejszej książce zawarłem natomiast zdarzenia autentyczne, przedstawione z możliwie największą dokładnością i ozdobione wiarygodnymi - moim zdaniem - spekulacjami na temat myśli i emocji osób biorących w nich udział. Bo to ludzie znajdują się w sercu każdej opowieści - czy to rzeczywistej, czy zmyślonej.

Mam nadzieję, że przedstawiłem te niezwykle postacie w sprawiedliwym świetle. Taki przynajmniej był mój zamiar.

Wiele zawdzięczam Kimberly Lionetti, świetnej redaktorce, która od samego początku zaangażowała się w ten projekt. Specjalne podziękowania kieruję w stronę L.J. Washburn, która wykonała lwią część researchu i połączyła tę opowieść w jedną całość... a która w rzeczywistym świecie jest moją uroczą żoną Livią. Muszę również podziękować wielu dobrym pisarzom i historykom, którzy skrupulatnie spisali historię Dzikiego Zachodu. Ta książka nie powstałaby, gdyby nie wytyczone przez nich ścieżki.

Zawsze uważałem się przede wszystkim za gawędziarza. Mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że snute przeze mnie opowieści przypadną ci do gustu.

James Reasoner



CZĘŚĆ PIERWSZA



# JEDEN NA JEDNEGO

---

*Idź po broń. Rozstrzygniemy to w walce*

— Warren Earp







## POJEDYNEK POD BIAŁYM SŁONIEM

**W**ieczorem 7 lutego 1887 roku Luke Short przystanął przed drzwiami saloonu Biały Słoń, którego był współwłaścicielem. Należał on do najlepszych lokali, restauracji i kasyn w Fort Worth w Teksasie. Mieścił się przy West Main Street 310 i mógł się pochwalić wybornym menu ze świeżymi rybami, ostrygami i dziczyzną, o czym dumnie informował wpis w książce adresowej miasta. Ponadto serwował jedynie najlepsze wina, trunki i cygara. Jego centralnym punktem był długi na dwanaście metrów mahoniowy kontuar, za którym znajdował się ozdobny bar z łukowatym lustrem. Żyrandole z rżniętego szkła otaczały reprezentacyjną scenerię ciepłym żółtym światłem. Na tyłach pomieszczenia zaczynały się szerokie pokryte dywanem schody prowadzące do największej dumy Luke'a Shorta - sal hazardowych, którymi zarządzał niczym prawdziwy król. I tak właśnie go nazywano: od swego przybycia do Fort Worth nieco ponad trzy lata wcześniej zdążył się dorobić miana Króla Hazardu. Nie miał powodu żałować, że w roku 1883 dał się namówić Johnnyemu „Chuck-a-luck” Gallagherowi na przeprowadzkę z Dodge City.

Perspektywa rezygnacji z całego tego imperium musiała go skłonić do zadumy. Ale trudno - klamka zapadła. Luke Short, człowiek skromnej postury, modnie ubrany i z elegancko przystrzyżonym wąsikiem, wszedł do saloonu i gestem pozdrowił jednego ze współwłaścicieli interesu, Jake'a Johnsona. To właśnie jemu zamierzał sprzedać udziały w Białym Słoniem.

Gdy obaj szli ku schodom, Short rozejrzał się po sali. Choć omiótł ją

wzrokiem zaraz po wejściu - takie nawyki wchodziły w krew każdemu, kto chciał przeżyć na Dzikim Zachodzie - na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdził, czy nigdzie nie czai się wróg. Nie dostrzegł jednak byłego marszala<sup>[1]</sup> Timothy ego Courtrighta.

Weszli do niewielkiego biura na piętrze, by sfinalizować transakcję. Short wyjął umowę sprzedaży, położył ją na biurku, wziął pióro ze stojaka, podpisał się i naniósł datę: 2 lutego 1887.

Transakcja stała się faktem.



Luke Short urodził się w Missisipi lub Arkansas - źródła nie są co do tego zgodne - w roku 1854 jako jedno z siedmiorga dzieci J.W. i Hettie Shortów. W roku 1856, gdy Luke miał dwa lata, rodzina przeniosła się do Teksasu i osiadła w Elm Creek w hrabstwie Grayson, sto dziesięć kilometrów na północny wschód od Fort Worth. Od tamtej pory Luke nie opuszczał Teksasu aż do chwili, gdy jako młodzieniec zatrudnił się przy spędach bydła przez Terytorium Indiańskie do kolejowej stacji załadunkowej w Kansas. Ale praca kowboja nie przypadła mu do gustu; po pewnym czasie zdecydował się pozostać w Kansas i spróbować szczęścia w hazardzie.



---

Luke Short [...] filigranowy gracz i rewolwerowiec, znany i szanowany na Dzikim Zachodzie [...] a także budzący strach wśród tych, którzy mu się narazili *Ze zbiorów National Archives and Records Administration*

---

W ten sposób odkrył swoje przeznaczenie.

Hazardziści nie potrafili długo usiedzieć w jednym miejscu. Nosiło ich to tu, to tam, a przyjaźnili się jedynie z podobnymi sobie. Short znalazł przyjaciół w osobach Wyatta Earpa i Doca Hollidaya, którzy zwykle, lecz nie zawsze, trzymali się razem, oraz byłego łowcy bizonów Bata Mastersona. W Tombstone w Arizonie nazywano ich Bandą z Dodge City, bo stamtąd przybyli do miasta. Na życiu Krwawa konfrontacja nigdy nie doszła do skutku, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie chciał zadzierać z tą bandą sławnych rewolwerowców.

Shorta w tamtym okresie cieniem położyła się scysja z niejakim Charliem Stormsem, który po pijaku umyślił sobie, że go zabije za jakąś drobną

zniewagę. Sprawa skończyła się dla niego kiepsko, bo tak długo wyciągał broń, że nim zdążył wystrzelić, Short wpakował w jego ciało zawartość całego bębna swojego colta kaliber czterdzieści pięć.



---

Tzw. Komisja Pokojowa z Dodge City. Stoją od lewej: W.H. Harris, Luke Short, Bat Masterson. Siedzą od lewej: Charley Bassett, Wyatt Earp, Frank McLain, Neal Brown. W czerwcu 1881 roku ta szacowana grupa, w większości złożona z byłych stróżów prawa, zebrała się w Dodge City z powodu zatargu między Lukiem Shortem a miejscowym burmistrzem. Ze zbiorów *National Archives and Records Administration*

---

Wkrótce potem Short wrócił do Dodge i zatrudnił się jako prowadzący grę w faro w saloonie Long Branch. Radził sobie tak świetnie, że z czasem

wykupił udziały w tym biznesie i znalazł się w samym środku konfliktu z właścicielami konkurencyjnego saloonu Alamo. Właściciele Alamo identyfikowali się z tzw. reformą, która w rzeczywistości polegała na wykluczaniu konkurencji z rynku. W obawie przed eskalacją agresji Short poprosił o pomoc przyjaciół. Wyatt, Bat, Doc i kilku innych znajomych rewolwerowców przybyli do Dodge, a Short utworzył z nich grupę, którą żartobliwie nazwał Komisją Pokojową z Dodge City.

Może i był to żart, ale w wyniku powstania komisji w Dodge City istotnie na nowo zapanował pokój. Nikt nie chciał zadzierać z tą grupą. Całe zdarzenie pozostawiło jednak w duszy Shorta niesmak. Nigdy nie lubił politycznych zatargów w rodzaju tego, który wywołał tzw. wojnę o Dodge. Chciał tylko w spokoju zarabiać pieniądze w swój ulubiony sposób - prowadząc sale gier. Kiedy więc „Chuck-a-luck” Johnny powiedział mu, że w Fort Worth praca czeka, Luke wrócił do Teksasu, zabierając ze sobą Marie, niezwyklej urody kobietę, którą poślubił w Tombstone.

Ich dom w Fort Worth mieścił się na rogu Szóstej i Pecan, osiem przecznic od Białego Słonia. Luke bardzo się starał trzymać rodzinę z dala od swojej pracy hazardzisty i właściciela saloonu.

Południowy kraniec centrum miasta zajmował, przylegający do torów i dworca kolei Texas & Pacific, obszar znany jako Piekielny Zakątek, pełen podłych spelun i nielegalnych kardami. Biały Słoń do nich nie należał. Znajdował się na przedmieściu, co oznaczało, że jest bardziej elegancki, spokojniejszy i na poziomie. Mimo to zimą 1887 roku nierzadko widywało się tu Timothy ego Courtrighta - wysokiego, wysportowanego mężczyznę, ubranego zwykle w ciemny garnitur z kamizelką, beżowy kapelusz, białą koszulę i krawat bolo. Wokół bioder miał pas z dwiema kaburami, w których nosił skierowane kolbą do przodu bliźniacze colty. Miał wąsy i długie, jasne włosy założone za uszy i opadające na kark.

Timothy Isaiah „Długowłosy Jim” Courtright był już zaledwie cieniem siebie sprzed dekady, lecz wciąż otaczała go niebezpieczna aura. Ludzie, którzy mieszkali w Fort Worth podczas jego trzech kadencji na stanowisku marshala miejskiego (od roku 1876 do 1879), przysięgali, że nigdy nie spotkali szybszego ani celniejszego Strzelca. Ostatnie lata nieco zepsuły mu renomę, ale wciąż nikt nie miał ochoty wchodzić mu w paradę.

Podczas wizyty Courtrighta w Białym Słoniu 7 lutego Jake Johnson poinformował go, że właśnie wykupił udziały Shorta w biznesie. Możliwe, że

zrobił to, bo Courtright i Short mieli ze sobą na pieńku. Były marshal uważał Johnsona za kumpla i póki ci dwaj prowadzili razem lokal, powstrzymywał się od otwartego konfliktu z Shortem. Teraz jednak sezon ochronny się skończył.

Courtright nigdy nie stronił od wypitki, także gdy był stróżem prawa. Odznaka nigdy też nie przeszkadzała mu grać w karty czy bilard. Potrafił jednak utrzymać w ryzach Piekielny Zakątek. Jego strzelecka reputacja zniechęcała nawet najśmielszych.

Teraz jednak sytuacja się zmieniała. Luke Short, niezwykły facet o żelaznych nerwach, święcił triumfy w hazardzie, a dzięki chłodnej głowie wychodził cało z opresji. Czy jednak dorównałby szybkością Courtrightowi, gdyby doszło do konfrontacji?

Dziesięć lat wcześniej Courtright rządził miastem i utrzymywał w nim spokój, jednocześnie pilnując, by pieniądze nie przestawały napływać. Aresztował awanturników dopiero gdy wydali w saloonach i karciarniach większość swego majątku. Wszyscy byli zadowoleni: szanowani, lecz niewolni od chciwości założyciele miasta, właściciele saloonów, burdelmamy, zręczni krupierzy i prostytutki. Każdy zarabiał swoją dolę - także marshal i jego zastępcy, dokładający do skromnych zarobków spory procent z grzywien nałożonych na ludzi, których aresztowali. Pieniądze zarobione w ten sposób przez Courtrighta oraz pensja jego żony Betty ze strzelnicy Elli Blackwell pozwalały rodzinie na dostatnie życie.

A potem nagle wszystko się skończyło. W corocznych wyborach marszala Courtright zajął trzecie miejsce na pięciu startujących i z dnia na dzień musiał się pożegnać ze stanowiskiem, które tak chętnie piastował.

Poza strzelaniem potrafił tylko pić i grać. Próbował zarabiać na życie grą w keno, ale interes słabo się kręcił. Pozostały mu wspomnienia minionej chwały. W końcu uznał, że czas zmienić scenerię, i ruszył na zachód.

Najpierw pracował jako strażnik w kompanii górniczej w Lake Valley w stanie Nowy Meksyk, a potem wraz ze starym znajomym, równie szybkim rewolwerowcem Jimem McIntyre'em, najął się do pracy u bogatego ranczera Johna Logana, który był dowódcą Courtrighta, gdy znacznie młodszy Tim służył jako zwiadowca w armii Północy podczas wojny secesyjnej.

Logan najął Courtrighta i McIntyre'a niejako kowbojów, lecz jako rewolwerowców, którzy mieli oczyszczać okolicę z nielegalnych osadników i złodziei bydła. Kiedy jednak 4 maja 1883 roku zastrzelili paru upartych farmerów, rząd Nowego Meksyku uznał, że trochę za bardzo przykładają się

do swojej pracy. Uciekając przed prawem, Courtright i McIntyre wylądowali z powrotem w Teksasie.

Courtright wrócił do Fort Worth, uznając, że na starych śmieciach będzie bezpieczny. Próbując spożytkować doświadczenie marszala, otworzył agencję detektywistyczną. Kokosów nie zarobił, ale na whisky i amunicję było go stać.

Potem jednak władze Nowego Meksyku dogadały się ze strażnikami Teksasu, że ci pomogą im schwytać zbiega. Zastosowali oni pewien fortel - podczas targu bydła w Piekielnym Zakątku podszli i poprosili o przyjrzenie się zdjęciom przedstawiającym przestępców, którzy mogli się ukrywać w okolicach miasta.

Courtright poszedł z nimi do hotelu Ginocchio, gdzie zamiast zdjęć zastał wymierzone w siebie lufy. Rozsądek zwyciężył i były marszał oddał się w ręce strażników bez walki. Wieść o aresztowaniu długowłosego Jima szybko rozniosła się po mieście. Zwolennicy, których wciąż miał wielu, zgromadzili się przed hotelem i Stróże prawa musieli go przemycić do powozu tylnymi drzwiami, a potem pędzić na złamanie karku do więzienia znajdującego się na drugim końcu miasta. Udało się i Courtright musiał przeżyć upokorzenie osadzenia w tym samym „kryminale”, w którym wcześniej niemal co noc zamykał innych.

Jego niewola nie trwała jednak długo. Człowiek o takiej reputacji i popularności nie jadał z tacy przynoszonej do celi. W eskorcie straży chodził na posiłki do restauracji Merchant's po drugiej stronie ulicy. Jego towarzysze szybko wykorzystali tę okoliczność i obmyślili plan ucieczki. Pewnego wieczoru, gdy Courtright zasiadł do kolacji przy tym stoliku co zawsze, pod blatem czekały dwa ukryte rewolwery, zawieszane na gwoździach i gotowe do użycia. Chwilę później więzień mierzył już z nich do swoich „opiekunów”. Byli oni na tyle mądrzy, by nie próbować go zatrzymać, gdy wycofywał się rakiem z lokalu, wskakiwał na podstawionego konia i odjeżdżał ku zachodzącemu słońcu.

Gdyby opowieść kończyła się w tym miejscu, Courtright mógłby obrosnąć legendą. Ludzie latami mówiliby o jego brawurowej ucieczce. Niestety kilka lat później były marszał zatęsknił za domem. Zwłaszcza że w mieście została Betty, której nie mógł ciągnąć za sobą, uciekając przed prawem. Ostatecznie postanowił oddać się w ręce sprawiedliwości i liczyć na pobłażliwość sądów Nowego Meksyku.

Od zastrzelenia osadników upłynęło kilka lat. Świadczenie tego zdarzenia



poumierali albo wyjechali. Sprawa utknęła w martwym punkcie i wkrótce oczyszczony z zarzutów przez ławę przysięgłych Courtright wrócił do Fort Worth. Mógł robić, co mu się żywnie podoba, więc otworzył agencję detektywistyczną i znów zaczął uprawiać hazard.

Tyle że miasto miało już nowego karcianego króla.

Był nim Luke Short.



Nawiasem mówiąc, Short i Courtright byli starymi znajomymi. Luke pożyczył nawet Timowi trochę pieniędzy, gdy ten wyjeżdżał do Nowego Meksyku, by stanąć przed sądem. Po powrocie Courtrighta szybko jednak narosła między nimi wrogość.

Tim mieszkał na południowym krańcu miasta, w Piekielnym Zakątku. Short rządził na przedmieściach. Gdyby trzymali się w odległości tych kilkunastu przecznic od siebie, może nic by się nie stało. Biały Słoń był jednak zbyt dużą pokusą dla byłego marszala, który niedługo po powrocie do miasta uknuł spisek.

Wcześniej jednak, by zarobić na życie, zatrudnił się w przedsiębiorstwie kolejowym Missouri, Kansas and Texas Railway, lepiej znanym jako Katy Railroad<sup>[2]</sup>, gdy firma szukała łamistrajków do zastąpienia protestujących pracowników, by utrzymać ciągłość ruchu. Jadąc jako strażnik w lokomotywie jednego z pociągów, zapobiegł próbie zatrzymania składu przez protestujących kilka kilometrów na południe od miasta. Ostrzelał zgromadzonych z obu coltów, a oni odpowiedzieli strzałami z karabinów. Jeden ze strażników zginął w wymianie ognia, ale Courtright zranił tylko jednego napastnika, a pozostałych odpędził celnymi strzałami. Mimo zaledwie jednej ofiary zdarzenie okrzyknięto mianem „masakry z Fort Worth”, a Courtrighta okryła niechlubna sława, która bynajmniej mu nie zaszkodziła, gdy zaczął wpisywać firmy na listę klientów swojej agencji detektywistycznej. W rzeczywistości nie prowadził żadnej agencji, lecz dokonywał zwykłych wymuszeń rozbójniczych, każąc firmom płacić za rzekomą ochronę, czyli za zostawienie ich w spokoju. Wychodził na tym całkiem nieźle.

Znacznie więcej pieniędzy czekało jednak na przedmieściach. Tak przynajmniej kombinował Courtright, uznając, że najlepiej będzie zacząć od

Białego Słonia.

Tymczasem Short uparcie udawał, że nie rozumie jego delikatnych aluzji. Gdy Courtright zaoferował mu swoje usługi „oficera specjalnego” do pilnowania porządku w saloonie, Luke bez wahania odrzekł, że prędyżej zapłaciłby mu za trzymanie się z dala od lokalu niż za przebywanie tam, choć i tego nie robi.

Odmowa rozwścieczyła Courtrigha, który od tamtej pory ze wszystkich sił starał się utrudnić Luke’owi życie, wykorzystując znajomości wśród władz miasta do grożenia mu pozwami i widmem zamknięcia biznesu. Short odpowiadał spokojnie, że zapłaci każdą nałożoną grzywnę, a przed aresztem będzie się bronił w sądzie. Courtright mógł jeszcze tego nie wiedzieć, ale Luke na dobre zakotwiczył w mieście i nie miał najmniejszego zamiaru dać się stamtąd ruszyć.

Martwiło go jednak narastające napięcie i coraz większa wrogość ze strony miejscowych stróżów prawa. Kiedy miał do czynienia z podobną sytuacją w Dodge City, rozwiązał problem za pomocą Komisji Pokojowej. Być może na kłopoty w Fort Worth wystarczyłoby zastosować podobne rozwiązanie w nieco mniejszej skali. Tak myśląc, Luke posłał po jednego ze swych starych kumpi, Bata Mastersona.

Nawet jednak mając go u boku, zaczynał się zastanawiać, czy dalsze upieranie się ma sens. Nadal nie zamierzał płacić Courtrightowi, ale gdyby na jakiś czas zniknął z miasta, problem mógłby rozwiązać się sam. Biorąc pod uwagę, ile alkoholu wlewał w siebie adwersarz, kłopoty ze zdrowiem były jedynie kwestią czasu. Kiedy Courtrigha dopadną jego własne demony, Luke wróci i do Fort Worth, i do życia, które tu wiódł. A jeśli poza miastem będzie mu się wiodło nie gorzej, zostanie tam i będzie pędził spokojny żywot z żoną i dziećmi. Tak czy owak, problem zostałby rozwiązany bezkrwawo.

Zaproponował więc Jake owi Johnsonowi sprzedaż udziałów, a ten się zgodził. 7 lutego 1887 roku Short przestał być współwłaścicielem saloonu i restauracji Biały Słoń.

Nie wiedział, że tego samego wieczoru Timothy najpierw wpadł do Białego Słonia, a potem ruszył w tango po Piekielnym Zakątku. W pewnym momencie, gdy opróżnił kolejną szklanekę whisky, jeden z sąsiadów usłyszał, jak mamrocze do siebie: „I tak za długo żyłem”.



Luke nie był już współwłaścicielem Białego Słonia, ale następnego wieczoru, 8 lutego 1887 roku, nogi i tak go tam zanosły. Może po prostu ciągnęło go na stare śmieci. Wszedł, powiesił płaszcz i kapelusz, po czym udał się na górę do sali karcianej.

Byli tam Jake Johnson i Bat Masterson. Wąsaty Masterson, ubrany równie elegancko jak sam Short, powitał przyjaciela. Napili się, chwilę popatrzyli na grę przy stolikach, po czym Short zszedł do saloonu, by dać sobie wyczyścić buty.

Gdy pucybut polerował buty Luke'a, do siedzącego podszedł jeden ze znajomych i powiedział, że szuka go „Długowłosy Jim” Courtright.

Luke wiedział, że Johnson poinformował Courtrighta o transakcji. Najwyraźniej jednak ten zdecydowany znak, że Short zamierza wyjechać z miasta, nie przekonał Tima, że czas odpuścić. Short odparł, że nie ma ochoty rozmawiać z Courtrightem, i wrócił na górę. Należał do ludzi, którzy jeśli tylko mogą, unikają awantur.

Nie powiedział Johnsonowi ani Mastersonowi, co usłyszał na dole. Po pewnym czasie do sali karcianej wbiegł jeden z kelnerów i poinformował go, że marshał Courtright urządza na dole burdę, żądając widzenia z Lukiem Shortem.



„Długowłosyjim” Courtright- stróż prawa, detektyw i rewolwerowiec, jeszcze z odznaką, której nie nosił już podczas konfrontacji z Lukiem Shortem *Ze zbiorów National Archives and Records Administration*

Johnson przerwał grę w bilard i zaproponował, że zejdzie do saloonu, by spróbować nakłonić awanturnika do wyjścia. Short się zgodził. Johnson rzucił kij na stół i ruszył za kelnerem w stronę schodów. Zastał Courtrighta w holu restauracji. Gdy ten zażądał widzenia z Shortem, Johnson zapytał, w jakiej sprawie. Courtright zaproponował, by przedyskutowali to na zewnątrz.

Wyszli w chłodną noc. Johnson natychmiast zauważył stojącego w pobliżu mężczyznę, którego rozpoznał jako Charleya Bulla, wspólnika Courtrighta z Komercyjnej Agencji Detektywistycznej. Bull stał spokojnie, oparty o słup latarni. Nie wydawał się stanowić zagrożenia. Johnson porozmawiał chwilę z Courtrightem, który przekonywał, że chce jedynie omówić coś z Shortem. Wydawał się trzeźwiejszy niż zwykle i wyglądało na to, że trzyma w ryzach swoją niesławną impulsywność. Johnson doszedł do wniosku, że rozmowa może w końcu pogodzić wrogów. Powiedział Courtrightowi, że porozmawia z

Shortem, choć nie obiecał, że ten zgodzi się na spotkanie.

Wrócił do lokalu i wszedł na piętro. Kiedy przekazał Shortowi słowa Courtrighta, ten odmówił zejścia. Wolał, by wszystko zostało po staremu.

Po kilku minutach bezskutecznego przekonywania go do spotkania z Timem, Johnson i tak stracił kontrolę nad sytuacją, bo oto Courtright we własnej osobie wdarł się na górę, wrzeszcząc, że znudziło mu się czekanie.

Short był potwornie zmęczony całą tą sytuacją. Dlaczego Courtright nie mógł po prostu pozostać na swoim miejscu, w Piekielnym Zakątku, i nie wchodzić mu w drogę? Rozejrzał się, ale nie chciał odrywać Mastersona od gry w keno.

Zapytał Courtrighta, czego chce, a ten zażądał omówienia sprawy na zewnątrz. Zarówno Luke, jak i Johnson doskonale zrozumieli przesłanie: eksmarshal wyzywał Shorta na pojedynek. Ten zaś nie mógł pozwolić, by przypięto mu etykietkę tchórza, bo następnego dnia o sprawie gadałoby całe miasto.

Zgodził się na rozmowę. Courtrightowi zaświeciły się oczy. Był w swoim żywiole - oczyma wyobraźni widział już, jak celuje z rewolweru do znienawidzonego przeciwnika.

Cała trójka zeszła po schodach. Short wziął z wieszaka kapelusz, lecz płaszcz zostawił. Nim znaleźli się za drzwiami, Johnson zapytał Courtrighta, czy Charley Buli wciąż stoi przed lokalem, a on odparł, że Bull nie bierze udziału w tej historii.

W ten sposób były wspólnik ostrzegł Luke'a, że Charley może się czaić gdzieś w pobliżu. Bardziej prawdopodobne było jednak, że duma każe Courtrightowi rozstrzygnąć sprawę sam na sam z przeciwnikiem.

Wyszli na chodnik przed Białym Słoniem. Z ust unosiła się im para. Courtright ruszył wzdłuż ulicy, a Luke nie miał innego wyjścia, jak tylko pójść za nim. Johnson został z tyłu i obserwował całe zajście.

Timothy przystanął przed otwartymi drzwiami strzelnicy Elli Blackwell. Short zajrzał do środka, może zastanawiając się, czy Betty Courtright jest tego wieczoru w pracy.

Jim obrócił się twarzą do niego. Dzieliło ich niewiele ponad metr. „Czas wyrównać rachunki” - warknął.

Short odpowiedział spokojnie, że nie mają żadnych rachunków do wyrównania. Zatknął kciuki pod pachy kamizelki, co dobitnie wyrażało brak jakichkolwiek agresywnych zamiarów. Mimo to Courtright oskarżył go o

próbę zabójstwa. Short odparł, że nie ma nawet przy sobie broni.

Kłamał. Krótkolufowy colt kaliber czterdzieści pięć tkwił w specjalnie wykonanej, obszytej skórą wewnętrznej kieszeni kamizelki, gdzie zwykle go nosił. Opuścił dłonie, jakby chciał podnieść kamizelkę i pokazać, że nie ma kabury ani broni zatkniętej za pas.

Courtright potraktował ten ruch jako pretekst. „Tylko spróbuj!” - zawołał i sięgnął po kolbę jednego ze swoich sześciostrzałowców.

Od tego momentu wszystko zależało wyłącznie od refleksu i stalowych nerwów Luke'a. Jego prawa ręka już była w ruchu. Sięgnął do ukrytej kieszeni i wyszarpnął czterdziestkępiątkę. Courtright tymczasem zdążył wyjąć broń z kabury

Short strzelił z biodra. Kula utkwiała w ciele Courtrighta, który zatoczył się do tyłu, wciąż nie oddawszy strzału. Luke uniósł rękę, wyprostował ją i celując do byłego marshala, jeszcze czterokrotnie pociągnął za spust.

Chodnik był słabo oświetlony, ale z każdym błyskiem wydobywającym się z lufy widać było, jak pociski wstrząsają ciałem Courtrighta. Nim wybrzmiały echa strzałów, Courtright wpadł przez otwarte drzwi do strzelnicy, upadł na plecy i znieruchomiał. Słynny rewolwerowiec „Długowłosa Jim” nie zdołał oddać ani jednego strzału.

Ludzie zbiegli się i patrzyli na leżącego. Jakiś głos spytał Shorta, czy to jego sprawka. Luke rozejrzał się i zobaczył miejscowego stróża prawa Bonyego Tuckera. Bez słowa podał mu dymiący wciąż rewolwer.

Wtedy podszedł do niego szeryf hrabstwa Tarrant, B.H. Shipp. Powiedział, że go aresztuje i zabiera do więzienia miejskiego. Short skinął głową i odezwał się po raz pierwszy od rozpoczęcia strzelaniny. Oświadczył, że działał w samoobronie i że Courtright pierwszy sięgnął po broń. Potem bez oporu ruszył za szeryfem, gdy leżący w wej - ściu do strzelnicy „Długowłosa Jim” wydawał ostatnie tchnienia.

Zatarg dobiegł końca.



To, co przeszło do historii jako pojedynek pod Białym Słoniem, choć w rzeczywistości rozegrało się kilka metrów dalej, przed strzelnicą Elli Blackwell, było ostatnią taką strzelaniną w Fort Worth. Następnego dnia, 9

lutego 1887 roku, Timothy Isaiah „Długowłosy Jim” Courtright został pochowany na Cmentarzu Pionierów w oprawie największej i najbardziej wystawnej ceremonii pogrzebowej, jaka kiedykolwiek odbyła się w tym mieście. Od czasów swojej chwały na stanowisku marshala Courtright przebył wprawdzie długą drogę po równi pochyłej, ale wciąż miał wielu znajomych.

Niektórzy zastanawiali się nad zaatakowaniem miejskiego więzienia i zlinczowaniem Luke’a Shorta, ale obecność uzbrojonego po zęby strażnika w postaci Bata Mastersona wybiła im to z głowy. Nawet w gniewie nikt nie był dość nierozsądny, by zadzierać z Batem.

Kilka dni później, po wysłuchaniu zeznań kilku świadków, którzy widzieli walkę, w tym Jake’a Johnsona, Wielka Ława Przysięgłych Hrabstwa Tarrant uznała, że Luke Short zabił w samoobronie. Podczas śledztwa wyszło na jaw, że pierwszy wystrzelony przez Shorta pocisk, nim wszedł w ciało, trafił w bębenek rewolweru Courtrighta, blokując go i uniemożliwiając strzał, a także niemal całkowicie odstrzelił mężczyźnie kciuk. Każda z tych rzeczy mogła się okazać zgubna dla Jima, a wszystkie trzy razem przypieczętowały jego los.

Luke Short zmarł sześć i pół roku później, 8 września 1893 roku, w wyniku powikłań po ranach odniesionych w walce z innym konkurentem, Charliem Wrightem. Pochowano go na cmentarzu Oakwood, na wzgórzu z widokiem na rzekę Trinity, na której drugim brzegu wznosiło się Fort Worth.

Niedaleko niego znajduje się przeniesiony trzy lata później z Cmentarza Pionierów grób Timothy ego Courtrighta.



## KRES WARRENA EARPA

**J**eden dzień, jedna walka, jeden incydent mogą zrodzić legendę. Wystarczy być tam, gdzie tworzy się historia, by samemu trafić do annałów. Z drugiej strony, nieobecność we właściwym miejscu o właściwej porze może sprawić, że szansa zostanie niemal nieodwracalnie zmarnowana.

Weźmy przypadek Warrena Earpa.

Urodził się w roku 1855 w stanie Iowa jako najmłodszy z sześciu braci. Najstarszy był Newton (brat przyrodni Warrena, syn pierwszej żony ojca rodu Nicholasa Earpa), dalej James, Virgil, Wyatt i Morgan. W roku 1863 rodzina przeniosła się do Colton w Kalifornii. Warren dorastał, patrząc, jak bracia po kolei opuszczają dom (Newton, James i Virgil zaciągnęli się do wojska i uczestniczyli w wojnie secesyjnej po stronie Unii, a później zostali stróżami prawa na Pograniczu). On sam pozostał w Colton, gdzie jego ojciec to pracował jako sędzia, to prowadził saloon. Chłopak pomagał przy barze i wysłuchiwał coraz barwniejszych opowieści o starszych braciach. Pewnie był trochę zazdrosny o te wszystkie przygody, które przeżywali. Udało im się nawet opanować bezprawie w Dodge City w Kansas!

Kiedy więc usłyszał, że James, Virgil, Wyatt i Morgan przenieśli się do Tombstone w Arizonie, miasta kopalń srebra, bez namysłu udał się tam za nimi. W końcu i on miał przeżyć przygodę życia!

Virgil, najbardziej odpowiedzialny i rozsądny z braci, dał Warrenowi nie tylko dach nad głową, ale i pracę. Jako zasłużony już stróż prawa piastował jednocześnie urzędy marshala federalnego oraz szefa posterunku w



Tombstone. Zatrudnił więc młodszego brata do pilnowania więzienia, a czasami pozwalał mu brać udział w pościgach za przestępcami.

Niektórzy z tych przestępców należeli do niesławnej „kowbojskiej” frakcji i byli zaprzysięgłymi wrogami Earpów oraz ich przyjaciół, w tym Doca Hollidaya. Podczas jednego z pierwszych starć z „kowbojami” będący w grupie pościgowej Warren został poważnie ranny w nogę i wrócił do Kalifornii, by dochodzić do siebie w domowych pieleszach.

Walka, o której mowa, odbyła się w lipcu 1881 roku. 26 października tego samego roku wrogość między Earpami a „kowbojami” doprowadziła do prawdopodobnie najśłynniejszej strzelaniny w historii Dzikiego Zachodu - bitwy pod O.K. Corral. Napisano o niej już wiele książek, ale jeśli wspominają one o Warrenie Earpie, to tylko mimochodem. Z prostej przyczyny - nie było go tam. Wciąż lizał rany w Kalifornii, podczas gdy Wyatt, Virgil, Morgan i Doc Holliday strzelali się z Clantonami i McLaurymi.

Nie wiadomo, czy wzięłyby udział w walce, gdyby był w Tombstone. Jest to bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że jeździł z braćmi na pościgi i dorobił się opinii walecznego młodzieńca. Los zrzucił jednak, że Warren wrócił tu dopiero w początkach roku 1882, gdy Virgil został zwabiony w pułapkę na Allen Street, jednej z głównych ulic miasta, i odniósł poważne rany. Odpowiedzialnością obarczono kilku „kowbojów”, a motywem miała być zemsta za śmierć ich przyjaciół i krewnych w sławnej strzelaninie.

Najpoważniejsza rana unieruchomiła lewą rękę Virgila. Warren zamieszkał z bratem i jego żoną Allie, by pomagać w opiece nad chorym. Ponadto panowało przekonanie, że konflikt będzie eskalował, więc potrzeba było ludzi do walki, a Warren zdążył już wyleczyć chorą nogę, choć lekko nią powłóczył.

„Kowboje” rzeczywiście zaatakowali ponownie. W marcu 1882 roku, gdy Wyatt i Morgan grali w bilard w lokalu przy Allen Street, ktoś zaczął strzelać przez oszklone tylne drzwi. Jeden z pocisków ciężko ranił Morgana. Zabójcy uciekli, a Wyatt z przyjaciółmi zaniósł broczącego krwią brata do sąsiedniej sali. Warren usłyszał o ataku i zdążył przybiec, by pożegnać brata, który w niecałą godzinę po strzelaninie wyzionął ducha.

Zabójstwo Morgana zapoczątkowało vendettę Wyatta, Warrena i Doca Hollidaya, która zasłynęła jako „wojna o Arizonę”. Warren, nazywany teraz „Tygrysem” z powodu zaciekłości przejawianej w boju, wraz z Wyattem wziął udział w odbiciu zaatakowanego przez wrogów pociągu, którym Virgil i Allie

wieźli ciało Morgana do Kalifornii. Wyatt zabił Franka Stilwella, gdy ten i inni członkowie bandy szykowali się do ostrzelania wagonu, w którym siedzieli Virgil i Allie.

Ze wszystkich braci tylko Wyatt i Warren pozostawali zdolni do walki. W pościgu za pozostałymi osobami odpowiedzialnymi za śmierć Morgana pomagali im jednak Doc i inni rewolwerowcy. Teraz to oni uciekali przed prawem, któremu kiedyś służyli: po zabójstwie Stilwella wysłano za nimi listy gończe. Szeryf hrabstwa Cochise, Johnny Behan, usiłował ich zatrzymać, nim wyruszyli na swoją vendettę, ale gdy odmówili oddania się w jego ręce, ustąpił, nie mając za sobą zbrojnego poparcia.

W ciągu kilku następnych dni z rąk Earpów i ich przyjaciół zginęło trzech „kowbojów”. Florentino Cruz, prawdopodobnie celowo pozostający w tyle, by pozostali członkowie bandy zdążyli uciec, dokonał żywota w górach Dragoon, w obozowisku drwali należącym do Pete’a Spence’a, innego jej członka, podejrzanego o udział w zasadzce na Virgila. W Iron Springs ścigani, wśród nich Johnny Barnes i „Kudłaty” Bill Brocious, zastawili pułapkę na Earpów i ich towarzyszy. Doszło do ostrej wymiany ognia, w której Brocious i Barnes pożegnali się z życiem.

Zabicie Stilwella, Cruza, Brociousa i Barnesa podpadło krewkiej i podzielonej politycznie społeczności Pogranicza. Wiele osób uważało, że Wyatt i Warren sami stali się bandytami, i nawet część tych, którzy w przeszłości ich popierali, uznała, że czas ich pojmać. Ta rzeź musiała się skończyć.

Spora grupa stróżów prawa wyruszyła więc w pościg za Earpami. Gdy przyjaciele donieśli im o tym, Wyatt i Warren uznali, że czas przerwać vendettę. Bracia i Doc Holliday ruszyli do Kolorado, a pozostali członkowie grupy rozproszyli się na wszystkie strony. Żadnego nigdy nie pociągnięto do odpowiedzialności; przeciwnie, gdyby nie naciski polityczne, większość przedstawicieli władzy byłaby skłonna przyznać, że ich zemsta była usprawiedliwiona.

Chodziły pogłoski o ekstradycji Wyatta i Warrena z Kolorado do Arizony, a także o ułaskawieniu ich przez miejscowego gubernatora. Ostatecznie nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Wyatt i Warren postanowili wrócić do Kalifornii. Jeśli gdziekolwiek mieli teraz dom, to właśnie tam. Doc Holliday aż do śmierci pozostał w Kolorado.

Wyatt nie potrafił jednak długo usiedzieć w miejscu. Spakował się i

wyjechał z Kalifornii. Warren pozostał w Colton. Jako młodzieniec z zazdrością słuchał opowieści o swych sławnych braciach i marzył o tym, by być jednym z dzielnych rewolwerowców. Teraz, gdy spełnił marzenie i wziął udział we wszystkich ich największych przygodach, oprócz tej najsłynniejszej - strzelaniny na pustej działce przy zakładzie fotograficznym Flya, niedaleko O.K. Corral - Morgan nie żył, Virgil był niepełnosprawny, Wyatt wyjechał do Jukonu, a on sam ze strażnika pokoju stał się banitą. Nic nie potoczyło się tak, jak tego chciał.

Miał problemy z utrzymaniem pracy. Pił, grał, uczestniczył w bijatykach. Większość czasu spędzał w saloonach. Łatwo się obrażał, dopatrywał się przytyków w niemal każdej niewinnej wymianie zdań i zależnie od tego, czym akurat dysponował, odpowiadał bronią palną, nożami, pięściami, raz nawet rozbitą butelką. Miejscowi Stróże prawa na ogół mu pobłażali, prawdopodobnie z powodu szacunku, jakim nadal cieszyła się w Colton rodzina Earpów, zwłaszcza ojciec Warrena - były sędzia Nicholas. Często zamiast niego aresztowano nieszczęśników, którzy niechcący go sprowokowali.

Tymczasem Virgil mimo niesprawnej ręki został wybrany na marshala Colton i najwyraźniej udało mu się wpłynąć na brata, by się nieco ustatkował. Warren wprawdzie wciąż spędzał większość czasu w saloonach, lecz teraz pracował jako barman, tak jak przed wyjazdem z miasta. W latach 1885-1893 udawało mu się unikać kłopotów, ale potem krewki charakter zwyciężył. Warrena aresztowano pod zarzutem pchnięcia człowieka nożem podczas kłótni. Mężczyzna wyzdrowiał, a Warren został uniewinniony. Nie był już jednak mile widziany w Kalifornii, postanowił więc wyjechać. Wybrał Arizone, mimo że teoretycznie wciąż był tam ścigany za morderstwo.

Jeśli zamierzał nie zwracać na siebie uwagi, słabo mu poszło. Podczas pierwszego postoju, w Yumie, pokłócił się z pewnym facetem o kobietę i zagroził mu śmiercią. Potrzebował jednak pieniędzy, więc po namyśle zamienił groźbę na żądanie haraczu. W efekcie został oskarżony o próbę wymuszenia. Musiał zapłacić grzywnę, lecz uniknął więzienia w zamian za zobowiązanie się do opuszczenia miasta.

W roku 1894 osiadł w miasteczku Willcox i najął się u pułkownika Henrygo Claya Hookera jako *range detective* - człowiek pilnujący rancza (a konkretnie dwóch rancz) przed złodziejami bydła, ludźmi przecinającymi płoty i wszystkimi innymi, którzy mogliby zaszkodzić interesom hodowcy.

Dodatkowo pracował w niepełnym wymiarze czasu jako woźnica powozu towarowego.

Nieokiełznane emocje i tym razem nie pozwoliły mu długo wieść spokojnego życia. Wkrótce pokłócił się o kobietę z miejscowym kowbojem Johnnym Boyettem. 4 lipca 1900 roku wyzwiał go na pojedynek, lecz Boyett odmówił. Warren pozwolił mu opuścić saloon, ale bynajmniej nie zamierzał zrezygnować.

Dwa dni później wpadli na siebie w innym lokalu w Willcox. „Idź po spluwę”, zażądał Warren, widząc, że kowboj nie ma broni. „Załatwimy to jak mężczyźni”.

Boyett próbował rozładować sytuację, mówiąc, że nie chce kłopotów. Warren nie ustępował. W końcu zaczął oskarżać Boyetta, że ktoś go na niego nasłał z zamiarem zabójstwa.

Johnny w końcu wyszedł z saloonu. Warren czekał na niego w przyległej restauracji. Po kilku minutach Boyett wrócił nie z jednym, lecz z dwoma pistoletami. Podjudzony przez Warrena, w końcu gotów był walczyć, mimo iż jego przeciwnik należał do słynnego klanu Earpów.

Warren usłyszał okrzyki i stanął w drzwiach między restauracją a saloonem. Na jego widok adwersarz wyszarpnął oba pistolety i wystrzelił. Obie kule chybiły - tylko ze ścian posypały się drzazgi. Rozwścieczony Boyett ruszył w stronę Warrena. Pistolety znów wypaliły, prawdopodobnie przypadkiem, lecz kule trafiły w podłogę.

Warren wybiegł z restauracji głównymi drzwiami i bocznymi wbiegł do saloonu, zachodząc Boyetta od tyłu. Ten odwrócił się do niego. Cokolwiek można powiedzieć o Warrenie Earpie, odwagi mu nie brakowało. Choć wyzwiał Boyetta na pojedynek, sam nie miał broni. Demonstrując to rozpiętymi płaszczem i kamizelką, powoli szedł w stronę Johnny'ego, może mając nadzieję na uspokojenie go lub zbliżenie się na odległość pozwalającą na wyrwanie mu rewolweru.

Cokolwiek planował, nie zadziałało. Boyett wystrzelił ponownie, trafiając rywala w serce. Warren najpierw zatoczył się lekko do tyłu, a potem upadł twarzą do ziemi. Bardzo prawdopodobne, że wyzionął ducha, nim uderzył o podłogę.

Pochowano go w Willcox. Johnny Boyett nigdy nie stanął przed sądem. Zniknął wkrótce po tym zdarzeniu. Krążyły plotki, że Wyatt i Virgil zabili go w zemście za śmierć brata, tak jak kiedyś Wyatt i Warren zabijali ludzi

odpowiedzialnych za śmierć Morgana. Jest to jednak mało prawdopodobne, bo Wyatt był wtedy na Alasce i raczej nie utrzymałby w sekrecie tak długiej podróży. Niewykluczone natomiast, że w obawie przed zemstą Boyett postanowił wynieść się gdzieś w siną dal.

Warren Earp przez całe życie żył w cieniu swoich sławnych starszych braci. Gdyby nie rana nogi, która zmusiła go do odpoczynku w Kalifornii, prawdopodobnie wraz z braćmi wziąłby udział w najsłynniejszej strzelaninie przy O.K. Corral. Dzielił z nimi wszystkie niebezpieczeństwa przed tą walką i po niej, ale ponieważ nie uczestniczył w potyczce, stał się zaledwie mglistą wzmianką, przypisem do krwawej sagi Tombstone.

Wciąż jednak był Earpem w każdym calu i zginął, starając się tego dowieść.



## OSTATNIA WALKA DOCA

**W**

1884 roku Leadville w Kolorado było świetnie prosperującym miastem.

Dziewięć lat wcześniej górnik o nazwisku Will Stevens odkrył w pobliskim Kanionie Kalifornijskim (California Gulch) złoża srebra. Choć starał się utrzymać odkrycie w tajemnicy, wieść w końcu się rozeszła i do miasta zjechali się poszukiwacze. Kilkanaście lat wcześniej, w 1860 roku, znaleziono tam również złoto, co wywołało krótkotrwały boom, lecz złoża wyczerpały się już po dwóch latach; większość ludzi wyjechała i miasto trwało w letargu do chwili „gorączki srebra” wywołanej odkryciem Stevensa.

Wówczas nastąpiła prawdziwa eksplozja demograficzna - oprócz górników do Leadville zjechali kupcy, właściciele saloonów, hazardziści, prostytutki i wszyscy inni zajmujący się wyciąganiem każdego grosza z kieszeni górników.

Saloon Monarch należał do najlepszych w mieście. Tak jak w większości podobnych lokali, wydzielono w nim salę do gry w fardo, prowadzoną przez profesjonalnego gracza. W gorący sierpniowy wieczór to właśnie on - wysoki, siwiejący, wąsaty, o szczupłej, niemal wychudzonej twarzy - siedział przy stole, gdy dwuskrzydłowe wahadłowe drzwi saloonu otwały się gwałtownie. „Holliday!” - wrzasnął mężczyzna o gniewnym spojrzeniu, który wkroczył do sali z bronią w ręce, rozglądając się za swoją ofiarą.

Gracz z westchnieniem sięgnął po rewolwer. Awanturnicza przeszłość po raz ostatni upomniała się o Doca.



John Henry „Doc” Holliday, jak wiele innych legendarnych postaci Dzikiego Zachodu, pochodził z Południa. Urodził się w Georgii w roku 1851. Nie jest pewne, czy rzeczywiście w młodości studiował stomatologię w collegeu w Baltimore, czy też jedynie nauczył się wrywać zęby, obserwując, jak robią to inni. Tak czy owak, w roku 1872 otworzył w Atlancie gabinet dentystyczny. Sam jednak był chorowity i dręczyły go ataki kaszlu. W końcu skonsultował się z lekarzem, który zdiagnozował u niego gruźlicę. W tamtych czasach nie było na nią lekarstwa. Doktor zalecił jedynie zmianę klimatu na cieplejszy i suchszy, co mogło przedłużyć pacjentowi życie. Młody dentysta miał też inny powód do wyjazdu z Georgii.

Jak większość ówczesnych mieszkańców Południa nie przepadał za byłymi niewolnikami, którzy dzięki wojnie secesyjnej uzyskali wolność. Kiedy zobaczył, że trzech czarnoskórych pływa w zakolu rzeki, które uważał za swój prywatny basen, wyjął broń i zaczął do nich strzelać. Niektórzy twierdzą, że jedynie celował w powietrze, by ich odpędzić; inni utrzymują, że ich zranił lub nawet zabił. Jakkolwiek było, ten incydent w połączeniu z problemami zdrowotnymi doprowadził do tego, że Doc opuścił Georgię i ruszył na zachód, do Teksasu.

W Dallas otworzył kolejny gabinet dentystyczny, lecz nie udało mu się przyciągnąć wielu pacjentów, więc dorabiał grą w karty. Szło mu tak dobrze, że z czasem hazard stał się jego prawdziwym zawodem, a stomatologia jedynie dodatkowym zajęciem.

Holliday był też dobrym strzelcem. Pewnego razu wdał się w strzelaninę podczas kłótni przy kartach. Nikt nie zginął, lecz na wszelki wypadek Doc postanowił zmienić miejsce pobytu. Udał się jeszcze dalej na zachód, do Jacksboro. Żołnierze z pobliskiego posterunku wojskowego, Fort Richardson, oczywiście chętnie odwiedzali miejscowe saloony. Tam Holliday po raz pierwszy zabił człowieka (zakładając, że pogłoski o masakrze czarnoskórych z Georgii nie są prawdziwe). Pewien żołnierz oskarżył go o oszukiwanie. Przewrócono stół, gracze się rozpierzchli, huknęły strzały i wkrótce oskarżyciel leżał na podłodze bez życia.

Choć zabójstwa podczas awantur hazardowych rzadko znajdowały finał w sądzie, tym razem chodziło o wojskowego, więc Doc po raz kolejny

postanowił zniknąć. Przez jakiś czas kręcił się po Teksasie i Kolorado, zapijając whisky ból związany z chorobą. Trunek nie był lekarstwem na wszystko, ale sprawdzał się jako anestetyk, jeśli spożywało się go w dostatecznych ilościach.

W Fort Griffin w Teksasie poznał dwie osoby, które miały wywrzeć znaczący wpływ na jego dalsze życie: łowcę bizonów Wyatta Earpa i prostytutkę znaną jako Katherine Elder, Katie Elder lub „Długonosą Kate” Fisher. Kiedy zabił kolejnego człowieka podczas awantury karcianej, dziewczyna uratowała go przed linczem, podpalając stodołę, by wywołać chaos, a następnie przemycając Hollidaya poza miasto.

Po przyjeździe w towarzystwie Kate do Dodge City w Kansas Holliday otworzył kolejny gabinet dentystyczny w pokoju numer 24 hotelu Dodge House, z gwarancją zwrotu pieniędzy, jeśli klient nie będzie zadowolony. Wyatt Earp także przebywał w Dodge - pracował jako zastępca marshala miejskiego, ale i grał w karty, co scementowało jego przyjaźń z młodym dentystą, znanym teraz powszechnie pod przezwiskiem Doc. Podczas konfrontacji ze skorymi do palby teksańskimi kowbojami Holliday pojawił się w samą porę, by uratować Earpowi życie. Ostrzelał ich ze strzelby, gdy jego kompan zdzielił przywódcę gangu kolbą rewolweru i zamierzał zawlec go do więzienia. Prawdopodobnie była to pierwsza wspólna walka Doca Hollidaya i Wyatta Earpa.

Ale nie ostatnia.



Niespokojny z natury, borykający się z uciążliwą chorobą, niezdolny utrzymać przy sobie Kate, która kilkakrotnie odchodziła od niego i wracała, Holliday dryfował po Zachodzie. Przez pewien czas wynajmował się jako najemnik w krwawej wojnie między przedsiębiorstwami kolejowymi Santa Fe oraz Denver 8c Rio Grande. Uprawiał hazard i pił, pił i uprawiał hazard, od czasu do czasu przerywając to udziałem w jakiejś strzelaninie. Z jego osobą wiązano śmierć kilku osób w Kolorado i Nowym Meksyku.

Kiedy usłyszał, że Wyatt Earp i jego bracia wyjechali do Tombstone, popularnego ośrodka wydobywania srebra na Terytorium Arizony, ruszył ich śladem, zabierając ze sobą Kate. Zarabiał pieniądze jako hazardzista,



obserwował narastający konflikt między Earpami a „kowbojami” pod przywództwem Ika Clantona. Wciąż dobrze posługiwał się sześciostrzałowcem, lecz na tym etapie życia wolał strzelbę. To ją miał przy sobie 26 października 1881 roku, gdy szedł ulicami Tombstone z Wyattem, Virgilem i Morganem Earpami, by stanąć do konfrontacji z Ikiem i Billym Clantonami, Frankiem i Tomem McLaurym oraz Billym Claiborne'em.

Spotkali się oczywiście przed zakładem fotograficznym Flyn niedaleko korralu O.K. Corral, a walka, która się wówczas odbyła, zapewniła Docowi miejsce w annałach Dzikiego Zachodu.

Słynna strzelanina nie zakończyła jednak konfliktu. W jej następstwie zastawiono pułapki na Virgila i Morgana. Virgil przeżył, choć został ciężko ranny. Morgan zginął. Wyatt poprzysiągł zemstę, a Holliday stanął u jego boku. Szczegóły tamtych wydarzeń nawet po tylu latach nie są dokładnie znane, ale wszystko skończyło się śmiercią kilku kolejnych osób i listami gończymi wysłanymi za Wyattem Earpem oraz Johnem Henrym Hollidayem, znanym jako „Doc”. Obaj opuścili Arizonę i udali się do Kolorado.

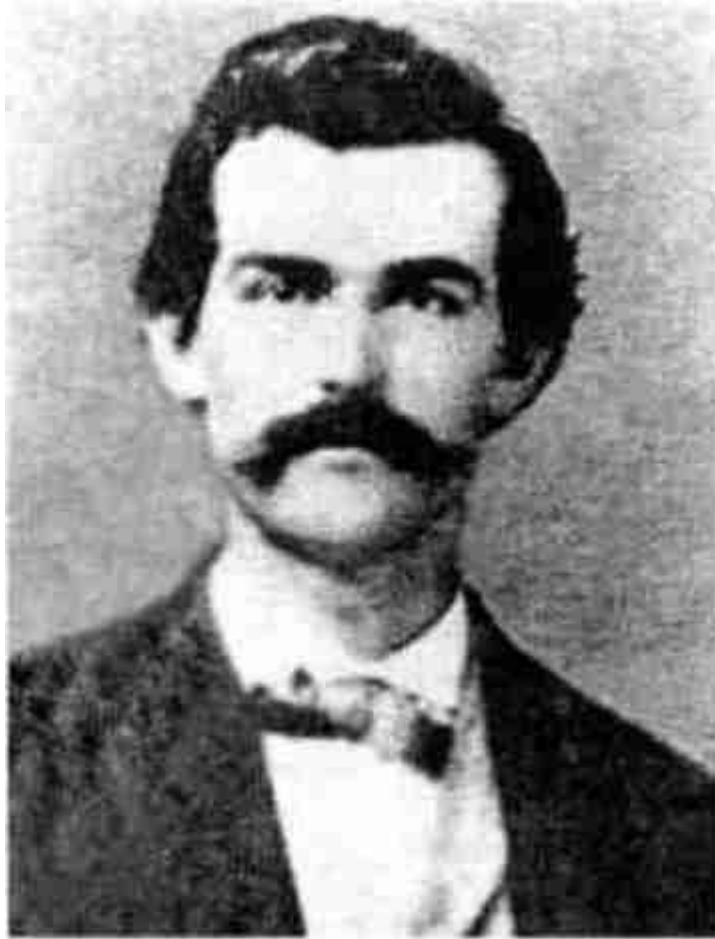
Tam przyjaciele się rozdzielili. Wyatt ruszył do Gunnison, a Holliday osiadł w Pueblo, na południe od Denver. Czuł się coraz gorzej i nawet nie próbował zakładać kolejnego gabinetu, zarabiając na życie wyłącznie hazardem. Został stałym bywalcem saloonu Cominque Club. Mimo okrywającej Doca niesławny mieszkańcy miasta go zaakceptowali.

Podróż na wyścigi konne do Denver przysporzyła mu nowych kłopotów. Jakiś facet zaszedł go od tyłu, wbił mu w plecy lufy dwóch spluw i oznajmił, że go aresztuje. Trzymając Doca na muszce, zaprowadził go przed oblicze lokalnych władz i przedstawił się jako Perry Mallan, zastępca szeryfa z Los Angeles w Kalifornii. Mówił, że zamierza odesłać Hollidaya do Arizony, by odpowiedział za zbrodnie, które rzekomo tam popełnił.

W rzeczywistości Mallan nie był stróżem prawa, lecz drobnym cwaniaczkiem i naciągaczem, który niegdyś spotkał Doca na swojej drodze i miał z nim od tego czasu na pieńku. Jego plany pokrzyżował jednak Bat Masterson, służący w tamtym okresie jako szeryf hrabstwa Las Animas. Bat użył swoich wpływów, by zatrzymać bieg wydarzeń do czasu, kiedy będzie mógł zidentyfikować Mallana jako przestępcę. Władze Arizony zostały już jednak powiadomione, że Hollidaya zatrzymano w Denver, i zabiegały o jego ekstradycję. Masterson zablokował i ten manewr. Nigdy nie był blisko z

Hollidayem, ale pomagał mu z poczucia lojalności wobec Wyattta Earpa, z którym się przyjaźnił.

Gdy władze Kolorado go wypuściły, bardzo już chory, niemal bez przerwy plujący krwią Doc przeniósł się do Deadwood na Terytorium Dakoty. Jak zwykle kłopoty przeniosły się za nim.



Młody, przystojny Doc Holliday, zanim gruźlica wyniszczyła jego ciało i spowolniła refleks  
*Ze zbiorów Old West Photos*

Po tym, jak ponownie musiał zabić człowieka, wrócił na południe, do Kolorado. Tym razem osiadł w Leadville, gdzie zapanowała właśnie gorączka srebra. Wyglądało na to, że dobry karciarz może tam nieźle żyć...



Choć „Długonosa Kate” dawno już zostawiła go na dobre, do śmierci miała nazywać siebie wdową po Docu Hollidayu. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że faktycznie się pobrali. Coraz bardziej podupadający na zdrowiu Doc zaczął prowadzić salę do gry w faro w saloonie Monarch. Pewnego razu, gdy zabrakło mu pieniędzy, pożyczył pięć dolarów od jednego z barmanów, Billy ego Allena. Tak się złożyło, że długo nie mógł oddać, więc Allen się zniecierpliwiał i zaczął go naciskać. W końcu, sfrustrowany, zagroził mu użyciem siły, jeśli dłużnik wkrótce nie odda pieniędzy. Najwyraźniej złość zmała mu rozum, skoro groził samemu Docowi Hollidayowi, przyjacielowi Wyatta Earpa, weteranowi sławnej już strzelaniny pod O.K. Corral i rzekomemu zabójcy co najmniej trzydziestu ludzi.

Holliday spokojnie doradził mu nie zaczynać, póki nie będzie miał po rewolwerze w każdej ręce.

Allen nie wytrzymał. Poszedł po broń i wrócił do saloonu Monarch. Kiedy wpadł do środka, wrzeszcząc i wymachując splotką, Doc wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko się bronić. W tamtym okresie szybkość, z jaką sięgał po rewolwer, prawdopodobnie była zaledwie cieniem dawnej świetności, ale wciąż wystarczała. Pierwszy strzał chybił. Allen wciąż nie wystrzelił, ale Doc wiedział, że musi się spieszyć. Odciągnął kurek swojego colta kaliber czterdzieści pięć i ponownie nacisnął spust. Tym razem nabój przeszedł przez ramię Allena. Barman upuścił rewolwer i upadł.

W saloonie rozległy się krzyki. Holliday obrócił się do jednego ze wstrząśniętych klientów, znanego obywatela Leadville o nazwisku Bradbury, i z typową kurtuazją mieszkańca Południa podał mu rewolwer, prosząc jedynie o przypilnowanie, by nikt nie strzelił mu w plecy.

Wkrótce miejscowi Stróże prawa zjawili się, by go aresztować. Allen był tylko ranny, ale Zachód stawał się coraz bardziej cywilizowany i nawet ktoś tak słynny jak Doc Holliday, nawet w takim miejscu jak Leadville, nie mógł ot tak sobie strzelać do obywateli, nie odpowiadając za to przed sądem. Podczas procesu mnóstwo świadków jednak potwierdziło, że Doc strzelał w samoobronie; sąd oddalił zarzuty.

Była to ostatnia walka Doca Hollidaya; ostatni rozdział krwawej i barwnej kariery hazardzisty, rewolwerowca i uczestnika jednej z najsłynniejszych strzelanin w historii Dzikiego Zachodu.

Po uniewinnieniu w Leadville przeniósł się do Glenwood Springs w Kolorado, gdzie mieściło się kilka gorących źródeł. Zamieszkał w hotelu (w

rzeczywistości będącym sanatorium) Glenwood Springs i brał częste kąpiele w nadziei, że gorąca, obfitująca w sole mineralne woda poprawi jego stan. Ale gruźlica była już zbyt zaawansowana. 8 listopada 1887 roku Doc zapadł w śpiączkę i już się nie obudził. Zmarł tego samego dnia w wieku trzydziestu sześciu lat.

Nim stracił przytomność, słyszano, jak mamrocze: „Zabawne”. Nie wiadomo, co miał na myśli. Może komentował w ten sposób fakt, że umiera w łóżku zamiast w wypełnionym dymem saloonie albo podczas walki z wrogami na zalanej południowym słońcem ulicy Dzikiego Zachodu.



## STRZELANINA W SALONIE LONG BRANCH

**P**isarz i historyk Dzikiego Zachodu William MacLeod Raine opowiada o pijanym kowboju, który wsiadł do pociągu w Kansas w czasach, gdy kolej dopiero zaczynała swój żywot w tym pogranicznym stanie. Poproszony przez konduktora o bilet, wyjął kilka monet i wybełkotał: „Chcę jechać do piekła”. „Wsiądź w Dodge”, odparł bez wahania konduktor. „Należy się dolar”.

Przez większość czasu Dodge City rzeczywiście przypominało piekło. Początkowo nazywało się Buffalo City i było małą osadą, położoną osiem kilometrów na zachód od posterunku wojskowego Fort Dodge. Założone przez Charliego Ratha i Roberta Wrighta, Buffalo City miało służyć hordom myśliwych, którzy zjechali na Wielkie Równiny Arizońskie pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku, by rozpocząć rzeź kudłatych bizonów. Handlarze whisky przybywali wozami pełnymi beczek samogonu; za nimi do miasta ścigali hazardziści i prostytutki. Wszystkim przyświecał jeden cel - wydoić myśliwych do ostatniego grosza.

Gwałtowny rozwój miasta rozpoczął się latem 1872 roku, gdy dotarły doń szyny kolei Atchison, Topeka & Santa Fe. Zmianę nazwy zawdzięcza prawdopodobnie dyrekcji generalnej poczty, która wytknęła lokalnym władzom istnienie w Kansas innego miasta o nazwie Buffalo, a także miejscowości o nazwie Buffalo Station. Dyrekcja uznała, że kolejne Buffalo nie wchodzi w grę. Na cześć Fort Dodge miasto zmieniło więc nazwę na

Dodge City i pozostało przy niej jeszcze długo po likwidacji fortu.

Nadal się rozrastało. Pod koniec lat siedemdziesiątych na całej długości Front Street, ulicy biegnącej po obu stronach torów kolejowych, ciągnęły się dziesiątki saloonów. Jeden z najlepszych nazywał się Long Branch<sup>[3]</sup>. Jego wąska sala zdominowana była przez długi, fantazyjny kontuar z twardego drewna, za którym znajdował się równie fantazyjny bar, nad nim zaś na ścianie wisiały rogi byka długorogiego oraz duży obraz ukazujący indiańską potyczkę. Na tyłach pomieszczenia stały rozproszone stoły, nad którymi górowała wystająca ze ściany głowa łosia z imponującym porożem. Całą salę oświetlały zawieszony pośrodku żyrandol z lampami olejnymi oraz kilka innych lamp zamocowanych w ścianach.

Jak każdy saloon Long Branch miał stałych klientów, którzy przesiadywali tam niemal co wieczór. Należeli do nich między innymi Levi Richardson, właściciel firmy przewozowej z siedzibą w Dodge City, oraz Frank Loving, lepiej znany jako „Zwariowany Frank”, zarabiający na życie hazardem. Jako stali bywalcy saloonu mężczyźni dobrze się znali. Łączyło ich także to, że obaj interesowali się tą samą kobietą, jedną z miejscowych tancerek, której nazwisko niestety nie zachowało się dla potomności.

Nie patrzyli więc na siebie przychylnie, gdy 5 kwietnia 1879 roku spotkali się w Long Branch. Richardson przyjechał akurat do miasta i postanowił się napić. Nie wiadomo, czy przewidywał, że spotka tam Franka Lovinga, ani czy miał względem niego jakieś plany. Franka jednak tam nie było, więc po pewnym czasie Richardson dopił ostatnią szklanekę whisky, gruchnął pustym naczyniem o bar i obrócił się ku drzwiom wiodącym do saloonu. Gdy się do nich zbliżał, los zrządził, że Frank Loving właśnie postanowił je przekroczyć.

Pewnie przyglądali się sobie zmrużonymi oczami, nim Loving minął Richardсона i przeszedł w głąb sali. Richardson po chwili wahania obrócił się i ruszył za nim. Loving usiadł - nie na krześle, lecz na brzegu stołu. Richardson poszedł w jego ślady, wybierając ten sam stół, co wyglądało na celową próbę podjudzenia rywala. Wymienili kilka niemiłych słów, po czym Frank wstał.

„Jeśli masz coś do powiedzenia na mój temat, może powiesz mi to prosto w twarz, jak dżentelmen, zamiast plotkować za moimi plecami, cholerny wszarzu” - burknął. Rozwścieczony Richardson także wstał. „Nie masz dość jaj, by ze mną walczyć” - zaszydził.

„Sprawdź!” - syknął pobladły gracz. Wiedział, że w tym miejscu i czasie

nie może zignorować wyzwania.

Richardson bez wahania sięgnął za pazuchę. Był biznesmenem, a nie rewolwerowcem, ale broń wyszarpnął naprawdę szybko. Loving też nie marnował czasu. Obaj odczuwali silne emocje. Adrenalina pulsowała im w żyłach. Wycelowali w siebie, stojąc tak blisko, że lufy rewolwerów niemal się stykały.

Richardson oddał pierwsze dwa strzały, lecz mimo bardzo niewielkiej odległości chybił. Loving pociągnął za spust, lecz usłyszał tylko trzask kurka. Broń nie wypaliła. Rzucił się w stronę stołu bilardowego, a Richardson wystrzelił kolejne dwa pociski, znów pudłując.

Biznesmen z wrzaskiem rzucił się w pościg za przeciwnikiem. Gracz spróbował wystrzelić raz jeszcze, i tym razem się udało. Strzelił jeszcze dwukrotnie, zmuszając Richardсона do uskoczenia za gruby żeliwny piecyk. Zza niego wystrzelił piąty pocisk.

Loving upadł, ale nie dlatego, że dosięgła go kula. Po prostu się pośliznął. Jeden z obecnych, William Duffey, przekonany, że Frank został ranny, wyciągnął rękę i wyrwał Richardsonowi broń, by ten nie mógł strzelić do leżącego.

W saloonie zapanował rumor. Wystrzały, krzyki, przekleństwa. Nagle przez frontowe drzwi wparował marshal Charley Bassett, wołając o wstrzymanie ognia i ciszę. Gdy wybuchła strzelanina, siedział w sąsiednim lokalu, więc natychmiast pognął do Long Branch.

Frank Loving pobierał się z podłogi. W zamieszaniu nie zauważył, że Duffey rozbroił Richardсона, i zaczął strzelać do chowającego się wciąż za piecem przeciwnika, kierując się praktyczną zasadą: „Najpierw strzelaj, potem myśl”. Wszystkie trzy kule trafiły w tułów Leviego. Biznesmen jęknął i zatoczył się do tyłu. Na jego koszuli wykwitwały już plamy krwi. Duffey złapał upadającego Richardсона i położył na stole. Chwilę później biznesmen skonał w zapadającej ciszy.

Charley Bassett dopchał się do Lovinga i wyrwał mu broń. Ktoś zawołał, by wezwać lekarza, ale było już za późno. Strzelanina spowodowała śmierć człowieka.

„Zwariowany Frank” niezwłocznie został postawiony przed ławą przysięgłych. Szanowani obywatele Pogranicza wysłuchali zeznań i szybko wydali werdykt: Frank Loving zabił Leviego Richardсона w samoobronie. Wystarczył im fakt, że w rewolwerze Richardсона jest pięć pustych łusek.

To akurat nikogo nie zdziwiło. Dziwniejsze było to, że Richardson i Loving razem oddali jedenaście strzałów w ciasnej sali. Trzy pociski ugodziły tego pierwszego. Pozostałych osiem utkwilo w ścianach i nie zrobiło krzywdy nikomu z wyjątkiem farby i tynku. Biorąc pod uwagę tłok i zaciekłość, z jaką strzelali do siebie dwaj mężczyźni, zaskakujące, a nawet zdumiewające było to, że świszczące pociski nie trafiły żadnej z osób postronnych.

Kariera Franka Lovinga jako rewolwerowca po walce z Richardsonem była krótka i niezbyt szczęśliwa. Zaledwie trzy lata później, w 1882 roku, zginął w strzelaninie z Jackiem Allenem w Trinidad w Kolorado. Najwyraźniej cały swój zapas szczęścia wykorzystał na uniknięcie pocisków wystrzelanych przez Richardсона w Long Branch. Kiedy przyszło do konfrontacji z Allenem, musiał przegrać.

Ale w Dodge City długo jeszcze opowiadano o dwóch rywalach do ręki pewnej dziewczyny, którzy strzelali się o nią w Long Branch. Pewnie nie takiej nieśmiertelności życzyliby sobie Levi Richardson i „Zwariowany Frank” Loving, lecz tylko taka była im pisana.





## STRZELANINA W TANCBUDZIE TUTTLE'A

**N**ewton w Kansas przeżywało swoje najlepsze chwile. Kilka lat wcześniej głównym punktem spędów była z Teksasu było leżące osiemdziesiąt kilometrów na północ Abilene, ponieważ mieściła się tam najbliższa stacja kolejowa, na której kowboje mogli sprzedać swoje stada. Ale w roku 1871 tory sieci Atchison, Topeka & Santa Fe dotarły do samego Newton, które stało się nowym celem wędrowek dziesiątków tysięcy krów długorogich oraz szalonych teksańskich kowbojów, którzy je tam przyprawdzali.

W każdym ośrodku spędów nieuniknione były niesnaski między miejscowymi a kowbojami, którzy po długiej, wyczerpującej wędrowce mieli ochotę się rozerwać. Tak też było w Newton. Tory kolejowe biegnące na wschód i na zachód przecinały miasto na pół. Szanujący się obywatele mieszkali na północy. Na południe od torów rozciągał się obszar zwany Hide Parkiem, co mogło stanowić błędnie zapisaną aluzję do londyńskiego Hyde Parku. Na dzikim zachodzie osiedliło się wielu Anglików i niektórzy z nich regularnie odwiedzali dzielnice czerwonych latarni. Tak czy inaczej, to właśnie w saloonach, tancbudach, burdelach i hazardowych melinach Hide Parku spędzali większość czasu przybywający wraz z krowami kowboje.

Jedenastego sierpnia 1871 roku odbywało się w mieście wyjątkowe referendum. Obywatele mieli odpowiedzieć na pytanie, czy hrabstwo powinno wyemitować obligacje w celu dofinansowania budowy linii kolejowej Wichita

& Southwestern, mającej połączyć Newton z rozrastającym się gwałtownie miastem Wichita. Takie referenda niemal zawsze były zarzewiem konfliktów, więc rada miejska postanowiła mianować kilku stróżów prawa do pilnowania porządku. Problem w tym, że niektóre z tych osób same były znane z wywoływania awantur.

Jedną z nich był Mike McCluskie, barczysty mężczyzna pracujący na co dzień w Newton jako stróż nocny. Inną - Teksaszczyk Billy Bailey (choć niektórzy twierdzili, że naprawdę nazywa się Wilson), kowboj, który przeszedł cały szlak przez Terytorium Indiańskie i postanowił zostać w Newton, by zarabiać na życie hazardem.

W wieczór referendum, zamiast przebywać w miejscu, gdzie liczono głosy, McCluskie i Bailey postanowili przejść się na południową stronę torów, do saloonu w Hide Parku. W cieniu za nimi skradał się młodzieniec znany jako Riley. Riley, prawie jeszcze dzieciak, cierpiał na gruźlicę i powszechnie uważano, że jego dni są policzone. Mimo swoich szorstkich manier McCluskie ulitował się nad chłopakiem i zaprzyjaźnił się z nim. Riley traktował go jak bożyszczkę i chodził za nim wszędzie niczym wierny pies.

Tego wieczoru w jakiejś spelunie McCluskie i Bailey pokłócili się nad kartami. Dokładna przyczyna sporu nie jest znana - być może poszło o grę, a może o to, że Bailey był Teksaszczykiem, a McCluskie, jak większość rdzennych mieszkańców Newton, czuł do tej grupy urazę i niechęć, mimo iż miasto prosperowało głównie dzięki nim. Niezależnie od przyczyny sporu obaj mężczyźni wyszli na ulicę, by rozstrzygnąć wzajemne animozje. Niektórzy historycy twierdzą, że takich pojedynków na Dzikim Zachodzie nigdy nie było, ale jest niemal pewne, że w tym przypadku się mylą. Rewolwery poszły w ruch, huknęły strzały i McCluskie odszedł nietknięty, a Bailey leżał martwy na ulicy.

Wiadomo też, że młody Riley obserwował wszystko i zapewne jego mniemanie o McCluskim jeszcze wzrosło.

Teksaszczyki w Newton tradycyjnie trzymali się razem. Kiedy rozeszła się wieść o śmierci Baileya, w saloonach zaczęto szemrać. Jeden z przyjaciół zmarłego, kowboj o nazwisku Hugh Anderson, poprzysiągł pomścić jego śmierć.

McCluskie, choć krewki, nie był głupcem. Postanowił nie kusić losu i wyjechał z Newton, zamierzając przeczekać gdzieś, aż oburzenie zabiciem Baileya przycichnie. Najwyraźniej jednak nie docenił wściekłości Andersona i

jego teksańskich kumpli albo po prostu nie wytrzymał zbyt długo z dala od uciech Hide Parku. Wrócił do miasta osiem dni po pojedynku, 19 sierpnia 1871 roku, i skierował swe kroki do tancbudy Perryego Tuttle'a, by się napić i potańczyć z zatrudnionymi tam dziewczętami. Częstymi bywalcami klubu byli kolejarze, którzy znali McCluskiego z czasów, gdy tam pracował. Riley jak zwykle siedział w kącie, z podziwem zerkając na swego idola.

Ktoś musiał donieść Tekszańczykom o powrocie McCluskiego, bo nagle drzwi przybytku otworzyły się gwałtownie i do sali wkroczył Anderson, a za nim kilku kumpli. Nie zamierzali strzępić jęzorów - mieli spluwy w rękach i od samego wejścia zaczęli strzelać. Błyski przeszywały zadymione wnętrza, a od licznych chmur prochu widoczność zmniejszyła się jeszcze bardziej. Pocisk wbił się w szyję McCluskiego, zwalając go z nóg. Poważnie ranny zdołał jednak wyszarpnąć z kabury rewolwer. Strzelił do Andersona. Trafił w udo.

Anderson upadł, ale jego koledzy wciąż strzelali, trafiając McCluskiego jeszcze dwukrotnie. Tym razem już nie podniósł się z podłogi.

Prawdopodobnie na chwilę zaległa cisza. Nie trwała jednak długo, bo na widok swojego idola leżącego nieruchomo na przysypanej trocinami podłodze Riley prześliznął się za plecami Tekszańczyków i zamknął drzwi sali. Potem sięgnął za pazuchę i wydobył rewolwer. Nikt w Newton nigdy dotąd nie widział go z bronią. Z całą pewnością nikomu nie przyszłoby do głowy, że umie strzelać. Był tylko chudym dzieciakiem umierającym na suchoty.

Tego wieczoru Riley zabijał jednak w sposób, jaki rzadko widywano nawet na Dzikim Zachodzie.

Strzelał raz za razem. Niektórzy Tekszańczycy umierali bezgłośnie, osuwając się na ziemię, gdy dosięgły ich kule. Inni zdążyli krzyknąć z bólu i zdziwienia. Niektórzy mimo zaskoczenia podjęli walkę. Na nieszczęście osób postronnych słabo celowali. Kolejarz Patrick Lee został śmiertelnie postrzelony w pachwinę. Kilka innych osób odniosło rany.

Dla tych, którzy znaleźli się tamtego wieczoru w zadymionym piekle, w które nagle zmieniła się tancbuda, strzelanina wydawała się trwać wieki. W rzeczywistości między pierwszym a ostatnim strzałem nie minęła nawet minuta. Hugh Anderson, który ją rozpoczął, okazał się jednym z największych szczęściarzy. Trafiony przez McCluskiego w udo, przewrócił się i już nie wstał, więc kolejne kule przelatywały nad nim, nie czyniąc mu krzywdy. Sześciu jego kompanów nie miało tyle szczęścia. Wliczając McCluskiego i zabitych świadków, zginęło dziewięć lub dziesięć osób. Dokładna liczba

wciąż jest przedmiotem sporów.

O ile wiadomo, Riley wyszedł z walki bez najmniejszego szwanku. Kiedy dym się rozwiął, chłopaka już nie było. Nikt nie wiedział, dokąd się udał, lecz nigdy więcej nie widziano go w Newton i jego dalsze losy są nieznane. Wiadomo tylko, że w gorący sierpniowy wieczór okazał się jednym z najgroźniejszych rewolwerowców na Dzikim Zachodzie.



Ta historia ma niejedno postscriptum. Świadkowie, którzy przeżyli, wskazali Hugh Andersona jako inicjatora strzelaniny. Został aresztowany przez miejscowych stróżów prawa i oskarżony o zabójstwo. Nim rozpoczął się proces, do miasta przybył z Teksasu jego ojciec, któremu doniesiono o całej sprawie. Jakimś cudem przekonał władze, by pozwoliły mu zabrać syna do domu w celu wyleczenia rany. Nie wiadomo, czy zrezygnowano z postawienia go w stan oskarżenia, ale do procesu w sprawie strzelaniny w tancbudzie nigdy nie doszło.

Los miał wobec Hugh Andersona inne plany. Koło zemsty musiało wykonać jeszcze jeden obrót. Niemal dwa lata później, w czerwcu 1873 roku, pracował on jako barman w placówce handlowej Hardinga w Medicine Lodge w Kansas, na południowy zachód od Newton (po wyleczeniu rany odniesionej w strzelaninie opuścił bowiem Teksas). Prawdopodobnie nie zapomniał o krwawych wydarzeniach tamtego wieczoru, ale i tak musiał się zdziwić, gdy mu doniesiono, że brat Mikea McCluskiego, Art, jest w Medicine Lodge i szuka zemsty.

Trzeba oddać Andersonowi sprawiedliwość: nie uciekał. Może wyczuł, że nie ma szans; że Art McCluskie będzie go ścigał choćby na kraniec świata, by wyrównać rachunki.

Na prośbę Andersona właściciel placówki handlowej, Harding, szanowany obywatel Medicine Lodge, zaaranżował pojedynek obu mężczyzn. Na oczach wielu mieszkańców Anderson i McCluskey stanęli naprzeciw siebie w jednej z tych walk „twarzą w twarz”, które rzekomo nigdy nie miały na Dzikim Zachodzie miejsca. Harding zorganizował ją profesjonalnie. Przeciwnicy stali z rewolwerami w rękach w odległości dwudziestu kroków, odwrócenie do siebie plecami. Na sygnał obrócili się ku sobie i zaczęli strzelać.

Pierwszy trafił McCluskie. Pocisk wbił się w rękę Andersona - nie tę jednak, w której kowboj trzymał broń. Siła uderzenia powaliła go na kolana, ale zdołał wystrzelić, trafiając rywala w szczękę.

Rozwścieczony Art mimo potwornego bólu rzucił się w stronę oponenta. Naciągnął kurek rewolweru, chcąc wystrzelić, gdy znajdzie się dość blisko. Nim zdążył to zrobić, Anderson oddał dwa strzały. Jeden pocisk trafił w ramię, a drugi w tułów. Ciężko zraniony McCluskie runął na twarz.

Nie wypuścił jednak broni z ręki, a po upadku znalazł się bliżej Andersona. Strzelił mu prosto w brzuch. Anderson upadł na ulicę.

McCluskie wciąż nie powiedział ostatniego słowa. Być może wiedział, że umiera, i chciał wysłać Andersona do piekła przed sobą. Upuścił rewolwer, wyjął nóż i na oczach przerażonych widzów zaczął się czołgać, cały we krwi, w stronę Teksańczyka.

Niektórzy ze świadków zaczęli wołać do Hardinga, by przerwał tę rzeź, ale on pokręcił głową. Anderson i McCluskie życzyli sobie walki do ostatniej kropli krwi.

Musieli dokończyć dzieła.

McCluskie był już niemal przy Andersonie. Podźwignął się i uniósł nóż nad głowę, by zadać ostateczny cios. Leżący twarzą do ziemi Anderson zdążył przeturlać się na bok. Ani przeciwnik, ani świadkowie nie zauważyli, że i on wyszarpnął nóż z pochwy. Ostatkiem sił uniósł go i zatopił ostrze w szyi McCluskiego. Krew trysnęła z rany, tworząc wokół walczących kałużę. Umierający zdążył jeszcze wbić nóż głęboko w bok Teksańczyka. To był już definitywny koniec. Śmiertelni wrogowie zmarli niemal w swoich ramionach wśród wsiąkającej w piach ulicy krwi.

Rachunki zostały wyrównane. Jedyłą zerwaną nitką w tej opowieści pozostaje młody, schorowany Riley. Do tej pory nie wiadomo, co się z nim stało, a biorąc pod uwagę upływ czasu, prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.



## LEVY, NIEDOCENIANY REWOLWEROWIEC

**J**ednym z najbardziej zakorzenionych obrazków z Dzikiego Zachodu jest ten prezentujący pojedynek, w którym dwaj stojący naprzeciwko siebie mężczyźni na sygnał wyszarpują broń z kabur i strzelają do siebie. Niektórzy historycy twierdzą, że takie zdarzenia nigdy (!) nie miały miejsca.

Źródła z tamtego okresu świadczą o czymś przeciwnym. Pojedyńki uliczne nie były oczywiście tak częste, jak sugeruje to współczesna fikcja, ale jeśli nawet są mitem, to niepozbawionym ziarna prawdy.

Weźmy przypadek Jima Levy ego, dziś niemal zapomnianego, lecz przez siebie współczesnych uznawanego za jednego z najskuteczniejszych rewolwerowców Dzikiego Zachodu. Urodzony w roku 1842 w Irlandii w rodzinie żydowskiej Levy wyjechał do Ameryki w młodości. Okoliczności jego emigracji nie są znane. Być może jego bliscy przemierzyli Atlantyk, uciekając przed wielkim głodem ziemniaczanym, kiedy Jim był dzieckiem, a może emigrował samotnie później. Wiadomo jedynie, że w roku 1871 pracował jako górnik w kopalniach srebra w Pioche w Nevadzie.

Nie było to typowe miasto kopalnianego boomu, ale stanowiło dość prężny ośrodek. Ludzie ściągali doń ze względu na niezłą jakość wydobywanej tu rudy. Oczywiście wśród przybyłych było sporo typów spod ciemnej gwiazdy, takich jak Mike Casey i Thomas Gosson. Pewnego razu, pokłóciwszy się (nie wiadomo dokładnie o co), obaj panowie wyszarpnęli rewolwery i zaczęli do

siebie strzelać. Gosson dostał kulkę. Wiedział, że rana jest śmiertelna. Ponieważ uzbierał dzięki pracy w kopalni sporą sumkę, przed śmiercią w obecności świadków oznajmił, że ktokolwiek zabije Mike'a Caseya, ma prawo pobrać pięć tysięcy dolarów z jego majątku.

Rozpoczęła się nagonka na Mike'a. Nie wiadomo, czy Jim Levy był pierwszym, który ruszył za nim w nadziei na zgarnięcie nagrody, ale z całą pewnością był tym, któremu udało się dopiąć celu. Dopadł Caseya na ulicy przed sklepem kolonialnym w Pioche i oddał strzał, którym powalił go na ziemię. Casey nie zginął jednak na miejscu. By otrzymać nagrodę, Levy musiał dobić ofiarę. Podszedł do leżącego, lecz zamiast wpakować w niego kolejną kulkę, schylił się i zaczął okładać go po głowie rewolwerem. Niektórzy ze świadków, uważający się za kumpli Caseya, uznali, że tak nie traktuje się ani broni, ani rannego. Jeden dobył rewolweru i strzelił do Jima, trafiając go w szczękę.

Rana musiała być na tyle poważna, że uniemożliwiła Levy emu zabicie sprawcy. W każdym razie historia o tym milczy. Strzał padł jednak za późno, by uratować Caseyowi życie. Jim zdążył zgruchotać mu czaszkę.

Wojowniczy imigrant pozostał w Pioche jeszcze przez pewien czas, by wyleczyć ranę. Ci, którzy go znali, twierdzili, że strzelanina z Caseyem go zmieniła: stał się silniejszy i bardziej bezwzględny. Uczestniczył w kolejnych rozróbach i zabił co najmniej jedną osobę: niejakiego Thomasa Ryana. Być może to Ryan postrzelił go podczas rozprawy z Caseyem - wydaje się logiczne, że Levy nie chciałby, żeby tamto zdarzenie uszło sprawcy płazem - lecz nie ma na to żadnych dowodów. Fakt, że Levy stanął za to zabójstwo przed sądem i został uniewinniony, może oznaczać, że przysięgli znaleźli usprawiedliwienie dla jego czynu.

Po procesie wyjechał do Virginia City w Nevadzie i został karciarzem. Życie hazardzisty mu odpowiadało, ale kiedy rozniosła się wieść, że w Black Hills na Terytorium Dakoty odkryto złoża złota, Levy nie zdołał się oprzeć pokusie i wraz z tysiącami innych poszukiwaczy z całego kraju ruszył w tamtą stronę.

Nie dotarł do samej Dakoty. Zatrzymał się w Cheyenne w Wyoming, które stało się bazą śmiałków zmierzających do Black Hills. W tym tętniącym życiem miasteczku znów zajął się hazardem i prawdopodobnie szło mu całkiem nieźle. Z całą pewnością nie brakowało naiwnych, których mógł oszukać, o ile w ogóle musiał oszukiwać, by oskubać większość z nich.

Trudno się jednak dziwić, że niektórzy z ogranych z czasem zaczęli uważać, że Levy kantuje trochę za bardzo, niż pozwala przyzwoitość. Jedną z tych osób był Charlie Harrison, zawodowy hazardzista pochodzący ze Wschodu. Harrison uchodził też za dobrego Strzelca. Powiadano, że zabił kilku ludzi w uczciwej walce. Podobno wyróżniał się niesamowitą szybkością.

Jima Levy ego to nie przstraszyło. Kiedy pokłócili się przy grze i Harrison zaczął miotać obelgi pod adresem jego irlandzkiego i żydowskiego pochodzenia, Levy wyzwiał go na pojedynek. Harrison ochoczo się zgodził i obaj mężczyźni umówili się na walkę uliczną przed saloonem Frenchy ego.

Nie zachowały się informacje na temat tego, w jakiej odległości od siebie stali ani kto pierwszy wystrzelił. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że był to dokładnie taki pojedynek, jaki później spopularyzowały powieści i filmy. Obaj dobyli rewolwerów i wystrzelili. Harrison oddał pierwszy strzał - a konkretnie kilka pierwszych strzałów, bo kiedy on jak szalony naciskał spust, Levy stał spokojnie, ignorując świszczące wokół kule, i celował do przeciwnika. Kiedy jego rewolwer wreszcie wypalił, Harrison padł na ziemię. Co z tego, że był szybki, skoro trafiał wszędzie, tylko nie w cel, podczas gdy rywalowi wystarczył jeden strzał, by wpakować w niego kilka uncji ołowiu.

Z wycelowanym w Harrisona rewolwerem Levy podszedł do rannego i stanął nad nim. W odróżnieniu od pojedynku w Pioche, kiedy zatłukł Mike'a Caseya kolbą na śmierć, tym razem użył broni w sposób bardziej konwencjonalny: wpakował w przeciwnika kolejny pocisk. Świadkowie nie byli zachwyceni, ale przynajmniej nikt do niego nie strzelał. Opinia zimnokrwistego zabójcy przywędrowała za nim z Nevady do Wyoming, a pojedynek z Charliem Harrisonem tylko utwierdził ludzi w mniemaniu, że lepiej się do niego nie zbliżać.

Ta krótka walka przed saloonem Frenchyego odbyła się 9 marca 1877 roku. Trafiony dwukrotnie Harrison żył jeszcze trzynaście dni, by ostatecznie skonać 22 marca. Levy nie stanął przed sądem. Kiedy rozeszła się wieść o pojedynku, słynniejsi rewolwerowcy pokroju Wyatta Earpa i Bata Mastersona uznali go za idealne potwierdzenie tezy, że dla Strzelca ważniejsza jest celność niż szybkość.

Najwyraźniej Levy odczuwał to samo pragnienie wędrowania co wielu innych ludzi Zachodu. Z Cheyenne przeniósł się do Leadville w Kolorado, a następnie do Tombstone na Terytorium Arizony. Udawało mu się unikać rozgłosu, choć oba te miasta słyną ze strzelanin. Biorąc jednak po uwagę jego



charakter i zwyczaj rozstrzygnięcia sporów za pomocą rewolweru, można było się spodziewać, że prędzej czy później znów wpakuje się w kłopoty.

Stało się to w Tucson. Saloon Fashion należał do najpopularniejszych barów w mieście, więc Levy często uprawiał tam swoją hazardową profesję. Pewnego razu wdał się w kłótnię z człowiekiem prowadzącym grę w faro, jakimś Johnem Murphym. Po ostrej wymianie słów ktoś - prawdopodobnie Levy - zaproponował wyjście na ulicę w celu rozstrzygnięcia sporu. Pojedynek miał się odbyć następnego ranka, by każdy z uczestników mógł przespać jeszcze jedną noc przed ewentualnym udaniem się na wieczny odpoczynek.

Levy musiał się czuć bardzo pewnie. W końcu uczestniczył już w dwóch takich walkach i z obu wyszedł zwycięsko. Ba, sami Wyatt Earp i Bat Masterson uważali go za niebezpiecznego!

Może John Murphy wiedział, co Earp i Masterson mówili o Levym, a może po prostu był człowiekiem praktycznym. Przed zaplanowanym pojedynkiem, nieco po północy 5 czerwca 1882 roku, idąc jedną z ulic Tucson z dwoma kumplami, Daveem Gibsonem i Billem Moyerem, zauważył Levy ego stojącego w drzwiach hotelu Palace. Jeden z tej trójki wyjął broń i strzelił w jego kierunku. Pozostali dołączyli.

Levy nie spodziewał się walki przed nadejściem ustalonej pory. Strzały całkowicie go zaskoczyły. Pociski trafiły we framugę nad jego kapeluszem, posyłając liczne drzazgi na wszystkie strony. Wtedy spokojny zwykle Levy popełnił błąd. Wydało mu się, że to ktoś z wnętrza hotelu strzela do niego, więc w panice wybiegł po drewnianym chodniku na ulicę, wystawiając się idealnie na cel. Nie miał szans. Murphy, Gibson i Moyer dosłownie roznieśli go na strzępy.

Murphy i jego kompani prawdopodobnie zamierzali powiedzieć, że działali w samoobronie, bojąc się, że znany z okrucieństwa Levy zaraz zacznie do nich strzelać. Pewnie ta taktyka by się sprawdziła, gdyby nie fakt, że ludzie, którzy wybiegli z hotelu na dźwięk strzałów, przeszukali ciało Levy ego i nie znaleźli przy nim broni. Słynny rewolwerowiec był nieuzbrojony, gdy otwarto do niego ogień.

Nawet na Dzikim Zachodzie, gdzie prawo egzekwowano nad wyraz kapryśnie, zabicie bezbronno było przepustką do aresztu. Murphy, Moyer i Gibson wylądowali więc za kratkami pod zarzutem morderstwa. Nim jednak doszło do procesu, zabójcy zdołali uciec. Posłano za nimi grupę pościgową,

ale na próżno. Mordercy Levy ego uniknęli kary i nie wiadomo, co się z nimi działo od tamtej pory. Ich dalsze losy to jedna z wielu nierozstrzygniętych kwestii w historii Pogranicza.

A Jim Levy, niegdyś budzący grozę rewolwerowiec, dziś jest niemal równie zapomniany jak jego zabójcy.



## POJMANIE „CZARNOLICEGO CHARLEYA” BRYANTA

**W** roku 1892 Hennessey w Oklahomie było małą, spokojną osadą, położoną na północny zachód od Guthrie, stolicy terytorium.

Były ranczer Ben Thorne wraz ze swą siostrą Jean prowadził tam hotel Rock Island, będący jednym z nielicznych dwukondygnacyjnych budynków w miasteczku. W sierpniu na górnym piętrze zatrzymał się pewien mężczyzna, któremu nie przeszkadzało, że hotel jest obskurny i zapuszczony. Chorował i potrzebował odpoczynku. Nie wiedział, co mu dolega, lecz był przekonany, że zaraził się tym od jakiejś prostytutki.

W pobliskim Mulhall pracował lekarz, który podobno umiał leczyć takie przypadłości. Mężczyzna właśnie się do niego wybierał, lecz w Hennessey zabrakło mu sił i musiał zatrzymać się w hotelu. Znał to miasteczko, bo mieszkała tu jego siostra, więc postanowił zostać kilka dni, by odetchnąć. Leżąc w łóżku, dotknął ciemnej szramy na lewym policzku - pozostałości po walce w pewnym saloonie, podczas której rewolwer wypalił mu niemal prosto w twarz. Był środek dnia, więc mężczyzna poprosił o przyniesienie lunchu do pokoju. Miał nadzieję, że wkrótce mu go dostarczą.

Nie wiedział, że Jean Thorne idzie już z tacą po schodach... a za nią postępuje mężczyzna z rewolwerem.



Charley Bryant nie zawsze był przestępcą. Zaczynał jako kowboj opiekujący się bydłem na ranchu Oscara Halsella HX Bar nad rzeką Cimarron. Wśród kowbojów Halsella było sporo lekkomyślnych młodzieńców, którzy łatwo przechodzili na drogę bezprawia. Należał do nich Bill Doolin (o którym szerzej pisać będziemy w rozdziale „Banda Doolina kontra marshale federalni”). W roku 1891 Bryant, Doolin i kilku innych kowbojów z Oklahomy zaprzyjaźnili się z trzema braćmi z Kansas - Bobem, Gratem i Emmettem Daltonami - którzy rozpoczynali właśnie swoje przestępcze kariery. Choć niektórzy twierdzą, że wraz z bratem Billem już wcześniej brali udział w kilku rabunkach w Kalifornii, bardziej prawdopodobne jest, że ich pierwszym prawdziwym przestępstwem był napad na pociąg ekspresowy linii Santa Fe, dokonany w Wharton 9 maja 1891 roku.

Akcję zaplanował Bob Dalton, wykorzystując strategię podobną do tej, którą stosowała banda Jamesa i braci Youngerów. Ekspres Guthrie-Wichita pędził na północ, zatrzymując się w miasteczkach na trasie jedynie na wyraźne żądanie. Rozkład jazdy, którego maszyniści starali się trzymać jak najściślej, zakładał przejazd przez Wharton o dwudziestej drugiej trzynastcie.

Krótko przed tą godziną kilku członków gangu podjechało pod stację, lecz tylko dwóch weszło do środka, zasłoniwszy uprzednio twarze chustami. Jednym z nich z całą pewnością był Charley Bryant; drugim prawdopodobnie Bob Dalton, który chciał osobiście dopilnować realizacji misternego planu. O tej porze na stacji dyżurował tylko jeden człowiek. Gdy podniósł głowę i zobaczył dwóch zamaskowanych bandziorów, zrobił jedyną rozsądną rzecz: podniósł ręce i bez sprzeciwu współpracował.

Przestępcy polecili dróżnikowi wysłać do maszynisty sygnał, by zatrzymał pociąg. Gdy wykonał rozkaz, pchnęli go na krzesło i związali mu ręce za plecami. Uznali, że nie może im już zagrozić. Pociąg właśnie nadjeżdżał.

Widząc sygnały, maszynista zaczął hamować. Lokomotywa z sykiem i szarpnięciami zatrzymała się na stacji. Nim pociąg całkowicie wytracił prędkość, jeden z bandytów wskoczył do lokomotywy i przyłożył maszyniście lufę do twarzy. W wagonie ekspresowym kurier otworzył drzwi, by sprawdzić, dlaczego pociąg stoi. Na widok kilku wymierzonych w siebie karabinów natychmiast zrozumiał, że właśnie popełnił kardynalny błąd. Podniósł ręce i cofnął się, by wpuścić napastników.

Konduktor tymczasem wyskoczył z brankardu<sup>[4]</sup> i ruszył wzdłuż pociągu,

by sprawdzić, co się dzieje. Gdzieś w ciemności rozbrzmiał wystrzał i pocisk uderzył w ziemię u jego stóp. „Nie ruszaj się!”- zakomenderował nieznajomy głos. Konduktor posłuchał. Napastnicy poradzili sobie z nim równie łatwo jak z dróżnikiem i kurierem.

W wagonie ekspresowym dwaj członkowie bandy zmusili kuriera do wypełnienia worka po zbożu pieniędzmi z sejfu. Gdy wpakował tam około półtora tysiąca dolarów, odwrócili się, by zejść na peron.

Wówczas jeden z nich, Charley Bryant, zajrzał przez okno dworca i zauważył, że człowiek, którego związali, jakimś sposobem się uwolnił. Pochylony nad telegrafem, z całą pewnością wysyłał właśnie informacje o napadzie. Bryant bez wahania uniósł karabin na wysokość ramienia i wypalił. Kula roztrzaskała szybę i ugodziła dróżnika, powalając go na ziemię. Rana okazała się śmiertelna.

Strzelec i jego kompan wskoczyli na konie trzymane przez innych członków bandy i pognali w ciemność, unosząc ze sobą łup, a za sobą zostawiając trupa. W ten sposób przeszli swój przestępczy chrzest.

Wczesnym rankiem następnego dnia Daltonowie i ich towarzysze, w tym Charley, ukradli niewielkie stado koni. Natknęli się na nie, uciekając jak najdalej od miejsca rabunku, i uznali za dobry pomysł zostawić swoje wierzchowce i przesiąść się na inne. W rzeczywistości postąpili głupio. Skradzione konie spowalniały ucieczkę, a do tego sprowadziły im na kark kolejną grupę pościgową. Ta, złożona z kowbojów i ranczerów, nie miała pojęcia, że złodzieje ich koni to ci sami ludzie, którzy odpowiadają za napad na pociąg i morderstwo w Wharton.

Wieczorem nad strumieniem zwanym trafnie Skeleton Creek - Strumieniem Szkieletów - pościg dogonił zaskoczonych bandytów. Po krótkiej wymianie ognia przestępcy porzucili skradzione konie i uciekli pieszo w prerię, ponownie zostawiając za sobą trupa - tym razem członka grupy pościgowej o nazwisku Starmer.

Mając na koncie dwa zabójstwa w ciągu niecałej doby, nowo utworzona banda Daltonów zapewne uznała, że warto przez jakiś czas się nie wychylać. Ten okres trwał około trzynastu miesięcy. Może dyskutowali, czy kontynuować działalność przestępczą, a może po prostu czekali na właściwy moment do jej wznowienia.

Niektórzy członkowie bandy - Bill Doolin, Dick Powers i Dick Broadwell - wrócili na ranczo HX Bar i kontynuowali pracę jako kowboje. Daltonowie

mieli jednak szczególny powód do pozostawiania w ukryciu, kurier z pociągu zidentyfikował bowiem Boba jako jednego z mężczyzn, którzy go zaatakowali, co wywołało serię sensacyjnych artykułów w prasie na temat tak zwanej bandy Daltonów. Drugiego bandyty kurier nie znał, ale zapamiętał dużą ciemną szramę na jego lewym policzku. To ten człowiek oddał śmiertelny strzał do dróżnika. Jego rysopis wysłano do wszystkich stróżów prawa na Terytorium Oklahomy.

Minęły miesiące i choć o napadzie w Wharton nie zapomniano, szum wokół niego znacznie przycichł. Kolej Santa Fe wyznaczyła tysiąc dolarów nagrody za informacje, które pomogą aresztować i skazać bandytów, a kolejny tysiąc za schwytanie zabójcy dróżnika.

W sierpniu 1982 roku Charley Bryant był już chory, prawdopodobnie na syfilis. Szukając pomocy, natknął się na wieść o lekarzu z Mulhall, który leczył takie przypadłości. Wyruszył do niego, zatrzymując się po drodze w Hennessey dla nabrania sił.

Był w miasteczku znany, bo mieszkała tam jego siostra Daisy. Źródła donoszą, że była nader atrakcyjna - miała wszystko na swoim miejscu i była ulubienicą Boba Daltona. Biorąc pod uwagę jej bliskość z Bobem i fakt, że Bryant miał na policzku czarną szramę, nie powinno nikogo dziwić, że ktoś w końcu zaczął podejrzewać go o udział w napadzie na pociąg i zabicie dróżnika. Bardziej zastanawia to, że wpadł na to dopiero marshał federalny Ed Short.

Short pracował w biurze marshala w Guthrie, lecz trzymał pieczę nad regionem Hennessey. Kiedy uznał, że czas przymknąć Bryanta, pojechał na rancho 3 Circle Z, gdzie ten pracował niedawno jako kowboj. Oczywiście go tam nie zastał, ale biorąc pod uwagę to, jak szybko zawrócił do Hennessey, ktoś zapewne go poinformował, gdzie może znaleźć poszukiwanego.

Marshał prawdopodobnie przesłuchał Bena i Jean Thorneow i dowiedział się, że Bryant jest na górze. Kiedy Jean ruszyła po schodach z tacą dla Charleya, szedł za nią. Kobieta zapukała do drzwi i przedstawiła się, a chory bandyta zaprosił ją do środka. Zamiast niej drzwi otworzył Short, mierząc do Bryanta z broni. Na stoliku nocnym leżał rewolwer, lecz Charley ani myślał po niego sięgać. Wiedział, że gdyby wykonał taki ruch, marshał natychmiast by strzelił.

Short pozwolił aresztowanemu się ubrać, po czym zatrzasnął mu kajdanki na rękach. Nie wiedział, ilu przyjaciół ma Charley w Hennessey ani jak bardzo

będą zdeterminowani, by pomóc mu w ucieczce, gdy dowiedzą się o jego aresztowaniu. Uznał, że najrozsądniej będzie jak najszybciej opuścić miasto wraz z więźniem. Niestety na najbliższy kurs do Guthrie musiałby czekać do następnego dnia. Marshal wykombinował więc inny plan. Postanowił wsiąść w wieczorny pociąg linii Rock Island jadący do Wichita i na jedną noc wsadzić Bryanta do dobrze pilnowanego więzienia w tym mieście, a nazajutrz zabrać go do Guthrie.

Może by się udało, gdyby działał z nieco większą ostrożnością.

Wyjechali z hotelu późno, by nie musieć długo czekać na stacji. Short bez problemu zapakował Bryanta do pociągu. „Zapakował” w sensie dosłownym, bo zamiast w wagonie pasażerskim, umieścił go w towarowym, uznając, że kurier pomoże mu pilnować więźnia.

Pociąg linii Rock Island kursował raczej regionalnie, a nie ekspresowo jak ten, który obrabowano w Wharton. Zatrzymywał się na każdej stacji, niezależnie od sygnałów. Po kilku przystankach, na których nic się nie działo, przystanął w małej miejscinie Waukomis. Bryant od chwili swego aresztowania zachowywał się potulnie: siedział z pochyloną głową i dłońmi wciśniętymi między kolana. Możliwe, że było to pokłosie choroby. Tylko dlatego, że przespał się z niewłaściwą kobietą, cierpiał teraz katusze, a na domiar złego czekała go odsiadka lub nawet strybek.

Pewnie uznał, że nie ma nic do stracenia.

Gdy pociąg się zatrzymał, Ed Short podał swój rewolwer kurierowi, prosząc go, by przypilnował więźnia, gdy on wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza. Karabin wciąż miał przy sobie, wciśnięty pod pachę.

Kurier się zgodził, ale miał do wypisania jakieś papiery i po kilku minutach przestał zwracać na areштanta uwagę. Wrzucił broń do jednej z przegródek na pocztę i skupił się na pracy.

Nie wiadomo, czy Bryant czekał na taką sposobność, czy po prostu zwietrzył szansę. Ze zdumiewającą szybkością rzucił się poprzez wagon i obiema skutymi dłońmi chwycił odłożony lekkomyślnie rewolwer. Wstrząśnięty kurier uniósł ręce i uciekł w kąt, nawet nie próbując powstrzymać więźnia przed ucieczką.

Gdy uzbrojony Bryant wyskoczył na peron, Ed Short znajdował się w odległości zaledwie kilku metrów od drzwi wagonu. Charley bez wahania wystrzelił do człowieka, który go aresztował.

Już pierwszy strzał okazał się śmiertelny. Short nie skonał jednak od razu.

Zdołał się odwrócić i podnieść karabin. Nim osunął się na kolana, oddał dwa strzały. Kule trafiły Bryanta, mężczyzna upadł na plecy i stoczył się po stopniach peronu. Short upuścił broń i w kałuży krwi czołgał się, by schwycić przeciwnika za nogi. „Nie mogę pozwolić mu uciec!”, myślał pewnie w swoich ostatnich chwilach.

I nie pozwolił. „Czarnolicy” Charley Bryant już nie żył. Człowieka, który oddał pierwszy śmiertelny strzał w historii bandy Daltonów, dosięgła sprawiedliwość.



CZĘŚĆ DRUGA



# BANDY

---

*Nie strzelaj. Nie mam broni. Jestem człowiekiem,  
którego szukasz. Jestem Sam Bass*

— Sam Bass



## WOJNA O STOLICĘ HRABSTWA

**N**a Dzikim Zachodzie, podobnie jak we współczesnym świecie, wiele rzeczy mogło doprowadzić do nagłego wybuchu przemocy. Niektóre przyczyny były tak banalne, że można się zdziwić, iż ludzie chcieli o nie walczyć i ginąć. Pewnego razu na przykład rozgorzała autentyczna wojna o to, które miasto ma zostać stolicą hrabstwa.

Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku, gdy w zachodniej części Kansas tworzone nowe hrabstwa, znajdujące się w nich miasta rywalizowały zaciekle o to, gdzie będzie się mieściła siedziba lokalnych władz. Mogło to przynieść korzyści materialne, bo to w stolicy koncentrował się zwykle miejscowy biznes. Głównie jednak chodziło o dumę i poczucie wyższości mieszkańców. Niektóre miasta posuwały się do tego, że wynajmowały bandy rewolwerowców do „ochrony swoich interesów”, polegającej między innymi na zastraszaniu wyborców - bronią, jeśli inaczej się nie dało - i zmuszaniu do głosowania na konkretne miasto. Z kolei po wyborach przegrani niekiedy wynajmowali bandziorów do „apelacji”. Dla prerii zachodniego Kansas były to krwawe czasy

Jedna z najkrwawszych wojen tego rodzaju, w której przewijają się nazwiska dobrze znane z historii Dzikiego Zachodu, rozegrała się w hrabstwie Gray, na zachód od Dodge City, między miasteczkami Cimarron i Ingalls. W roku 1887 odbyły się wybory, które wygrało Cimarron. Ingalls utrzymywało, że przeprowadzono je nieuczciwie, wykorzystując głosy pracowników kolei, którzy nie mieli prawa brać w nich udziału. Delegacja przegranego miasta złożyła w tej sprawie pozew w sądzie.

Sprawa ciągnęła się przez rok, by ostatecznie trafić do Sądu Najwyższego Kansas. Ten zdecydował o zasadności protestu. Wyniki wyborów anulowano i podjęto decyzję, że od tej chwili stolicą hrabstwa Gray zostaje Ingalls.

Oczywiście w Cimarron nie przyjęto tej decyzji z entuzjazmem. Kiedy sądy różnych instancji pochylały się nad kwestią wyborów, odbyły się inne wybory - sekretarza okręgu. Wygrał je człowiek z Ingalls, Newt Watson, więc kiedy Sąd Najwyższy zdecydował, że nową stolicą hrabstwa będzie jego miasto, wysłał do Cimarron żądanie przekazania mu pieczęci i dokumentacji hrabstwa. Urzędnicy z Cimarron odmówili i sytuacja szybko się zaogniła.

Szczególnie palił się do konfrontacji jeden z przywódców frakcji z Ingalls, geodeta George Bolds. Zaproponował wynajęcie grupy zbrojnych, która pojedzie do Cimarron i odbije pieczęć oraz dokumenty. Nie był to nowy pomysł.

Podobny konflikt między miastami Leoti i Coronado w hrabstwie Wichita kosztował życie kilku ludzi. Bolds zaproponował, by Watson i inni urzędnicy miejscy z Ingalls skontaktowali się z Billem Tilghmanem, młodym obrońcą prawa z Dodge City, który brał udział w tamtych wydarzeniach, i wynajęli go do zorganizowania akcji. Tilghman przyjął ofertę.

Był on wysokim, postawnym mężczyzną, w przeszłości pracującym jako łowca bizonów, doskonale władającym zarówno krótką, jak i długą bronią. Polował w Kansas i w Texas Panhandle (północnych regionach Teksasu). Przeżył sporo, kilkakrotnie uczestniczył w walkach z Indianami, a podczas gwałtownej burzy śnieżnej omal nie umarł z wyziębienia. W Adobe Walls, miejscu słynnej bitwy między łowcami bizonów a Indianami, poznał innego młodego myśliwego, Bata Mastersona, i zaprzyjaźnił się z nim na resztę życia. Tilghman, Masterson i Neal Brown razem zabijali bizony, póki stada nie zostały wytrzebione do tego stopnia, że polowania przestały się opłacać. Wtedy Masterson i Brown wrócili do Dodge City, gdzie już ich znano, i zostali stróżami prawa. Mastersona wybrano na szeryfa hrabstwa Ford, a Brown został zastępcą marszala miejskiego, podległym bratu Bata - Jimowi Mastersonowi.

Tilghman też w końcu przyjechał do Dodge i może nawet służył jako jeden z zastępców Bata, lecz nie ma co do tego pewności. Wiadomo natomiast, że próbował szczęścia jako ranczer i właściciel sa- loonu, a w roku 1884 został marszałem Dodge City. Budził szacunek, a nawet lęk; pod jego panowaniem dzikie i chaotyczne do tej pory miasto znacząco się ustatkowało. Gdy jednak

po wielkiej śnieżycy w roku 1886, która zabiła mnóstwo bydła, handel niemal zamarł, Dodge zrobiło się zbyt senne jak na gust Tilghmana, postanowił więc nie ubiegać się o reelekcję i wrócił do prowadzenia rancza.

Choć nie był tak zuchwałym poszukiwaczem sławy jak na przykład Dziki Bill Hickok, egzekwowanie prawa weszło mu w krew. Być może dlatego angażował się w wojny o stolicę hrabstwa. Pieniądze i możliwość przeżycia przygody także mogły odegrać w tym pewną rolę.

Gdy już zaakceptował honorarium w wysokości tysiąca dolarów, które miał otrzymać od obywateli Ingalls, zaczął planować najazd na siedzibę władz w Cimarron. Oczywiście nie mógł przeprowadzić tak brawurowej akcji sam. Dokooptował sobie kilku ludzi, w tym Neala Browna i Jima Mastersona, swoich towarzyszy z czasów, gdy wszyscy trzej pilnowali prawa w Dodge City. Niektórzy utrzymują, że do drużyny należał także Wyatt Earp, lecz nie ma na to dowodów. Z pewnością natomiast należał do niej krewki geodeta George Bolds.



---

William Tilghman, fotografia z późnego okresu życia. Jeden z najstynniejszych zwiadowców, łowców bizonów i stróżów prawa w historii Dzikiego Zachodu. Jego kariera przypadła na okres od początków Pogranicza do naftowej gorączki w Oklahomie na początku XX wieku *Ze zbiorów Denver Public Library, Western History Collection*

---

Tilghman postanowił uderzyć na budynek rządowy wczesnym rankiem 2 stycznia 1889 roku. Był to pierwszy dzień po Nowym Roku i w dodatku niedziela, więc miał nadzieję, że pobożni mieszkańcy będą się zbierali do kościoła, a ci, którzy długo świętowali, wciąż będą odsypiać. Liczył na to, że on i jego ludzie wjadą do miasta, zabiorą z biura pieczęć i dokumenty, po czym wyjadą, nim ktokolwiek się zorientuje, co jest grane.

Plan ten nie do końca się powiódł.

Przyjechali do Cimarron krytym wozem i zatrzymali się przed siedzibą władz. Mieli karabiny i rewolwery, a do piersi przypięte odznaki, zostali bowiem zaprzysiężeni przez Tilghmana jako zastępcy tymczasowego szeryfa

hrabstwa Gray, którym on sam został mianowany przez Newta Watsona, by nadać wyprawie znamiona legalności. Był pogodny, ale chłodny zimowy poranek. Tilghman i jego kompani zeskoczyli z wozu, weszli do niezamkniętego na klucz biura sekretarza i zaczęli wynosić pliki dokumentów.

Nie wiadomo, jak zaczęła się awantura. Ktoś spośród mieszkańców musiał zauważyć intruzów i domyślić się, co się święci, albo też plany Tilghmana jakimś sposobem wyciekły. Tak czy owak, ciszę niedzielnego poranka rozdarły nagle strzały oddawane z okolicznych budynków. Tilghman, Bolds i kilku innych zastępców stało wtedy na zewnątrz przy wozie. Kula trafiła Tilghmana w nogę, lekko go raniąc. Inny członek grupy, Ed Brooks, został poważniej ranny w brzuch. George Bolds w ciągu kilku sekund dostał trzy kulki. Koledzy pomogli broczącemu krwią mężczyźnie ukryć się na wozie. Pełniący funkcję woźnicy Charlie Reicheldeffer także został trafiony, lecz zdołał utrzymać się na koźle i nie puścić lejców.

Tilghman miał ze sobą swój stary, ciężki karabinek do polowania na bizona. Rozpoczął kanonadę, przeładowując szybko między strzałami z wprawą doświadczonego myśliwego. Wielkie pociski wpadały do budynków, w których chowali się napastnicy, i zmuszały ich do uchylenia się, dając oddziałowi Tilghmana czas na przeniesienie rannych na wóz. Reicheldeffer machnął lejcami, dał znak kompanom i konie ruszyły, a Tilghman osłaniał transport, strzelając z końca podskakującego pojazdu.

Niestety, gdy rozpoczęła się strzelanina, w budynku wciąż znajdowali się czterej członkowie oddziału: Jim Masterson, Newt Watson, Fred Singer i Billy AUensworth. W powietrzu świstało zbyt wiele ołowiu, by mogli ryzykować bieg w kierunku wozu po otwartej przestrzeni. Gdy Tilghman i reszta odjechali, uwaga obrońców siedziby skupiła się na pozostałej czwórce. Bez wątplenia zamierzali wykorzystać nadarżającą się okazję, by dać nauczkę ludziom z Ingalls. Niecni intruzi mogli się spodziewać co najmniej wytarzania w smole i pierzu przez rozwścieczonych mieszkańców Cimarron. Kto wie, mogło nawet dojść do linczu...

Masterson i reszta pognali schodami na piętro, wiedząc, że lepiej będzie ostrzeliwać się z wyższych poziomów. Wycelowali broń w schody - i rzeczywiście, gdy tylko mieszkańcy nabrali odwagi, wpadli do budynku i ruszyli na górę, wykrzykując wyzwiska pod adresem napastników.

Masterson, Watson, Singer i AUensworth otworzyli ogień. Gniewne okrzyki szybko przeszły w jęki i mieszkańcy się wycofali. Kilku odniosło

rany, a intruzom ukrytym na piętrze nie stała się najmniejsza krzywda.

Jim Masterson, choć nigdy nie dorównał sławą bratu, potrafił utrzymać w walce nerwy na wodzy i był solidnym, godnym zaufania policjantem. Prawdopodobnie wywarł na towarzyszy kojący wpływ. Póki mieli amunicję, mogli odpierać ataki. Jedynym prawdziwym zagrożeniem była możliwość podpalenia budynku przez obywateli miasta. Wtedy Masterson i jego towarzysze znaleźliby się na straconej pozycji.

Mieszkańcy Cimarron nie byli jednak gotowi na taki krok - przynajmniej na razie. Zamiast tego zanieśli drabinę na tyły budynku i oparli ją o mur. Mieli nadzieję wspiąć się w dużej grupie i zaatakować obłożonych od drugiej strony. Przeszkodził im dobry słuch Mastersona. Jim podbiegł do okna, za którym znajdował się szczyt drabiny, oparł but na najwyższym szczeblu i pchnął z całej siły. Jego wysiłek wynagrodziły krzyki spadających z drabiny przeciwników. Kilka strzałów posłanych w dół wystarczyło, by mieszkańcy się rozproszyli i zrezygnowali z tego pomysłu.

Masterson dołączył do pozostałych i czekał na kolejny ruch wroga. Wkrótce z pomieszczenia pod nimi dobiegły stłumione dźwięki, a zaraz po tem z parteru, przez drewnianą podłogę buchnęła kanonada.

Osaczeni w popłochu wspinali się na stoły i szafki znajdujące się w biurze. Jeden wskoczył nawet na stalowy sejf. Dało im to dodatkową ochronę przed pociskami, ale ani trochę nie osłabiło ogłuszającej palby. Nikt nie wie, ile dokładnie trwał ostrzał, lecz z pewnością wydawał się dłuższy ludziom, którzy przykucnięci na meblach słuchali, jak pociski rozgrzewają powietrze o centymetry od nich.

Tymczasem na prerii na zachód od miasta wóz z Billem Tilghmanem i jego towarzyszami wciąż pędził w stronę Ingalls, ścigany przez grupę mieszkańców Cimarron. Ilekroć pościg się zbliżał, Tilghman odstraszał go strzałem z karabinka. Trafił w ten sposób kilka osób. W końcu, gdy na horyzoncie zaczęło się pojawiać Ingalls, pościg zawrócił do Cimarron. Niewątpliwie spory wpływ na tę decyzję miał widok grupy dobrze uzbrojonych mężczyzn jadących z Ingalls na spotkanie Tilghmana.

Podłoga wozu pełna była krwi, głównie pochodzącej z podziurawionego pociskami ciała George'a Bolds. Krew wsiąkała w niektóre z wykradzionych z Cimarron dokumentów, lecz Bolds uparcie trwał przy życiu. Gdy dojechali do Ingalls, wraz z innymi rannymi został pospiesznie zawieziony do lekarza. Tilghman był zaledwie draśnięty i bardziej niż na opatrzeniu rany zależało mu

na przekazaniu do Dodge City wieści o tym, co się wydarzyło. Musiał zostawić na placu boju czterech ludzi, w tym swojego dobrego kumpla Jima Mastersona, i troska o ich los nie dawała mu spokoju.

W Cimarron walka między zabarykadowaną na piętrze czwórką a mieszkańcami miasta mogłaby trwać długo, ale po kilku godzinach w miejskim biurze telegraficznym urządzenie zaczęło wyrzucać z siebie wiadomości, a oczy notującego kropki i kreski dyżurnego prawdopodobnie robiły się coraz większe. Miasto było w poważnych opałach. Urzędnik prawdopodobnie natychmiast wyrwał z notesu kartkę z wiadomością i co sił w nogach pobiegł w stronę budynku rządowego.

Nadawcą telegramu był Bat Masterson, który informował, że jeśli jego brat wraz z towarzyszami nie zostanie bezpiecznie wypuszczony z miasta, napadnie na Cimarron z taką liczbą uzbrojonych po zęby ludzi, że miasto zostanie starte w proch.

Zawzięta duma, która wywołała tę krwawą bitwę, miała swoje granice. Mieszkańcy Cimarron nie byli głupcami. Pozwolili Mastersonowi i reszcie wyjechać z miasta.

Żaden z ludzi Tilghmana nie umarł od odniesionych ran. Przeżył nawet Bolds. Po stronie Cimarron była jedna ofiara śmiertelna - niejaki J. W. English. Wrogość między miastami mogłaby wybuchać co rusz na nowo, gdyby nie to, że gubernator Kansas John A. Martin przysłał milicję stanową, by ta pilnowała spokoju. Stolicą hrabstwa przez pewien czas było Ingalls, później jednak honory wróciły do Cimarron. ..

Tym razem bez rozlewu krwi.





## OSTATNIA AKCJA DALTONÓW

**P**iątego października 1892 roku, chwilę po dziewiątej rano, do Coffeyville w Kansas, położonego niedaleko granicy z Oklahoma, wjechało pięciu jeźdźców. Coffeyville było dynamicznie rozwijającym się miasteczkiem, choć nie miało wybrukowanych dróg. Miało za to dwa banki w centrum, na sąsiadujących ze sobą bokach dużego placu. Pierwszy Bank Narodowy mieścił się wśród innych budynków po stronie wschodniej, naprzeciwko Union Street, a Bank Condon stał samotnie na zachód od niego i wychodził na południową stronę placu. Jako główne banki tego pręż-

nego regionu dobrze prosperujących rancz i farm, często przechowywały w skarbcach spore ilości pieniędzy. Tak było i tego ranka.

Dlatego właśnie tych pięciu jeźdźców kierowało się w ich stronę. Banda Daltonów przyjechała do Coffeyville, by zrobić coś, co dotąd nie udało się żadnej grupie przestępczej, nawet bandzie Jamesów i Youngerów. Zamierzali obrabować dwa banki jednocześnie...



Na Dzikim Zachodzie wielu ludzi w różnych okresach życia znajdowało się po różnych stronach prawa. Typowym przykładem są bracia Daltonowie. Urodzeni w Missouri w wielodzietnej rodzinie złożonej z dziesięciu chłopców i pięciu dziewcząt (z czego dwie zmarły we wczesnym dzieciństwie), Bob,

Grat i Emmett stali się znani najpierw jako Stróże prawa, a potem jako ci, którzy je łamią. Wcześniej jednak byli kowbojami pracującymi dla ranczerów na Terytorium Indiańskim. To tam poznali wielu ludzi, z którymi później mieli napadać na pociągi i banki.

Jako pierwszy odznaki dorobił się najstarszy z braci - Frank. Pracował w Policji Indiańskiej i dał się poznać jako kompetentny łowca przestępców, doprowadzając do aresztowania kilku przemytników whisky, którzy szmuglowali i nielegalnie sprzedawali Indianom trunki. Sukcesy Franka w walce z przestępczością zwróciły na niego uwagę sędziego Isaaca Parkera, przewodniczącego sądu federalnego w Fort Smith w Arkansas, sprawującego jurysdykcję nad Terytorium Indiańskim. Parker zaoferował Frankowi stanowisko marshala federalnego. Frank je przyjął i dalej wykonywał tę samą pracę - ścigał przemytników, koniokradów i złodziei bydła.

W roku 1887, podczas strzelaniny, jaka wywiązała się między Frankiem i innym marshałem a kilkoma przemytnikami whisky, Frank został postrzelony i ciężko ranny. Wtedy jeden z przemytników zdążył włożyć mu w usta lufę winchestera i odstrzelić głowę, nim sam został zastrzelony przez drugiego marshala.

Bob, Grat i Emmett uwielbiali starszego brata. Bob pracował już w Policji Indiańskiej, a śmierć Franka nakłoniła dwóch pozostałych, by również wstąpił w szeregi stróżów prawa. Nie byli jednak oddani praworządności tak jak on i wkrótce zaczęli ulegać pokusie wykorzystywania stanowisk do nabijania sobie kabz. Przyjmowali łapówki od przemytników i białych osadników pragnących zawłaszczyć indiańskie ziemie. Ponadto, gdy ładna kuzynka, którą upodobał sobie Bob, zaczęła się spotykać z innym, ten go zastrzelił, po czym ogłosił, że zabił przestępcę, udaremniając próbę ucieczki.

Niektórzy twierdzą, że Daltonowie mieli przestępczość we krwi, jako że ich matka była kuzynką niesławnych braci Youngerów, znanych ze współpracy z Jesseem Jamesem. Nie jest tajemnicą, że dorastając w Missouri i Kansas, Daltonowie słyszeli wiele olśniewających, ekscytujących opowieści o swoich niesławnych krewnych. Szczególnie Bob był pod wrażeniem Jesse ego Jamesa i być może jako chłopiec wyobrażał sobie, że kiedyś pójdzie w jego ślady.

Mimo naginania prawa podczas pracy w policji Daltonowie mieli wystarczająco dobrą opinię, by zostać marshalami federalnymi, jak wcześniej ich brat Frank. Dzięki temu zyskali jeszcze więcej okazji do korupcji i

łapówkarstwa. Jako Stróże prawa jeździli po całym terytorium, znali najlepsze kryjówki i wkrótce wyspecjalizowali się w kradzieży koni i ukrywaniu ich do czasu, gdy mogły być przemycone przez granicę i sprzedane. Wtedy właśnie natknęli się na odludną jaskinię utworzoną nad wapienną półką nad rzeką Cimarron. Miejsce to, znane później jako Grota Daltonów, w czasach napadów na pociągi było wielokrotnie wykorzystywane jako kryjówka.

Czas pracy braci w służbie prawa dobiegł końca, gdy aresztowali młodego Indianina oskarżonego o obrabowanie sklepu. Niesprawiedliwie, bez słowa naszpikowali go ołowiem. Chłopak cudem przeżył, ale nadszarpnięta już reputacja Daltonów nie wytrzymała tej próby. Sędzia Parker uznał, że czas odebrać im odznaki.

Pozbawieni tarczy, jaką dawało im stanowisko marshala, szybko zostali zdemaskowani jako złodzieje koni i uznani za stosowne opuścić Terytorium Indiańskie, nim wściekły tłum ich zlincuje. Pojechali na zachód, do Nowego Meksyku. Tam obrabowali człowieka, który kantował w kartach. Znów ścigani, po raz pierwszy postanowili się rozdzielić. Emmett wrócił na Terytorium Indiańskie, a Bob i Grat udali się jeszcze dalej na zachód, do Kalifornii, gdzie przebywał ich brat Bill.

Kalifornijskie perypetie Boba i Grata wzbudzają wiele spekulacji. Bill parał się polityką, więc najrozsądniejsze z jego strony byłoby jak najszybsze pozbycie się braci. Więzy krwi okazały się jednak silniejsze. Przyjął braci do siebie. Szybko rozniosła się wieść, że Bob i Grat są ściganymi banitami, a kiedy w okolicy doszło do kilku napadów na pociągi, winą obarczono Daltonów, w tym i Billa. W ten sposób jego kariera polityczna skończyła się, zanim na dobre się zaczęła.

Historycy wciąż debatuje, co naprawdę robili w tamtym czasie Daltonowie. Niektórzy przyjmują, że istotnie dokonywali napadów, o które ich oskarżano, a inni całkowicie to negują. Podobno Bob i Grat zostali nawet za te przestępstwa aresztowani, ale jakimś cudem pierwszego uznano za niewinnego, a drugiego skazano. Według tej wersji Bob wrócił na Terytorium Indiańskie, a Grat uciekł z transportu do więzienia. Udało mu się oswobodzić z kajdanek i wyskoczyć z jadącego wagonu do rzeki San Joaquin.

Inni autorzy specjalizujący się w historii Dzikiego Zachodu uważają, że żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła i że bracia nigdy nie byli sądzeni za rabunki dokonane w Kalifornii. Minęło tyle czasu, że prawda może nigdy nie wyjść na jaw, lecz zgromadzony materiał pozwala przypuszczać, że Bob i

Grat podczas pobytu w Kalifornii nie brali udziału w żadnych napadach na pociągi. Wystarczyły jednak plotki, by zrujnować karierę polityczną ich bratu Billowi. Choć później wrócił do Oklahomy, nigdy nie przystąpił do bandy braci - zamiast tego przyłączył się do „Oklahombres” Billa Doolina (zob. rozdział „Banda Doolina kontra marshale federalni”).

W Oklahomie Bob Dalton, niekwestionowany lider braci, choć nie najstarszy (tym był Grat), zgromadził wokół siebie grupę, która miała przejść do historii jako Banda Daltonów. Oprócz niego należeli do niej jego bracia Grat i Emmett, Bill Doolin, Bill Powers, Dick Broadwell, Bitter Creek Newcomb i „Czarnolicy” Charley Bryant. Bob był gotów z kradzieży koni przeskoczyć na wyższy poziom: rabowanie pociągów. Pierwszą akcją bandy był napad na ekspres Santa Fe w Wharton (zob. rozdział *Pojmanie „Czarnolicego” Charleya Bryanta*).

Choć napad w Wharton zakończył się sukcesem, banda przycichła na ponad rok. Działalność wznowiła latem roku 1892, dokonując kilku rabunków na kolei, w tym napaści na pociągi w Red Rock i Adair. Wszystko odbywało się według tego samego scenariusza co w Wharton. Zjawiali się krótko przed planowanym przejazdem pociągu, zajmowali stację i przecinali kable telegrafu. Czasem brali również zakładników.

Zastraszony bronią dróżnik był zmuszany do wysłania sygnałów świetlnych nakazujących maszyniście zatrzymać pociąg. Gdy to następowało, przestępcy wpadali do środka - jedni terroryzowali bronią maszynistę, konduktora i palacza, a inni zmuszali kuriera do otwarcia sejfu w wagonie ekspresowym. Bob Dalton zawsze groził wysadzeniem sejfu, jeśli kurier nie będzie współpracował, ale nigdy nie zrealizował groźby. Kurierzy mieli dość rozumu, by pozwolić bandytom uciec z łupem.

Podczas napadu w Adair sprawy się skomplikowały. Daltonowie nie wiedzieli, że przewożonych pieniędzy strzeże kilku uzbrojonych ochroniarzy. Rozgorzała krótką, lecz zaciętą walką, podczas której ranni zostali dwaj niewinni świadkowie (przypadkiem obaj byli lekarzami), w tym jeden śmiertelnie. Strzały, które zabiły jednego lekarza i raniły drugiego, padły nie z broni bandytów, lecz strażników, którzy poza tą tragiczną śmiercią niczego nie osiągnęli: przestępcy zabrali pieniądze i uciekli, nie doznawszy najmniejszego uszczerbku.

Bob Dalton chciał jednak czegoś bardziej spektakularnego niż napady na pociągi. Czegoś, co podniesie jego i jego braci do poziomu Franka i Jesse ego

Jamesów oraz Youngerów. (Być może nie pamiętał, że Jesse i jeden z Youngerów, John, już nie żyją, trzech pozostali Youngerowie siedzą w więzieniu, a świeżym powietrzem wciąż oddycha jedynie Frank James). Opracował brawurowy plan. Nigdy dotąd nikt nie obrabował dwóch banków naraz. Teraz to miało się zmienić. Za cel obrał dwie placówki w Coffeyville w Kansas. Daltonowie przez pewien czas mieszkali w tym mieście, więc świetnie je znali.

Pech w tym, że i ono ich znało.



Gdy Bob już powziął postanowienie, musiał przekonać do swego pomysłu pozostałych. Z braćmi - Gratem i Emmettem - poszło łatwo. Bill Powers i Dick Broadwell po namyśle także się zgodzili. Bill Doolin bardziej się wahał, lecz w końcu stwierdził, że skoro inni akceptują pomysł, dołączy do nich. Cała szóstka przyjechała w okolice Coffeyville 4 października 1892 roku i spędziła noc, obozując nad pobliskim Onion Creek. Wczesnym rankiem 5 października wsiedli na konie i ruszyli do miasta.

Ruszyli w szóstkę, lecz dotarli w pięciu. Po drodze koń Billa Doolina okulał. Trudno było oczekiwać, że człowiek ucieknie spod gradu pocisków na kulawym koniu, więc Bill zawrócił, mówiąc, że złapie na lasso jednego z koni, które minęli po drodze, i dogoni kompanów.

Nie ma pewności, czy tak rzeczywiście było. Może koń Billa wcale nie okulał. Może mężczyzna po prostu chciał w ten sposób uratować twarz, jednocześnie wycofując się z planu, który uważał za nierozsądny. Pewne jest jedynie, że Billa Doolina nie było w Coffeyville w tamten nieszczęsny poranek.

Trzej Daltonowie i ich dwaj towarzysze wjechali do miasta - i tu po raz kolejny w realizacji ich planu główną rolę odegrał przypadek. Bob planował zostawić konie przed Bankiem Condon, by były pod ręką, kiedy pieniądze zostaną zrabowane i trzeba będzie uciekać. Ulica przed bankiem była jednak rozkopana z powodu robót i nie mieli gdzie ich uwiązać. Musieli wprowadzić je w zaułek na zachód od banku i przytroczyć za lejce do żelaznego słupa.

Co do dalszych wydarzeń historycy znów nie są zgodni. Według większości wersji mężczyźni zatrzymali się w zaułku, by dla niepoznaki

przywdziać sztuczne brody i wąsy.



Ciała braci Daltonów oraz dwóch innych członków bandy po nieudanej próbie rabunku w Coffeyville w Kansas, 5 października 1892 roku. Ciężko ranny Emmett Dalton (pierwszy od lewej u góry) wylizał się z ran i żył jeszcze wiele lat. Napisał książkę o działalności swego gangu, *When the Daltons Rode*, która stała się bestsellerem Ze zbiorów *Denver Public Library, Western History Collection*

Są jednak pewne wątpliwości.

Po pierwsze, Bob Dalton zamierzał zostawić konie przed Bankiem Condon. Gdyby plan wypalił, w ogóle nie znaleźliby się w tym zaułku. A skoro nie chcieli zostać rozpoznani, raczej nie stanęliby na widoku przed bankiem i nie zaczęli sobie przyczepiać sztucznych bród. Opowieść o przebraniu wydaje się wątpliwa także z innego powodu, o którym za chwilę powiemy.

Z brodami czy bez, pięciu bandytów wyszło z zaułku z winchesterami w dłoniach i rozdzieliło się. Grat Dalton, Bill Powers i Dick Broadwell poszli do

bliższego Banku Condon, a Bob i Emmett Daltonowie ruszyli przez Union Street do Pierwszego Banku Narodowego. Jedni i drudzy wkroczyli do środka, by rozpocząć akcję.

Nie mieli pojęcia, że zostali zauważeni i rozpoznani i że po mieście krąży już wieść, iż Daltonowie rabują banki. Nie spadło to na mieszkańców jak grom z jasnego nieba - od kilku tygodni szeptano, że bandyci będą próbowali okraść którąś z okolicznych placówek. Mężczyźni, którzy nie mieli broni, pognali do sklepów i zaopatrzyli się w karabiny, strzelby oraz amunicję, po czym uzbrojeni ruszyli w stronę banków, by osaczyć rabusiów.

Tymczasem w Pierwszym Banku Narodowym szło w miarę gładko. Bob i Emmett obezwładnili czterech pracowników. Jednemu kazali wpakować do worka dwadzieścia jeden tysięcy dolarów. Ale po drugiej stronie, w Banku Condon, Grat i jego towarzysze mieli problemy. Sprytny kasjer usiłował im wmówić, że skarbiec jest zamknięty na zamek czasowy i nie można go otworzyć wcześniej niż o wpół do dziesiątej rano. Kiedy Grat, który nigdy nie był najbystrzejszym z braci, zapytał go, która jest godzina, ten odparł, że dziewiąta dwadzieścia. Grat uznał, że mogą poczekać tych dziesięć minut.

W rzeczywistości była dziewiąta czterdzieści i skarbiec można było otworzyć. A Daltonowie nie mieli dziesięciu minut na zbyciu. Ich czas dobiegał właśnie końca.

Rozległy się strzały. To mieszkańcy zaczęli ostrzeliwać Pierwszy Bank Narodowy dokładnie w momencie, w którym Bob i Emmett wychodzili frontowymi drzwiami, prowadząc przed sobą zakładników. Pod gradem pocisków uciekli z powrotem do budynku, a uwolniona czwórka pracowników pobiegła wzdłuż chodnika do pobliskiego sklepu żelaznego Ishama, by zaopatrzyć się w broń.

Bob i Emmett pognali przez bank i tylnym wyjściem wbiegli w alejkę. Tam wpadli na Luciusa Baldwina, sprzedawcę ze sklepu Ishama.

Mężczyzna trzymał w rękach karabin. Wbiegł w alejkę, licząc, że uda mu się zatrzymać złodziei, ale Bob zabił go jednym strzałem. Następnie rabusie odwrócili się i pobiegli na północ, chcąc okrążyć przecznicę i wrócić po konie od drugiej strony.

Kanonada rozbrzmiewała już także przed Bankiem Condon. Powers i Broadwell ostrzeliwali się z wnętrza budynku, a Grat kończył zbieranie gotówki zgromadzonej za ladą. Nawet nie próbował zmuszać pracowników do otwarcia skarbcza. Broadwell został trafiony w ramię i sytuacja przestępców

stawiała się coraz trudniejsza.

Bob i Emmett dotarli do końca przecznicy i biegli dalej na zachód wzdłuż Ósmej Ulicy. Gdy znaleźli się na rogu, wyjrzeli na południe w stronę Pierwszego Banku Narodowego. Przed sklepem braci Rammel stał człowiek z karabinem. Bob przymierzył i zastrzelił go na miejscu. George Cubine, bo tak się nazywał ów śmiałek, był drugą ofiarą tego krwawego poranka w Coffeyville. Chwilę później do statystyk dołączył jego kolega Charles Brown. Gdy wyszedł na ulicę, by sprawdzić stan leżącego, Bob Dalton i jego zabił jednym strzałem. Może nie był tak doskonałym taktykiem, za jakiego się uważał, ale oko miał świetne.

Nim Bob i Emmett ruszyli dalej, w progu sklepu Ishama pojawił się kolejny człowiek z karabinem. Był to Tom Ayres, kasjer z Pierwszego Banku Narodowego. Bob strzelił do niego, ale tym razem nie był tak skuteczny: pocisk jedynie drasnął Toma w głowę, zwalając go z nóg. To dało przestępcom czas, by przebiec na tyły Banku Condon.

W środku Grata, Powers i Broadwell szykowali się do ucieczki. Gdy jednak wybiegli na ulicę i pognali w stronę zaułka, w którym ukryli konie, z obu stron padły w ich kierunku strzały. Świadkowie opowiadali, że z odzieży uciekinierów unosił się kurz, gdy przesywały ją pociski. Mimo to Grata, Powers i Broadwell wciąż biegli.

Nagle wprost przed nimi wyrósł marshall miejski Charles Connerly. Co niesamowite, patrzył w inną stronę, najwyraźniej przekonany, że przestępcy już minęli to miejsce. Grata zabił go strzałem w plecy. Banici biegli dalej. Bob i Emmett także zbliżali się do zaułka od północy wąskim przesmykiem między budynkami.

Powers dobiegł do swego konia, ale gdy próbował nań wsiąść, powaliły go pociski. Broadwell też dostał. Mimo to zdołał wskoczyć na siodło i pogalopować przed siebie. Przeszyty kulami, dotarł zaledwie na skraj miasteczka, po czym osunął się na ziemię i zszedł.

W miejscu, które później nazwano Doliną Śmierci, Bob i Emmett dobiegli do Grata. Emmett wciąż miał przy sobie worek z ponad dwudziestoma tysiącami dolarów. Wtedy zza płotu wystrzelił właściciel pobliskiej stajni, John Kloehr. Kula trafiła Boba. Kloehr wycelował w Grata i znów wypalił, przebijając bandycie gardło, czym ostatecznie go zabił.

Spośród braci jedynie Emmett zdołał dobiec do koni. Miał kilka drobnych ran, ale poruszał się całkiem sprawnie. Wskoczył na siodło i uciekłby, gdyby



nie postanowił podjechać do Boba i udzielić mu pomocy. Nie wiadomo, czyjego brat jeszcze żył, ale nawet jeśli tak, Emmett nie miał szans go uratować. Jeden z mieszkańców miasta, fryzjer o nazwisku Carey Seaman, wyskoczył z ukrycia i wystrzelił w kierunku Emmetta z obu luf dwururki. Emmett zalał się krwią i nieprzytomny zwałił się na ziemię.

Minął niecały kwadrans, odkąd pięciu członków bandy wjechało do Coffeyville. Ofiar było osiem: czterech obywateli miasta i czterech bandytów. Nie spodziewano się, że Emmett Dalton przeżyje, zaniecono go jednak do pokoju w pobliskim hotelu, gdzie zajęło się nim kilku miejscowych lekarzy.

Ciało Billa Powersa znaleziono na skraju miasta, przyniesiono z powrotem do zaułka i położono obok ciał pozostałych banitów. Całą czwórkę ułożono na platformie i sfotografowano zaledwie kilka minut po zakończeniu strzelaniny. Na słynnym zdjęciu nie widać śladu sztucznych bród czy wąsów, co jest kolejną przesłanką na rzecz tezy, że historia o przebraniu, choć ciekawa, może być zmyślona.

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Emmett Dalton nie tylko wylizał się z ran, lecz także uniknął linczu. Kiedy wystarczająco wydobrał, stanął przed sądem oskarżony o rabunek z bronią w ręku. Skazano go na dwadzieścia pięć lat więzienia, lecz po odsiedzeniu czternastu został ułaskawiony przez prezydenta Theodore'a Roosevelta. Po wyjściu na wolność zamieszkał w Kalifornii i odniósł sukces jako przedsiębiorca budowlany, a także jako autor dwóch książek o czasach swoich bandyckich wyczynów. Był też konsultantem niemego filmu o pechowym napadzie w Coffeyville, a nawet wystąpił jako aktor w kilku niemych produkcjach. Żył do 13 lipca 1937 roku jako człowiek prawdziwie zresocjalizowany i często powtarzający, że nie opłaca się być przestępcą.

Tamtego październikowego poranka w Coffeyville z pewnością nie opłaciło się to bandzie Daltonów... chyba że mamy na myśli zapłatę w ołowiu.



## BAT MASTERSON I BITWA NA PLACU

**W**Dodge City w Kansas, krótko przed południem w sobotę 16 kwietnia 1881 roku, dwajmężczyźni szli wzdłuż torów kolei Atchison, Topeka & Santa Fe. Z oddali dobiegł przeraźliwy gwizd lokomotywy. Mężczyźni wymienili porozumiewawcze, ponure spojrzenia. Pociąg podążający na wschód powinien dotrzeć do miasta w południe i sądząc po tym dźwięku, tak właśnie było.

Obaj sięgnęli pod płaszcze, by sprawdzić, czy ich sześciostrzałowce łatwo wychodzą z kabur. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za chwilę mieli dobyć rewolwerów i rozpocząć swoje śmiertelne żniwo.

W jednym z wagonów pasażerskich przysadzisty, przystojny mężczyzna z ciemnym wąsem i w meloniku na głowie wyjął z kieszeni duży niezgrabny zegarek i sprawdził czas. Pociąg nie miał opóźnienia, lecz on i tak się niepokoił. Gdy prowadził grę w faro w saloonie Oriental Wyatta Earpa w Tombstone w Arizonie, dostał telegram z wezwaniem do Dodge City. Podróż zajęła mu trochę czasu. Miał nadzieję, że nie przybędzie za późno. Gra toczyła się o życie jego brata.

William Barclay „Bat” Masterson zmierzał na spotkanie z przeznaczeniem.



Urodził się w Kanadzie 27 listopada 1853 roku. Przy chrzcie nadano mu

imię Bartholomew, a ukute od niego zdrobnienie „Bat” pozostało z nim na resztę życia mimo późniejszej zmiany personaliów. Jego rodzina, w tym kilku braci, przenosiła się z jednej farmy do drugiej, przemierzając tereny amerykańskiego Midwestu, by ostatecznie osiedlić się w Kansas. Jako młody człowiek Bat został łowcą bizonów i wziął udział w bitwie pod Adobe Walls w północnym Teksasie, w której kilkudziesięciu łowców obroniło kilka chat przed ponad pięciuset wojownikami z plemion Komanczów, Kiowów, Apaczów i Czejenów pod wodzą Quanaha Parkera.

Zyskawszy renomę twardego i kompetentnego kowboja, trafił do armii jako cywilny zwiadowca, by pomagać generałowi Nelsonowi Milesowi w kampanii przeciwko Indianom. W styczniu 1876 roku w Mobeetie, nowej osadzie nad rzeką Sweetwater w Teksasie, na dobre rozpoczęła się jego kariera Strzelca - szybkiego i zabójczego. Tańczył właśnie w saloonie Lady Gay z niejaką Mollie Brennan, gdy do wnętrza wpadł rozwścieczony kapral Melvin King. King stacjonował w pobliskim Fort Elliott i uważał Mollie za swoją dziewczynę. Gdy zobaczył ją z Batem, wyjął broń i zaczął do nich strzelać. Jeden z pocisków przeszedł na wylot przez ciało dziewczyny, zabijając ją, i trafił Bata w nogę. Mimo bólu konkurent ustał, spokojnie wycelował i zabił napastnika.

Po tym zdarzeniu przez jakiś czas musiał chodzić o lasce i niektórzy przypuszczali, że stąd wzięło się jego przezwisko<sup>[5]</sup>, ale w rzeczywistości nazywano go tak już znacznie wcześniej.

W następnym roku Bat przeprowadził się do Dodge City w Kansas, gdzie jego brat Ed był szeryfem hrabstwa. Ed dał mu pracę swojego zastępcy i w ten sposób Bat zadebiutował w roli stróża prawa. Kiedy Ed dostał posadę marshala w Dodge, Bat postanowił ubiegać się o stanowisko szeryfa i wygrał wybory.

Wkrótce potem Ed zginął w strzelaninie z dwoma teksańskimi kowbojami, co tylko wzmogło determinację Bata, by walczyć z bezprawiem. Podczas swojego urzędowania trzymał hrabstwo Ford w ryzach, ale gdy nadeszła pora kolejnych wyborów, przegrał, co ogromnie go rozczarowało.

Po śmierci Eda Mastersona marshałem Dodge City był niejaki Charley Bassett. Gdy po pewnym czasie zrezygnował ze stanowiska i wyjechał do Arizony, odznakę po nim przejął inny brat Bata, Jim Masterson. Kolejne wybory jednak przegrał. Bat zawsze lubił hazard i miał nawet udziały w jednym z saloonów w Dodge City - Lady Gay (mimo nazwy niemającym nic

wspólnego z teksańskim saloonem, w którym zastrzelił kaprala Kinga). Kiedy zdecydował się wyjechać (również do Arizony), przekazał swoje udziały Jimowi, który nie miał zajęcia. Od tej pory Jim prowadził saloon wspólnie z jakimś A.J. Peacockiem.

Od samego początku Jim i Peacock nie znajdowali wspólnego języka. Główną kością niezgody był szwagier tego ostatniego, Al Updegraff. Peacock najął go do prowadzenia baru w Lady Gay, a niedługo potem Jim zaczął podejrzewać, że Updegraff podkrada pieniądze z kasy. Jakby tego było mało, pił wyjątkowo dużo nawet jak na miasto, w którym przelewało się tyle whisky, że czasem nazywano je „pijackim Babilonem”. Jim uważał, że Updegraff nie tylko podkrada zyski, ale i je przepija. Poprosił więc Peacocka, by ten go zwolnił.

Peacock odmówił, co tylko zaogniło sytuację między mężczyznami. Oskarżany Updegraff także znienawidził Jima. Konflikt narastał i zataczał coraz szersze kręgi, bo wielu mieszkańców miasta brało to jedną, to drugą stronę. Wiedząc, że eskalacja napięcia w końcu doprowadzi do wybuchu agresji, jeden z przyjaciół Jima postanowił wezwać pomoc. Wysłał telegram do przebywającego w Arizonie Bata, pisząc, że życie jego brata jest w niebezpieczeństwie, i prosząc o jak najszybszy przyjazd.

Bat natychmiast opuścił saloon Oriental i pierwszym pociągiem wyruszył do Dodge. Dojeżdżając do miasta, nie miał jednak pewności, czy się nie spóźni. Nie wiedział, czy będzie walczyć u boku brata, czy o jego pomszczenie...



A J. Peacock i Al Updegraff też mieli przyjaciół. Jeden z nich dowiedział się o telegramie wysłanym do Bata oraz o tym, że ten przyjedzie południowym pociągiem 16 kwietnia. Żaden nie chciał stanąć naprzeciw niego w uczciwej walce. Choć w swojej dotychczasowej karierze rewolwerowca Bat zabił zaledwie jednego człowieka, wzbudzał wielki respekt i trwogę. Woleli czekać na niego z gotowymi do strzału rewolwerami na peronie, gdy pociąg wjedzie na stację. Łatwo będzie przekonać ludzi, że działali w samoobronie: w końcu mieli przeciw sobie słynnego rewolwerowca.

Bat jednak zaufał intuicji. Gdy pociąg dojechał na dworzec i zaczął

zwalniać, mężczyzna wstał i przeszedł na platformę między wagonami. Chwytał się żelaznej poręczy z boku wagonu i zeskoczył na ziemię.

Pociąg jechał już tak wolno, że Bat bez trudu utrzymał się na nogach. Ruszył w stronę stacji, ukryty za toczącym się ospale składem.

Gdy minął go brankard, Bat spojrzął poprzez tory i zobaczył dwóch mężczyzn idących w stronę stacji. Natychmiast rozpoznał A.J. Peacocka i Alę Updegraffa, których groźby pod adresem jego brata Jima sprowadziły go do miasta. Zawołał, żeby się zatrzymali i porozmawiali z nim.

Peacock i Updegraff zawahali się tylko na moment. Potem obrócili się i co sił w nogach pobiegli ku pobliskiemu więzieniu - masywnemu budynkowi z ciężkich bali drewna.



William Barclay „Bat” Masterson, jeden z niewielu bohaterów Dzikiego Zachodu, który

zasłużył na swoją renomę jako stróż prawa i rewolwerowiec, choć bardzo prawdopodobne, że w ciągu całej swojej kariery zabił w strzelaninie tylko jednego człowieka. Żył długo i na początku XX wieku został dziennikarzem w Nowym Jorku *Ze zbiorów Old West Photos*

---

Jeden z nich w biegu wyciągnął broń i strzelił w kierunku Bata.

Domyślając się, że szykowali na niego zasadzkę, Bat zareagował natychmiast. Dobył broni, gdy tylko kula świsnęła mu nad uchem, i strzelił w kierunku przeciwników, zmuszając ich do jeszcze szybszej ucieczki. Potem rozejrzał się za jakąś kryjówką.

Biegące ze wschodu na zachód tory kolei Santa Fe dzieliły Front Street na pół. Po północnej stronie, jakieś czterdzieści pięć metrów od nich, znajdowały się bardziej szanowane lokale, w tym kilka saloonów. Na południu, także w odległości około czterdziestu pięciu metrów, zaczynały się hazardowe spelunki i burdele. Otwarty piaszczysty teren wokół torów, szeroki na jakieś pięćdziesiąt metrów, znany był jako Plac. Jedyńm budynkiem przy Placu była stacja kolejowa, znajdująca się zbyt daleko, by Bat mógł do niej bezpiecznie dobiec, zważywszy, że Peacock i Updegraff na przemian wychylali się zza rogu więzienia i wystrzeliwali w jego kierunku całe bębunki, po czym przeładowywali i zaczynali kanonadę od nowa.

Zrobił jedyne, co mógł: rzucił się na ziemię za nasypem kolejowym, który był dość wysoki, by go uchronić przed świszczącymi nad głową pociskami, ale nie pozwalał na swobodny ruch. Bat mógł jedynie wysuwać zwieńczoną melonikiem głowę, oddawać po kilka strzałów w stronę rogu więzienia, za którym kryli się przeciwnicy, i znów dawać nura za naturalną osłonę.

Gdy tak leżał w środku rozpaczliwej walki, którą potem nazwano bitwą na Placu, zapewne zastanawiał się nad losem Jima. Czy Peacock i Updegraff już go zabili? Czy to dlatego zaczęli strzelać, ledwie zobaczyli Bata? W swoim położeniu nie mógł jednak zaprzętać sobie tym głowy przez dłuższy czas, bo musiał się ostrzeliwać.

Nie tylko oni brali udział w tej walce. W powietrzu latało mnóstwo pocisków, posyłanych to z jednej, to z drugiej strony torów. Bez trudu docierały do okolicznych budynków, powodując chaos, a nawet uderzając w domy, w których chwilę wcześniej mieszkańcy Dodge City wiedli swoje codzienne życie. Przechodnie na chodnikach pospiesznie szukali schronienia. Klienci saloonów i sklepów flankujących Front Street uciekali przez tylne drzwi, gdy w oknach z przodu wylatywały szyby. W saloonie Long Branch

właściciel otworzył ciężkie metalowe drzwi sejfu i odgrodził się nimi od kanonady.

Z czasem ciekawość zaczęła wygrywać z ostrożnością. Niektórzy klienci saloonów po północnej stronie podpełzali do rozbitych okien, by rzucić okiem na scenę. Ktoś rozpoznał postać leżącą za nasypem. „Bat! Bat Masterson!”-zawołał.

Ludzie po południowej stronie także wyglądali przez okna. Na widok Peacocka i Updegraffa strzelających w kierunku torów szybko domyślili się, o co chodzi: konflikt między tą dwójką a Mastersonami osiągnął punkt krytyczny. Obserwatorzy po południowej stronie mogli nie widzieć, kogo dokładnie ostrzeliwiają na Placu ci dwaj, ale niezależnie od tego chcieli wziąć udział w walce. Wyjęli broń i zaczęli celować w kierunku mężczyzny za nasypem, a przy okazji w kierunku budynków po drugiej stronie ulicy.

Bat przyłgnął do ziemi. Chwilę później do kanonady dołączyła północ i sytuacja stała się jeszcze trudniejsza. Bardzo prawdopodobne, że większość uczestników po obu stronach nie wiedziała, do kogo strzela, ale się tym faktem bynajmniej nie zrażali. Przez dobrych parę minut Dodge City rozbrzmiewało hukami rewolwerów i karabinów.

Bat Masterson załadował do colta kolejne pociski, po czym uniósł się lekko i strzelił ponad nasypem. Trafił w belki więzienia, posyłając drzazgi na wszystkie strony. Nagle zza rogu wytoczyła się jakaś postać przyciskająca dłoń do piersi. Z drugiej dłoni wypuściła rewolwer. Po kilku chwiejnych krokach mężczyzna upadł twarzą do ziemi, lecz Bat zdążył go rozpoznać: był to Al Updegraff, szwagier Peacocka, człowiek, którego pijaństwo i rozrzutność wywołały całą tę awanturę. Chwilę później kurek rewolweru Bata kliknął głucho, trafiając na pustą komorę. Skończyła się amunicja. Na jego szczęście kanonada zaczynała cichnąć, bo ludzie jeden po drugim dostrzegali leżącego na zakurzonej drodze Updegraffa. Uznali, że nie żyje, i to ostudziło ich głowy

Wtedy z jednego z budynków po północnej stronie wybiegł przysadzisty mężczyzna ze strzelbą i potruczał w stronę Bata. Ten odwrócił się i rozpoznał burmistrza Dodge City, Ala Webstera. Czerwony z wysiłku Webster dobiegł do niego i skierował obie lufy broni na byłego szeryfa hrabstwa Ford. „Jesteś aresztowany, Bat. Oddawaj broń!”, wydyszał.

Bat pozbierał się z ziemi i po chwili wahania oddał rewolwer burmistrzowi. I tak nie miał już pocisków. Zapytał o los brata i uzyskał

zapewnienie, że Jim jest cały i zdrowy. Z wielką ulgą pozwolił się aresztować i zaprowadzić do biura nowego marszala miejskiego, Freda Singera. Tymczasem Jim zdążył się dowiedzieć o wojence, którą wywołał powrót do miasta jego brata, i przygotowywał się na powitanie.

Wbrew podejrzaniom Al Updegraff wciąż żył, choć kula trafiła go w pierś i przebiła płuco. Lekarz z posępną miną próbował zatamować krew, by opatrzyć ranę. Wystarczyło raz na niego spojrzeć, by wiedzieć, że nie żywi wielkich nadziei na uratowanie pacjenta.

Na razie jednak Bata oskarżono jedynie o nielegalne użycie broni w granicach miasta. Nikt nie wiedział, czyj pocisk trafił Ala, więc oskarżenie o usiłowanie zabójstwa nie wchodziło w grę. Bat uroczyście przyznał się do winy i został skazany na grzywnę w wysokości ośmiu dolarów oraz zwrot kosztów sądowych. Gdy już to zrobił, zasugerował bratu, że może już czas, by obaj opuścili miasto.

Jim zgodził się i ruszył na poszukiwanie A.J. Peacocka. Walka walką, a interesy trzeba było załatwić. Zaproponował mu wykupienie swoich udziałów w Lady Gay, a Peacock się zgodził. Prawdopodobnie cena była bardzo przystępna.

Po pozbyciu się saloonu nic już nie trzymało Jima w Dodge City. Jeszcze tego samego popołudnia wraz z bratem wsiadł do pociągu zdążającego na zachód. Zostawili za sobą nie tylko miasto, lecz tworzącą się szybko legendę o bitwie na Placu, według której Peacock i Updegraff zabili Jima Mastersona, a Bat przyjechał do Dodge i w zemście zabił ich obu. Liczba ofiar sukcesywnie rosła, aż w końcu Bat miał wykończyć nie tylko ich dwóch, lecz całą horde najemników.

Nawet bez tych upiększeń to, co wydarzyło się tamtego dnia na Placu, było bitwą, choć na nieco mniejszą skalę. W dodatku bitwą bez strat w ludziach, bo wbrew obawom Al Updegraff ostatecznie przeżył i z czasem doszedł do siebie. Do końca życia twierdził, że był kozłem ofiarnym, że nie ukradł z Lady Gay żadnych pieniędzy ani nie wypijał zapasów whisky z baru. Jego protesty na nic jednak się zdały, bo z legendą się nie dyskutuje.

Bat Masterson wiedział o tym równie dobrze jak każdy inny człowiek, który kiedykolwiek chodził ulicami miast Dzikiego Zachodu, a może nawet lepiej.





## YOUNGEROWIE KONTRA AGENCI PINKERTONA

**W** połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku żadna banda nie była ścigana przez prawo bardziej niż grupa, której członkami byli dwaj bracia z Missouri - Frank i Jesse Jamesowie, ich czterej kuzyni - bracia Youngerowie, a także paru innych krewnych i znajomych. Ich kunszt wojenny hartował się w ogniu wojny secesyjnej podczas krwawych partyzanckich akcji w granicznych stanach Kansas i Missouri.

Po tym konflikcie żelazna ręka rządów okresu rekonstrukcji w połączeniu z bezwzględny panowaniem banków i przedsiębiorstw kolejowych zmusiła ich do wejścia na drogę bezprawia.

Tak przynajmniej głoszą romantyczne opowieści tamtej epoki, i rzeczywiście tkwi w nich ziarno prawdy. Pierwsze lata po zakończeniu wojny secesyjnej były kiepskie dla sympatyków Konfederacji. Zwycięska Unia pod płaszczykiem wyższości moralnej krwawo rozprawiała się z opozycją. Ludzie pokroju Jamesów i Youngerów odpowiadali jednak w sposób równie bezwzględny. Graniczne stany nadal były areną bitew - tym razem pomiędzy bandytami i ścigającymi ich stróżami prawa.

Począwszy od roku 1866, banda Jamesów i Youngerów rabowała banki i napadała na pociągi na obszarze kilku stanów. Były to akcje dobrze zaplanowane i przeprowadzone z przerażającą skutecznością. Choć przestępcy stylizowali się na partyzantów walczących z potęgą banków i kolei i mieli

licznych przyjaciół oraz fanów wśród zwykłych ludzi, daleko im było do dobrodusznym Robin Hoodów. Nie wahali się zastrzelić nikogo, kto wszedł im w paradę, w tym przypadkowych świadków, i choć być może część swojego łupu oddawali biednym rodzinom, większość wędrowała do kieszeni ich charakterystycznych prochowców, zanim została przegrana lub przepita.

Z każdym obrabowanym bankiem i wykolejonym pociągiem rosła presja na schwytanie Jamesów i Youngerów. A banki i przedsiębiorstwa kolejowe mogły sobie pozwolić na zatrudnienie najlepszych łowców głów, co w tamtych czasach oznaczało agentów Pinkertona.

Agencję Detektywistyczną Pinkertona założył w Chicago były detektyw policyjny Allan Pinkerton, który podczas wojny secesyjnej na polecenie prezydenta Abrahama Lincolna zajmował się tworzeniem Tajnej Służby Stanów Zjednoczonych. Sławna ze swego logo- typu - dużego oka - i motta: „Oko, które nigdy nie śpi” agencja łapała przestępców, pomagała instytucjom egzekwującym prawo i tłumiała strajki w całym kraju. Choć była prywatną firmą, odgrywała rolę pół- oficjalnej policji państwowej. Finansowani przez fortuny swoich głównych klientów, banków i linii kolejowych, Pinkertonowie jeździli, dokąd ich wysyłano, i robili to, czego życzyli sobie ich zleciodawcy.

Na początku roku 1874 banda Jamesów i Youngerów zatrzymała ekspres Iron Mountain w drodze przez Gads Hill w Missouri. Wcześniej bandyci spędzili wszystkich mieszkańców małej osady na dworzec i uwięzili ich tam wraz z dróżnikiem. Nie obłowili się zbyt - zabrali z pociągu zaledwie około trzech tysięcy dolarów

- lecz bezczelność, z jaką dokonali rabunku, oraz fakt, że Jesse James chwalił się przed zakładnikami swoją tożsamością, doprowadziły do szybkiego rozprzestrzenienia się wieści po całym kraju.

To tylko rozeźliło Pinkertonów. W grę wchodziła ich reputacja i nie mogli sobie pozwolić na to, by Jamesowie i Youngerowie wodzili ich za nos. Po napadzie w Gads Hill jeszcze więcej pracowników agencji oddelegowano na teren stanów granicznych, by za wszelką cenę starali się złapać bandytów.

W marcu 1874 roku dwaj detektywi Pinkertona, Louis J. Luli i James Wright, przyjechali do St. Clair County w Missouri - słabo zaludnionego regionu w górach Ozark. Wyjątkowo zadrzewiony teren przecinały ciemne doliny z licznymi strumieniami wpływającymi do rzeki Osage. Stolicą i jedyną większą miejscowością hrabstwa było miasteczko Osceola. Detektywi

przyjechali tam w asyście E.B. Danielsa, byłego zastępcy szeryfa, który w miarę dobrze znał ten teren.

Luli i Wright dostali cynk, że niektórzy z braci Youngerów mogą się ukrywać w hrabstwie St. Clair. Dla zakamuflowania swojej tożsamości przybrali fałszywe nazwiska: Luli przedstawiał się jako W.J. Allen, a Wright jako John Boyle - i udawali wędrownych handlarzy bydła. Taką samą sztuczkę stosowali wcześniej niektórzy przestępcy próbujący wyprowadzić agentów Pinkertona w pole. W drodze przez góry detektywi zatrzymywali się na każdej małej farmie i zadawali pozornie niewinne pytania, w istocie mając na celu wywęszenie, czy ktoś widział Youngerów w okolicy. Musieli pamiętać, że wśród rozmówców natkną się na wielu przyjaciół lub nawet krewnych banitów i że jeśli ktoś ich przejrzy, grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Choć w późniejszych czasach wiele działań agencji Pinkertona podawano w wątpliwość, odwaga większości agentów jest niekwestionowana.

Trzej poszukiwacze spędzili noc z 16 na 17 marca 1874 roku w Monegaw Springs na zachód od Osceoli. Jeden z mieszkańców rozpoznał Danielsa jako byłego szeryfa. Wieść rozniosła się po hrabstwie lotem błyskawicy. Można było przypuszczać, że jeśli ktoś podróżuje z Danielsem, to raczej w celu polowania na przestępców niż zakupu bydła. Wyruszając w drogę następnego ranka, trzej mężczyźni byli w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek wcześniej podczas tej wyprawy.

Po południu James Wright zboczył z trasy, by odwiedzić znajomego. Lullowi i Danielsowi powiedział, że ich dogoni. Jechali więc dalej we dwóch szlakiem znanym jako Chalk Level Road, aż dotarli do niewielkiej farmy należącej do niejakiego Theodorica Snuffera. Usłyszawszy tętent koni, gospodarz wyszedł z domu, w którym akurat budowano strych.

Luli i Daniels nie mogli wiedzieć, że zaledwie kilka minut wcześniej w tym samym domu siedzieli Jim i John Youngerowie, jedząc lunch z farmerem, który był dalekim krewnym ich znajomego. Kiedy jeźdźcy zajechali przed dom, Youngerowie weszli na niedokończony strych, by się ukryć, a zarazem podsłuchać, kim są i czego chcą nieznajomi.

Przybysze jak zwykle podali się za handlarzy bydła. Pytali o to co zawsze, lecz niewiele się dowiedzieli od lakonicznego Snuffera. Jeden z detektywów wspomniał, że jadą na farmę wdowy Simms. Było to kłamstwo i w dodatku nierozsądne, jako że po opuszczeniu farmy Snuffera detektywi ruszyli w kierunku przeciwnym do zadeklarowanego, utwierdzając obserwujących ich

Youngerów w przekonaniu, że mają do czynienia ze stróżami prawa. Youngerowie, gdy tylko podejrzani zniknęli im z oczu, zeszli ze strychu i pobiegli do stajni, by osiodłać konie i pognać za swoimi prześladowcami.

Tymczasem James Wright dogonił kompanów. Nagle cała trójka usłyszała za sobą szybki tętent kopyt. Zatrzymali konie, odwrócili się w siodłach i zobaczyli dwóch galopujących w ich stronę mężczyzn.

Jeden trzymał strzelbę, a drugi miał przy pasie kabury z długolufowymi rewolwerami. Detektywi pewnie ich nie rozpoznali, ale tym ze strzelbą był John Younger, a tym z rewolwerami jego brat Jim.

Wright przestraszył się, spiął konia i zaczął uciekać przez pole. Jim Younger, ślizgając się, zatrzymał rumaka, wyjął rewolwery i strzelił. Pocisk trafił w kapelusz Wrighta, strącając mu go z głowy. Całkiem dobry, choć niewystarczająco celny strzał. Wright był już niemal poza zasięgiem kul, więc bracia zrezygnowali z kolejnych prób.

Luli i Daniels nie ruszyli się z miejsca, zapewne doszedłszy do wniosku, że próba ucieczki się nie powiedzie. Bandyty podjechali bliżej. John trzymał w pogotowiu gotową do strzału strzelbę. Detektywi prawdopodobnie domyślili się już, z kim mają wątpliwą przyjemność. Zapytani, kim są, sprzedali bandytom swoją historyjkę o handlarzach bydła. Youngerowie ich rozbroili, zmuszając do rzucenia rewolwerów na ziemię.

Johna Youngera zainteresowała ich broń. Kiedy zapytał, dlaczego handlarze bydła podróżują tak dobrze wyposażeni, Daniels odparł, że w tej części kraju każdy rozsądny podróżny nosi przy sobie odpowiedni ekwipunek.

Youngerowie nie docenili jednak uzbrojenia tej dwójki. Luli miał jeszcze jeden rewolwer, ukryty na karku pod koszulą. Kiedy Jim zsiadł z konia, by pozbierać broń, a John podjechał jeszcze bliżej, grożąc im strzelbą, Luli przestraszył się, że może do nich strzelić grubym śrutem, i zdecydował się na desperacką grę.

Rękoma, które już miał w górze, wyszarpnął rewolwer zza kołnierza. Nawet nie próbował rozbrajać zaskoczonych Youngerów, tylko strzelił Johnowi w szyję. Ten zachwiał się w siodle, ale jednocześnie zacisnął palce na obu spustach strzelby. Huknęło i z luf buchnął płomień. Trafiony Luli utrzymał się w siodle, ale spłoszony koń uciekł za drzewo. Pech chciał, że nisko wisząca gałąź strąciła jeźdźca na ziemię.

Tymczasem Jim Younger uniósł rewolwery i wystrzelił, zabijając Danielsa. Gdy ten spadał z konia, kilka metrów od niego ranny John Younger podjechał

do Lulla.



Bracia Youngerowie - Bob, Jim i Cole, od lewej do prawej - z siostrą Henriettą na zdjęciu z roku 1889, długo po katastrofalnym ataku bandy w Northfield w Minnesocie *Ze zbiorów Denver Public Library, Western History Collection*

Mężczyzna próbował wstać. Nie zdążył: John wyjął rewolwer i strzelił ponownie. Potem podjechał do Jima, zsunął się z siodła i upadł u stóp brata.

Rana na szyi okazała się śmiertelna. John zmarł na miejscu, obficie brocząc krwią. Wściekły i zrozpaczony Jim podniósł ciało brata, przewiesił je przez siodło i odjechał, pozostawiając Lulla i Danielsa tam, gdzie leżeli. Kiedy dotarł do niewielkiego sadu z jabłoniami na ziemi Snuffera, pochował tam Johna.

Mimo odniesionych ran Luli wciąż żył. Leżał nieprzytomny, póki nie

znalazł go przejeżdżający furmanką farmer. Nieświadom okoliczności strzelaniny ani tożsamości obu mężczyzn, załadował Lulla na furmankę i zawiózł do wsi Roscoe, gdzie zajęli się nim miejscowi. Gdy agent odzyskał przytomność, poprosił o wezwanie na miejsce przedstawiciela prawa. W obecności sędziego pokoju Jamesa St. Claira, członka rodu, na cześć którego nazwano hrabstwo, pod przysięgą zrelacjonował szczegóły strzelaniny. Żył jeszcze kilka tygodni, ale ostatecznie rany okazały się zbyt poważne. Zmarł w Roscoe.

Jim Younger opowiedział o wszystkim Theodorcowi Snufferowi. Okazało się, że strzelaninę obserwował jeszcze jeden świadek - G .W. MacDonald, miejscowy. Wszystkie trzy relacje z grubsza się zgadzały.

To wydarzenie oraz kolejna sytuacja, w której banda torturowała i zabiła pojmanego agenta Pinkertonów, jeszcze bardziej zdopingowały agencję do polowania na Jamesów i Youngerów. Zaślepieni gniewem detektywi wysadzili domek, w którym mieszkała matka Franka i Jessego. Niektórzy twierdzą, że wybuch był przypadkowy, inni, że celowy. Tak czy owak, okazał się tragiczny w skutkach. Zginął młodszy przyrodni brat bandytów Archie Samuels, a matka straciła prawą rękę na wysokości łokcia. Jessego i Franka - jak się okazało - nie było w pobliżu, gdy Pinkertonowie wrzucili przez okno flarę (lub bombę).

Szokujące działania sprawiły, że większość dotychczasowych stronników agencji odwróciła się od niej, co skłoniło Pinkertona do rezygnacji ze sprawy Jamesów i Youngerów. Bandydzi nie mogli jednak odetchnąć: kontynuując swój przestępczy proceder, wciąż byli ścigani przez setki, jeśli nie tysiące lokalnych stróżów prawa. Jim Younger oraz jego bracia Cole i Bob towarzyszyli bandzie Jamesów aż do katastrofalnego napadu na bank w Northfield w Minnesocie 7 września 1876 roku. Cała trójka Youngerów została wtedy ciężko ranna i schwytana podczas niesamowitej bitwy, jaka wywiązała się po nieudanym rabunku. Wszyscy przeżyli i trafili do więzienia. Bob nigdy więcej nie odetchnął świeżym powietrzem - zmarł na gruźlicę wśród zimnych, szarych ścian więzienia stanu Minnesota w Stillwater w roku 1889. Cole i Jim odsiedzieli po dwadzieścia pięć lat z zasądzonego dożywocia, nim zostali ułaskawieni.

Jim nie poradził sobie z życiem na wolności. Wkrótce po zwolnieniu z więzienia popełnił samobójstwo. Cole znalazł pociechę w religii. Do śmierci, która nadeszła w roku 1916, wiele pisał o swoich przestępczych czasach.

Ciało Johna, który zginął jako pierwszy z braci, z sadu na farmie Snuffera przeniesiono na działkę Youngerów na cmentarzu w Lee s Summit w Missouri, niedaleko domu, w którym wychowali się wszyscy czterej bracia.



## KONIEC DOBREJ PASSY

### BANDY SAMA BASSA

**W** ciepłe piątkowe popołudnie 9 lipca 1878 roku na przedmieścia Round Rock w Teksasie, dwadzieścia cztery kilometry na północ od stolicy stanu - Austin, zajechali czterej mężczyźni. Mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, ale już dawno przestali być dziećmi. Ich oczy były starsze, niż świadczyłyby metryka: wskazywały, że zaznali już losu myśliwych i ofiar.

Mężczyzna j adący na czele był ubrany lepiej niż pozostali, w ciemnobrązowy garnitur i płaski kapelusz tej samej barwy. Podobnie jak jego kompani nosił wąsy. Usta miał szerokie i wyglądał na kogoś, kto często się uśmiecha, choć tego dnia jego twarz była poważna i skupiona. Jechał na niezłym wierzchowcu. Zawsze miał oko do dobrych koni i nie oszczędzał na nich, bo salwowanie się szybką ucieczką więcej niż raz uratowało mu życie.

Pozostała trójka nosiła standardowe stroje kowbojskie. Gdy mijali sklep z paszą, jeden z nich się zatrzymał. Powiedział pozostałym, że kupi trochę karmy dla koni, a przy okazji sprawdzi, czy wszystko gra. Jego towarzysze pokiwali głowami. Już wiele razy znaleźli się w tarapatkach i wiedzieli, że aby przeżyć, zawsze trzeba być czujnym.

Wszedł do sklepu. Pozostali ruszyli dalej. Tego dnia nie spodziewali się kłopotów. Mieli się tylko rozejrzeć i jeśli wszystko będzie w porządku, nazajutrz obrabować bank.



Rabunek musiał dojść do skutku, bo Sam Bass i jego banda przyjechali do Round Rock, by dodać jeszcze trochę blasku do chwały, która uczyniła Sama swoistym Robin Hoodem Teksasu.



Sam Bass nie był Teksaszczykiem. Urodził się na farmie niedaleko miasteczka Mitchell w Indianie 21 lipca 1851 roku. Jego dzieciństwo może nie było tragiczne, ale i nie należało do łatwych. Matka chłopca zmarła, gdy miał dziesięć lat, a zaledwie trzy lata później zabrakło i ojca. Sam i jego rodzeństwo - dwóch chłopców i cztery dziewczynki - trafili pod opiekę wujka, Davida L. Sheeksa.

Nie ma dowodów na to, że krewny źle traktował dzieci, lecz życie na farmie, pełne ciężkiej pracy, okazało się dla Sama nudne i rozczarowujące. Inteligentny, choć niewykształcony chłopak miał bujną wyobraźnię i nie lubił pracować, co zwykle stanowi mieszankę wybuchową.

Jako osiemnastolatek opuścił farmę, by szukać własnego miejsca w świecie. Zamiłowanie do wędrówek zawiodło go najpierw do Missisipi. Przez chwilę pracował tam we młynie, a gdy zarobił dość pieniędzy, podążył na zachód, do Teksasu. Osiadł w Denton, miejscowości położonej mniej więcej w połowie drogi między Fort Worth a Red River, rzeką oddzielającą Teksas od Terytorium Indiańskiego. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał pracować, więc zatrudnił się u szeryfa hrabstwa Denton, W.F. „Taty” Egana. Nie był jednak jego zastępcą ani strażnikiem więziennym, lecz wykonywał różne prace w rodzaju powożenia wozem. Egan prowadził też firmę transportową, a Sam dał się poznać jako dobry woźnica.

Kochał konie - zwłaszcza wyścigowe. Niedaleko miasta mieścił się tor, na którym je trenowano. Sam spędzał tam coraz więcej czasu. W jego głowie dojrzewała myśl o posiadaniu własnego konia wyścigowego. Jeden z sąsiadów miał właśnie do sprzedania kasztankę. Chłopak uznał, że odpowiednio szkolona (oczywiście przez niego), będzie wygrywać zawody. Nie miał jednak pieniędzy, by ją kupić, więc wszedł w spółkę z młodszym bratem szeryfa, Armstrongiem B. Eganem, i razem z nim nabył klacz, której nadał imię Jenny.

„Tacie” Eganowi nie podobało się, że jego brat kupił konia i dał się

wciągnąć w sport znany z machlojek. Pożyczył więc Samowi pieniądze na wykup udziału Armstronga. Od tej pory klacz była wyłączną własnością chłopaka, który postanowił zrezygnować z innych zajęć i poświęcić się jej szkoleniu. Wynajął doświadczonego dżokeja, czarnoskórego Charleya Tuckera, i wkrótce Jenny zaczęła wygrywać gonitwy, a Sam - zakłady.

Podczas wyjazdu na wyścig w San Antonio poznał Joela Collinsa, który tymczasowo pracował jako barman, choć częściej bywał kowbojem. W przeszłości uczestniczył w czterech spędach bydła z Teksasu do terminali kolejowych w Kansas. Zaprzyjaźnili się i Collins wpadł na pomysł zarobienia na Jenny większej gotówki. On miał udawać właściciela klaczy, podczas gdy Sam podawał się za doradcę wyścigowego i namawiał innych graczy do stawiania na konie rywalizujące z Jenny, która była od nich szybsza. Udawało im się kantować bywalców wyścigów przez rok, nim ci w końcu się we wszystkim zorientowali. Nie chcąc wpakować się w kłopoty, Sam sprzedał klacz i próbował przyjąć do wiadomości niewesołą perspektywę zabrania się do uczciwej pracy.

Joel Collins miał jednak coś w zanadru. Wraz z Samem i innym znajomym Jackiem Davisem, kupił na kredyt stado bydła i cała trójka ruszyła z nim na północ do Kansas. Sprzedali stado w Ogallali za osiem tysięcy dolarów, ale zamiast wrócić do Teksasu i spłacić dług, kierowali się dalej na północ. W Black Hills w Dakocie odkryto złoża złota. Collins obiecywał kolegom, że w tamtejszym Deadwood zbiją fortunę.

Stało się inaczej. Spędziwszy w miasteczku zimę przełomu lat 1876 i 1877, zostali niemal bez grosza przy duszy. Davis wyjechał. Sam i Collins próbowali zorganizować firmę transportową między Deadwood i Cheyenne, ale tylko stracili resztę pieniędzy.

Sytuacja była dramatyczna, więc Sam zaproponował jedyne, co przyszło mu do głowy.

Będą urządzać napady.



Początkowo nikt nie wiedział, kto napada na dyliżanse w okolicach Deadwood. Sam Bass, Joel Collins i ich nowi towarzysze dokonali czterech rabunków, lecz zyski z tych akcji były żałosne. Jednego razu w powozie

znaleźli jedynie kosz brzoskwiń. Mogli się cieszyć z tego, że wszystko szło gładko i nie stanęli przed koniecznością użycia siły. Za piątym razem wypadki potoczyły się jednak inaczej. Strażnicy siedzący w wozie otworzyli do bandytów ogień. W walce zginął woźnica John Slaughter, będący w Black Hills osobą znaną i popularną. Górnicy, którzy do tej pory nie przejmowali się zbyt rabunkami, tym razem wpadli we wściekłość i zaczęli przebąkiwać coś o zorganizowaniu grup pościgowych i straży obywatelskiej. Deadwood stało się niebezpieczne dla Sama i jego kumpli. Wyruszyli więc na południe, do Nebraski, a Sam obmyślał już plan kolejnych działań.

Będą napadać na pociągi - jak sławni bracia Reno, o których słyszał w Indianie jako dziecko. To przyniesie wymierne zyski.

I początkowo tak było. 18 września 1877 roku Sam Bass i Joel Collins wraz kumplami z Dakoty - Billem Heffridgeem, Tomem Nixonem i Jimem Berrym - oraz Jackiem Davisem, który na nowo dołączył do bandy, zatrzymali pociąg linii Union Pacific podczas postoju składu w celu nabrania wody w Big Springs w Nebrasce. Wreszcie Sam i jego kompani odnieśli prawdziwy sukces. Odjechali z sześćdziesięcioma tysiącami dolarów w złotych dwudziestodolarówkach. Była to największa suma, jaką do tej pory ktokolwiek zrabował z pociągu.

Grupa postanowiła się rozdzielić w nadziei, że dzięki temu trudniej będzie ją schwytać. Sam i Jack Davis ruszyli na południe w starej dwukółce, udając farmerów. Swoją część łupu ukryli pod podłogą wozu. Natknęli się na patrol konny poszukujący sprawców napadu, lecz ci szukali sześciu jeźdźców, a nie dwóch gości w zdezelowanym powozie. Podstęp się udał. Po przyjemnej pogawędce z żołnierzami Sam i Davis ruszyli dalej na południe, przez Red River z powrotem do Teksasu.

Joel Collins i Bill Heffridge także uszliby z łupem, gdyby nie dwa pechowe zdarzenia. Po pierwsze, znajomy Collinsa jechał napadniętym pociągiem, rozpoznał go i przekazał władzom jego nazwisko. Po drugie, podczas przystanku w placówce handlowej w Buffalo Station Collins upuścił kopertę ze swoim nazwiskiem. Szybko ją podniósł i prawdopodobnie niczego się nie obawiał, ale pewien mężczyzna przeczytał napis i skojarzył, że niejaki Joel Collins jest poszukiwany w związku z napadem na pociąg Union Pacific. Na dodatek w pobliżu obozowała wysłana przez szeryfa grupa pościgowa i zaledwie po kilku minutach zatrzymała bandytów. Ci początkowo zarzekali się, że są niewinni, i potulnie pozwolili się prowadzić. Doskonale jednak zadając

sobie sprawę z tego, że na komisariacie wszystko się wyda, Collins sięgnął w pewnej chwili po broń. Heffridge zrobił to samo i wywiązała się krótka, lecz zacięta walka, w wyniku której obaj bandyci zostali zabici.

Jakiś czas potem inny członek bandy Jim Berry, zginął w Missouri z rąk policjanta. Tom Nixon zniknął ze swoją dolą oraz większą częścią doli Berry ego i słuch po nim zaginął.

Tymczasem w Teksasie Sam Bass wrócił do Denton i żył jak pączek w maśle, rozповідаjąc, że wzbogacił się na złotonośnych polach Dakoty. Miał dużo pieniędzy, ale skrycie pożył kolejnych przestępczych eskapad. Potrzebował nowej bandy. Zaczął rekrutować starych znajomych z czasów hazardu i wyścigów konnych w Black Hills. Jako pierwszy przyłączył się do niego Frank Jackson, wkrótce potem zdecydowali się na to Henry Underwood, Seaborn Barnes i Tom Spotswood. Początkowo dokonali kilku napadów na dyliżanse w okolicach Fort Worth, ale podobnie jak w Deadwood nie mieli szczęścia. Wprawdzie tym razem łupy były nieco znaczniejsze niż kosz brzoskwiń, wciąż jednak nie dało się ich porównać z sześćdziesięcioma tysiącami, jakie Sam i jego kompani zrabowali z pociągu Union Pacific w Nebrasce. Bass zrozumiał, że nadszedł czas na kolejny wielki skok.



W Black Hills zyskał pewną renomę. Podczas napadów na dyliżanse deklarował zadziornie, że nikogo nie zostawi bez grosza. Po obrabowaniu pasażerów wręczał więc każdemu z nich po dolarze. Wieść się rozeszła, po raz pierwszy przysparzając mu sławy kogoś w rodzaju Robin Hooda. W Teksasie Sam pozostał wierny tradycji. Gdy gazety zaczęły się o nim rozpisywać, wezbrała w nim duma - oto on, chłopak z farmy w Indianie, który nigdy nie chodził do szkoły, dla reporterów stał się kimś w rodzaju króla bandytów. Był w Teksasie tak znany jak Jesse James w innych miejscach (choć i Jesse miał pewne powiązania z tym stanem, w którym także nierzadko gościł na łamach gazet).



Słynny bandyta Sam Bass siedzi pomiędzy swoim zastępcą Seabornem Barnesem (po jego lewej stronie) a człowiekiem, który zdradził bandę i doprowadził do krwawego starcia w Round Rock -Jimem Murphym (po prawej) *Ze zbiorów Texas State Library and Archives Commission*

W styczniu i lutym 1878 roku Sam i jego ludzie obrabowali pociągi linii Texas Pacific oraz Houston & Texas Central Railroad. Łup był niezły, ale zdecydowanie gorszy niż to, co banda uzyskała z jednego skoku w Nebrasce. Tak czy inaczej, prasa hołubiła Sama, a Stróże prawa cały czas się

za nim uganiałi, więc przestępca był w swoim żywiole. Znał hrabstwo Denton jak własną kieszeń i miał tam kilka kryjówek. Jedną było Pilot Knob, duże zalesione wzgórze na południe od Denton z dobrym widokiem na okolicę. Żaden pościg nie mógł podejść ludzi Bassa, gdy tam obozowali. Innym sekretnym miejscem był znajdujący się na styku sąsiednich hrabstw Cooke i Wise głęboki, gęsto zadrzewiony jar o długości dziesięciu kilometrów, znany jako Cove Hollow. W jego pobliżu mieściło się ranczo należące do braci Murphych - Boba i Jima. Jim był kumplem Sama z dawnych czasów w Denton i Sam wiedział, że może liczyć na jego ostrzeżenie, jeśli pościg będzie się kręcił w okolicy.

Stróżom prawa nie podobała się łatwość, z jaką Sam i jego banda wodzili ich za nos, oraz to, że gazety tak się o nich rozpisują. Dyrektorzy przedsiębiorstw kolejowych i właściciele firm przewozowych też nie dali się zaczarować. Pod ich naciskiem gubernator Teksasu R.B. Hubbard polecił majorowi Johnowi B. Jonesowi, dowódcy batalionu pogranicznego Strażników Teksasu, wytropić Sama Bassa.

Jones utworzył specjalny oddział do wykonania tego zadania, a na jego czele postawił Juniusa, June a” Peaka, stróża prawa z Dallas.

O powstaniu jednostki, w której skład wchodziłi zarówno Strażnicy Teksasu, jak i miejscowi Stróże prawa, donosiły gazety w całym stanie.



Sam bynajmniej się nie przestraszył. Przeciwnie - pełen wiary w swoją umiejętność wymknięcia się każdemu pościgowi, obrabował dwa kolejne pociągi i radośnie wodził strażników za nos przez lasy i wąwozy kilku hrabstw w północnym Teksasie. Więcej niż raz pościg zbliżył się wystarczająco, by móc ostrzelać bandytów. Jeden pocisk zerwał nawet Samowi pas z amunicją, a inny trafił w kolbę jego karabinu. Mimo to banda znów zdołała się wymknąć. Przestępca miał teraz sporo towarzyszy - dołączali do niego młodzi kowboje skuszeni obietnicą przygody i bogactwa, gotowi podjąć ryzyko, by móc się stać częścią szajki sławnego Sama Bassa.

Tymczasem „June” Peak i jego oddział aresztowali wszystkich, którzy mogli mieć jakikolwiek związek z Samem. Taki los spotkał choćby Jima Murphy ego. Podejrzewanemu o kradzieże bydła mężczyźnie groziło

więzienie, więc obmyślił plan i podzielił się nim z władzami. Znał Sama Bassa i cieszył się jego zaufaniem. Jeśli zechce przystąpić do bandy, Sam go przyjmie, a wtedy Jim będzie mógł powiadomić władze o kolejnym planowanym napadzie. Strażnicy zastawią pułapkę i wojna z Bassem dobiegnie końca.

Władze się zgodziły i wypuściły Jima, choć oficjalna wersja głosiła, że został zwolniony za kaucją i dał nogę. Kiedy Sam i jego świta zatrzymali się po raz kolejny na jego ranczo, rzekomo ukrywający się przed prawem Jim bez trudu przekonał przywódcę, by go przyjął do bandy. Ruszył z nimi w drogę, czekając na sposobność do zdrady.

Podczas niedawnego napadu na pociąg linii Texas 8c Pacific w Mesquite niedaleko Dallas doszło do wymiany ognia. Seaborn Barnes został ranny, a jeden z młodych członków bandy zginął. Interes nie kręcił się tak gładko jak kiedyś. Bass zaczynał myśleć, że może powinni na jakiś czas opuścić północny Teksas. Upewnił się w tym, gdy pewnego razu on i jego kompani minęli wybudowaną przy drodze szubienicę. Została postawiona w celu wykonania wyroku, więzień jednak zdążył popełnić samobójstwo w celi, więc nie było okazji, by użyć narzędzia egzekucji. Sam nie znał tej historii, ale wiedział, że szubienica to zły omen dla ludzi jego profesji.

Na domiar złego żadna z jego akcji, poza wielkim rabunkiem w Nebrasce, nie przyniosła fortuny. Napadał na dyliżanse, a potem na pociągi: może nadszedł czas na coś większego? Latem roku 1878 Sam postanowił połączyć oba pomysły: zmianę miejsca pobytu i napad na bank. Ruszył na południe, do środkowego Teksasu, w poszukiwaniu odpowiedniej placówki. Tymczasem jego banda zmniejszyła się do trzech ludzi: Seaborna Barnesa, Franka Jacksona i zdradzieckiego Jima Murphy ego.

Barnes był podejrzliwy wobec Murphy ego. Koledzy z półświatka donieśli mu, że ranczer może pracować dla władz. Najprościej byłoby go zabić i mieć to z głowy, ale Murphy przyjaźnił się z Jacksonem, a i Sam go lubił. Nawet jeśli rozsądek mu podpowiadał, że nie powinien zostawiać go przy życiu, ostatecznie to zrobił. Chciał dać Jimowi szansę dowiedzenia swojej lojalności. Okazją do tego miał być napad na bank w Round Rock na północ od Austin.

Czterej jeźdźcy dotarli tam w poniedziałek 15 lipca 1878 roku. Już po drodze, w miasteczku Belton, Murphy zdołał potajemnie wysłać do władz list z informacją, że banda kieruje się do Round Rock. „Na miłość boską, jedźcie tam!”- zakończył.

Samowi się nie spieszyło. Rozbił obóz poza miastem i przez tydzień kręcił się po okolicy, obserwując i kombinując, jak dokonać napadu i uciec z łupem. Tymczasem do miasta zjeżdżali zaalarmowani przez Murphy ego członkowie grupy pościgowej. Trzej strażnicy - Dick Ware, Chris Conner i George Herold - ukryli odznaki i przebrali się za kowbojów. Major Jones przyjechał z Austin, przywożąc ze sobą zastępcę szeryfa Morrisa Moore'a. Kapitan Lee Hall i kilku innych Strażników Teksasu czekali w pobliżu na wypadek konieczności pościgu. W poszukiwaniach niesławnego Sama Bassa brał także udział miejscowy zastępca szeryfa, A.W. „High” Grimes.

Późnym popołudniem w piątek 19 lipca Sam uznał, że czas po raz ostatni rozejrzeć się po Round Rock przed zaplanowanym na następny rano napadem. Wsiadł więc na konie, by dostać się do miasta. .. i na karty historii.



Przed sklepem z paszą Jim Murphy zsiadł z wierzchowca i wszedł na ganek. Pełnym obaw wzrokiem odprowadził trzech oddalających się jeźdźców. Rozejrzał się nerwowo, świadom, że w pobliżu mogą się ukrywać Stróże prawa. Jeśli tego dnia miały paść strzały, chciał być jak najdalej od latającego w powietrzu ołowiu. Wszedł do sklepu, co chwila rzucając za siebie spojrzenie.

Sam Bass, Seaborn Barnes i Frank Jackson skręcili z Georgetown Avenue w ślepią uliczkę. Zsiadli z koni, przywiązali je i mszyli dalej główną ulicą do sklepu wielobranżowego Kopperala. Strażnik Teksasu Dick Ware (bez odznaki) przeszedł przez ulicę w tym samym momencie, zmierzając do golarza. Musieli się minąć, ale Dick nie rozpoznał Sama ani pozostałych.

Nie był jednak jedynym stróżem prawa w tym miejscu. Szeryf Morris Moore również zobaczył trzech nieznanomych i zauważył, że jeden z nich ukrywa pod płaszczem rewolwer. Kodeks miasta zabraniał noszenia broni. Moore ruszył za nimi, wpadł na miejscowego zastępcę szeryfa A.W. Grimesa i powiedział mu o swoim spostrzeżeniu. Grimes ruszył w stronę sklepu Kopperala, by się zorientować w sytuacji.

Sam, Barnes i Jackson stali przy ladzie i kupowali tytoń, gdy nagle surowy głos za nimi zapytał: „Czy pan ma broń?”. Sam zrozumiał, że prawo wreszcie go dopadło. „Tak” - odparł więc i odwrócił się z uśmiechem, sięgając po



rękojeść ukrytego pod płaszczem rewolweru.

Barnes i Jackson poszli za jego przykładem. Cała trójka otworzyła ogień. Przeszyty kulami Grimes zatoczył się do tyłu, nie zdążywszy wyjąć broni z kabury. Był martwy, zanim uderzył o podłogę.

Czekający na zewnątrz Moore wpadł do sklepu i otworzył ogień. Pierwszy pocisk trafił w trzymającą rewolwer rękę Bassa. Pozostali bandyci podziurawili Moore'a kulkami. Gdy upadł, wybiegli ze sklepu i ruszyli w stronę zaułka, w którym ukryli konie.

Na dźwięk strzelaniny Dick Ware zerwał się z fotela i wybiegł z zakładu golibrody z niezmytą pianą na twarzy. Zobaczył trzech bandytów i zaczął strzelać, spowalniając ich ucieczkę. Odpowiedzieli tym samym, ale tylko drzazgi posypały się z płotka do wiązania koni, za którym starał się ukryć.

Z pobliskiego biura telegraficznego wybiegł major Jones. Zdążył oddać tylko jeden strzał, nim kanonada bandytów zmusiła go do wycofania się. Ware wystrzelał całą zawartość sześciostrzałowca. Tymczasem ze sklepu Kopperala wybiegł miejscowy jednoręki mężczyzna o nazwisku Stubbs z rewolwerem Grimesa i również zaczął strzelać w ślad za przestępcami.

Sam Bass zatoczył się, trafiony pociskiem wystrzelonym prawdopodobnie przez Dicka Ware'a. Mimo to cała trójka dobiegła do zaułka, w którym ukryła konie. Nim zdążyli ich dopaść, trafiony w głowę Seaborn Barnes osunął się na ziemię. Jackson odwiązał lejce i trzymał konie, czekając, aż ranny przywódca z trudem wdrapie się na siodło. Jednocześnie mierzył do strażników, nie dopuszczając ich w pobliże. W tym momencie przybiegli dwaj kolejni przedstawiciele prawa - Chris Conner i George Herold, dołączając do kanonady rozbrzmiewającej w zaułku i na Georgetown Avenue. Gdy Sam usadowił się na grzbiecie wierzchowca, on i Jackson ruszyli pędem ku wylotowi z miasta. Po drodze minęli sklep z paszą, w którym czekał Jim Murphy. Patrzył za nimi z ukrycia, nieświadomy, co dokładnie się wydarzyło ani co go czeka.

Strażnicy ścigali Sama i Jacksona. Byli jednak ostrożni. Nie wiedzieli, ilu ludzi może na nich czekać pod miastem. Wkrótce potem zapadła noc i pościg został zawieszony do sobotniego poranka. Policjanci nie zdawali sobie sprawy, że Sam zatrzymał się niedaleko, na skraju lasu. Czuł zbyt silny ból. Jackson nie chciał go tam zostawić, ale Sam go ubłagał. Dał młodszemu towarzyszowi wszystkie swoje pieniądze, broń i amunicję, a do tego zamienił się z nim na konie. Jackson z ociąganiem odjechał, zostawiając kompana.

Rankiem wznowiono poszukiwania, rozsyłając po okolicy grupy pościgowe. Członek jednej z nich, zastępca szeryfa Milt Tucker, zauważył siedzącego pod drzewem mężczyznę i podjechał do niego. Nieznajomy pozdrowił go gestem. „Nie strzelaj - powiedział. - Jestem nieuzbrojony i bezbronny. Jestem człowiekiem, którego szukasz. Nazywam się Sam Bass”.

W ten sposób Robin Hood z Teksasu wpadł w ręce stróżów prawa.



Przywieziono go do Round Rock na podłodze powozu i zanesiono do pustej szopy.

Strażnicy opatrzyli go, lecz także wy pytali o pozostałych członków bandy. Sam odmówił podania nazwisk i jakiegokolwiek współpracy. „Jeśli człowiek coś wie, ta wiedza powinna umrzeć wraz z nim” - powiedział majorowi Jonesowi. Śmiertelnie ranny, dożył niedzieli, 21 lipca 1878 roku. Niedługo przedtem lekarz uprzedził go, że zbliża się koniec. „Daj mi odejść” - odparł Sam. Po kilku minutach jęknął i uniósł się na łóżku, wołając: „Świat faluje!”. Były to jego ostatnie słowa. Zaraz potem padł martwy.

\$10,000.00

Reward

## Omaha Train Robbers

### Description

William Heffridge & Bill Heffery 5' feet 8 or 9 inches high 145 or 150 25 to 30 years old light brown hair light beard and mustache front tooth gone Tattoos on hands and dancing girl Tattooed on arm

Sam Bass 5' feet 7 or 8 inches high 140 or 150 pounds 23 to 25 years old described as quite young and boyish looking dark complexion Hair black and cut short. mustache cut short Beard black, thin and not very stiff but very white teeth shows his front teeth when laughing is slow talker and does not talk much drinks very little does not use tobacco is called a Texas man

Jack Davis 5' feet 11 inches high some think 6, feet 190 pounds 30 years old large heavy broad shouldered man brown eyes dark hair and beard, mustache not very heavy slow in his walk and has habits of walking with his hands behind his back Talks and drinks a great deal Rode a dunn colored horse with a glass eye



James Berry 5' feet 9 inches high 180 pounds  
30 or 35 years old sandy or Red hair with  
a little gray in it sandy Beard and mustach  
chin Beards quite long Red or Flound complexion  
Blue eyes full round face which gets very red  
when he has been drinking Soles a good deal

Tom Nixon 5' feet 8 inches high 140 to 150  
pounds 25 years old Light Hair and Beard  
not very long or heavy Blue eyes was riding  
a horse with a it with a heart sound

E. M. Morrison

Supt. W. P. R. R.

Omaha Neb.

No. 100.

Chas. H. Foulke.

Description

41 years old 6 feet high 180 pounds Brown hair  
light cold grayer about 30 or 4 inches long which  
covers chin pretty well. long face thin cheeks high  
cheek bones Blue eyes scar on right side of upper  
lip large shoe lodged in back part of one of his hands  
think it is in the left upper fourth toe apart and  
have conspicuous good plugs in them large feet and  
very long always wear shoes generally fancy ones  
when walking he takes long steps has a rolling gait  
Gambler by Profession fore dealing favorite

Saml. C. Anderson, Casville P.A.

Ogłoszenie o nagrodzie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za schwytanie Sama Bassa, Williama Heffridge'a, Jacka Davisa, Jamesa Berry'ego i Toma Nixona, wydane w mieście Omaha w Nebrasce. Warto zwrócić uwagę, że koń Davisa opisany jest jako „bułany ze szklanym okiem” *Ze zbiorów Texas State Library and Archives Commission*

Zmarł w swoje dwudzieste siódme urodziny.

Pochowano go na cmentarzu w Round Rock razem z Seabornem Barnesem. Zastanawiano się nad zawiezieniem ciała Sama do Austin i okazaniem go władzom stanowym, lecz pomysł upadł z powodu letniego upału i braku lodu, którym można by obłożyć zwłoki. Po skromnym pogrzebie, gdy się już rozeszła garstka bliskich zmarłego, człowiek, który mógł być Frankiem Jacksonem, choć równie dobrze mógł nim nie być, podjechał do grobu i spędził przy nim chwilę w samotności, po czym się oddalił. W późniejszych czasach krążyło wiele opowieści o tym, dokąd pojechał Frank i co się z nim stało, ale nikt nie wie tego na pewno.

Zastępca szeryfa Morris Moore wylizał się z ran i podobnie jak pozostali, którym udało się przeżyć, stał się sławny ze swego udziału w strzelaninie, która położyła kres życiu Sama Bassa.

Jim Murphy przeżył resztę życia w strachu przed tym, że ktoś spróbuje go zabić za zdradę uwielbianego banity. Rok po legendarnej strzelaninie w Round Rock przypadkiem wypił medykament, który przepisano mu na problemy z okiem. Substancja okazała się trująca i niecały dzień później Jim skonał w męczarniach. Biorąc pod uwagę nękające go wyrzuty sumienia i lęk, może to wcale nie był przypadek...

Grób Sama Bassa przez wiele lat nie miał tablicy. W końcu jego siostra przyjechała do Teksasu z Indiany i zapłaciła za nagrobek. Na pomniku można było przeczytać słowa: „Tu spoczywa dzielny człowiek. Dlaczego nie był uczciwy?”.

Tablica dawno zniknęła, rozbita na kawałki przez łowców pamiątek.

CZĘŚĆ TRZECIA



# POŚCIGI

---

*Jestem dzikim wilkiem z Bitter Creek  
i tej nocy będę wyl*

— George „Bitter Creek” Newcomb



## POŚCIG W DIABLO CANYON

**D**wudziestego marca 1889 roku zmierzający na wschód pociąg linii Atlantic & Pacific numer dwa w kłębachpary zatrzymał się na stacji Diablo Canyon w Arizonie. Stacja znajdowała się w połowie drogi między Flagstaff a Winslow, nieco na południe od górzystych terenów północnej Arizony, na których ustanowiono rezerwat Nawahów. Była bardzo skromna. Pociągi zatrzymywały się tam głównie w celu zaopatrzenia w drewno i wodę.

Tego dnia jednak obsługę miało spotkać coś więcej. Gdy skład się zatrzymał, podjechało do niego czterech kowbojów pracujących dla przedsiębiorstwa Aztec Land & Cattle Company, rozslawionego przez logo z nożem w kształcie półksiężyca. Byli to John Halford, Dan Harvick, J.J. Smith i Bill Stiren. Kowboje zeskoczyli z koni, wyjęli broń i osaczyli pociąg, trzymając na muszce konduktora, maszynistę i palacza, a kuriera zmuszając do otwarcia wagonu ekspresowego. Opróżnienie sejfu poszło im błyskawicznie. Wzbogacili się o około siedmiu tysięcy dolarów w gotówce i sporą ilość biżuterii, w tym komplet kolczyków z diamentami. Pokrzykując z radości, upojeni gigantycznym sukcesem, wskoczyli na konie i pogalopowali przez rezerwat Nawahów na północ w stronę Utah.

Na ich nieszczęście popełnione w hrabstwie Yavapai przestępstwo wywołało najdłuższy - a przynajmniej najdalszy - pościg w historii Dzikiego Zachodu. Rabusie nie zdawali sobie sprawy, co to znaczy być ściganymi przez szeryfa Yavapai, „Buckeya” O’Neilla...





William Owen „Buckey” O’Neill urodził się w Irlandii 2 lutego 1860 roku. Był jeszcze dzieckiem, gdy jego rodzina wyemigrowała do Ameryki i osiedliła się w St. Louis w Missouri. Dobrze wykształcony, jak na tamte czasy, wyszkolony na drukarza i zecera O’Neill po przeprowadzce do Phoenix w roku 1879 mimo młodego wieku dostał pracę jako redaktor w „Arizona Gazette”. Kilka lat później założył własne czasopismo - „Hoof and Horn”, poświęcone w dużej mierze lokalnemu rolnictwu i hodowli.

Choć był szanowanym obywatelem, jednocześnie uwielbiał hazard i dorobił się pseudonimu „Buckey” dzięki grze w faro, zwanej też „odwracaniem tygrysa” (*bucking the tiger*) ze względu na wizerunek tygrysa na odwrocie kart. Wszystko wskazuje na to, że należał do tych nielicznych jednostek, które równie dobrze czują się na każdym szczeblu społeczeństwa - czy to wśród hazardzistów, rewolwerowców i prostytutek, czy wśród polityków i przodujących biznesmenów. Był łagodny, skromny, kulturalny i ujmujący. Lubili go prawie wszyscy. Wyróżniało go jednak silne poczucie sprawiedliwości i nigdy nie zawahał się przed nadstawieniem karku w obronie dyskryminowanych.

W tamtym okresie przedsiębiorstwo kolejowe Atlantic & Pacific wydłużało swoją linię w Arizonie. Ekipa przygotowująca teren pod tory zagarnęła znajdujące się tam jezioro i przegnała pokojowych Nawahów, którzy poili w nim swoje owce. Na wieść o tym „Buckey” O’Neill pojechał do robotników i poprosił o oddanie wodopoju Indianom. Szef ekipy roześmiał mu się w twarz. „Wyrzuc nas!” - zaszydził. „Buckey” odjechał, pozwalając kolejarzom myśleć, że się przestraszył. Wkrótce jednak wrócił - tym razem w towarzystwie wodza Nawahów, którego uzbroił i któremu zaproponował, że poprowadzi jego ludzi do walki. Robotnicy wycofali się w obawie przed zbrojną konfrontacją z Indianami.

Prawdopodobnie to wtedy „Buckey” O’Neill zraził się do kolei, które w tamtym okresie były najpotężniejszą siłą polityczną w regionie. Kierowały nim jego własne ambicje polityczne i w roku 1886 został wybrany na sędziego w sądzie do spraw spadkowych hrabstwa Yavapai, położonego na wschód od Flagstaff. Kilka lat później wystartował w wyborach na szeryfa hrabstwa, obiecując nałożenie na przedsiębiorstwo kolejowe adekwatnych podatków.

Kolej była właścicielem znacznego obszaru wokół swoich torów, więc dawało to sporą sumę. Przyzwyczajeni do przekupywania lokalnych władz magnaci kolejowi od dłuższego czasu nie płacili podatku od tych gruntów i nie zamierzali zmieniać tego stanu. Robili więc wszystko, co tylko można było zrobić bez uciekania się do przemocy, by nie dopuścić „Buckeya” do władzy. Bezskutecznie - obywatele hrabstwa wybrali go na szeryfa.

Biorąc pod uwagę ich wrogość wobec szeryfa, nic dziwnego, że po obrabowaniu pociągu w Diablo Canyon urzędnicy kolei nawet nie poprosili go o zorganizowanie pościgu za rabusiami - tym bardziej że straty nie były olbrzymie, a schwytanie złoczyńców prawdopodobnie wzmocniłoby pozycję O’Neilla w hrabstwie. Kolej bała się, że szeryf planuje ubiegać się o wyższe stanowisko. Prawdopodobnie miała rację w obu kwestiach.

Gdy jednak szeryf usłyszał o napadzie, duma i poświęcenie nie pozwoliły mu go zignorować. Ruszył na stację Diablo Canyon, zabierając ze sobą grupę złożoną ze swych zastępców - Jima Blacka i Eda St. Claira - oraz detektywów kolejowych - Freda Fornoffa i Carla Holtona. Niektórzy historycy twierdzą, że towarzyszył im także znany zwiadowca, tropiciel, wojownik i płatny zabójca Tom Horn, lecz inni w to wątpią. Horn rzeczywiście przez pewien czas pracował dla O’Neila jako jego zastępca, więc teoretycznie mógł uczestniczyć w pościgu, ale nie istnieje na to żaden konkretny dowód.

Ktokolwiek służył w tej grupie jako tropiciel - możliwe, że był to sam O’Neill - zdołał odnaleźć ślady rabusiów. Grupa skierowała się na północ, zmierzając przez rezerwat ku Utah. Poszukiwania trwały dwa tygodnie, częściowo dlatego, że rabusie kilka razy zmieniali kierunek, by zmylić ewentualny pościg. Gdy obie grupy dotarły w okolice mormońskiej osady Kanab w Utah, przestępcy musieli już wiedzieć, że ktoś siedzi im na ogonie. Zatrzymali się i urządzili zasadzkę.

Oddane z nienacka strzały zmusiły O’Neilla i jego ludzi do pospiesznego poszukiwania schronienia, lecz żaden z nich nie został ranny. Szybko opanowali chaos i odpowiedzieli ogniem. W końcu rabusie odpuścili i uciekli, kierując się dalej na północ.

Starcie tylko wzmogło determinację O’Neilla, by schwycić przestępców. Jechał dalej w głąb Utah, trzymając się ściganych niczym rzep psiego ogona. Wierzchowce obu grup padały już z nóg i jasne było, że pościg wkrótce się zakończy.

O’Neill jechał na wytrzymałym płowym koniu o imieniu Sandy, które

bardzo do niego pasowało<sup>[6]</sup>. Szeryf zdołał się wysforować przed resztę grupy. Relacje na temat tego, co się dokładnie wydarzyło po wjechaniu do kanionu Wah Weep, są rozbieżne. Niektórzy twierdzą, że O'Neill natknął się na przestępców siedzących przy ognisku, najwyraźniej przekonanych, że zgubili w końcu swoich prześladowców, podczas gdy inni utrzymują, że rabusie zaczęli się na szeryfa, a on wpadł w pułapkę. Jakkolwiek było, tego dnia kanonada odbiła się echem od ścian kanionu.

Koń szeryfa przewrócił się i przygniótł nogę jeźdźca do ziemi. Sytuacja wydawała się dramatyczna. Na szczęście właśnie wtedy na miejsce dotarła reszta pościgu. Jeden z detektywów pracujących dla firmy kolejowej, Carl Holton, zeskoczył z siodła i uwolnił O'Neilla, który natychmiast dołączył do swoich ludzi i wraz z nimi ostrzeliwał bandytów. Osaczeni przez liczniejszego wroga rabusie, których konie ledwie trzymały się na nogach, zrobili w końcu jedyną rzecz, jaka im pozostała: rzucili broń na ziemię i z podniesionymi rękami wyszli zza skał, za którymi się schronili. Przeszukując ich juki, członkowie grupy pościgowej znaleźli niemal wszystkie zrabowane z pociągu pieniądze i sporą część biżuterii. Kolczyków z diamentami jednak nigdy nie odnaleziono.

„Buckey” O'Neill w końcu przyskrzytnił przestępców, ale nie był to koniec jego problemów. Musiał zdecydować, co zrobić z bandą. Znajdował się setki kilometrów od hrabstwa Yavapai, daleko poza zasięgiem swojej jurysdykcji. (Większość szeryfów na Dzikim Zachodzie nie ścigała przestępców poza granicami swoich hrabstw, nie mówiąc już o stanach). W obawie o to, że próba zawiezienia schwytanych aż do Yavapai skończy się ich ucieczką, postanowił nie zawracać na południe, lecz jechać dalej ku północy, do Salt Lake City.

Dotarli tam bez przygód i skierowali się prosto na stację kolejową. O'Neill kupił dla wszystkich bilety na najbliższy pociąg linii Denver & Rio Grande zmierzający na wschód. Była to droga okrężna, ale uważał ją za bezpieczniejszą. Po przybyciu do Denver kupił kolejne bilety, tym razem na jadący do Prescott pociąg linii Santa Fe. Szeryf sam płacił za te wszystkie bilety. Nie wiadomo, czy miał przy sobie tyle gotówki, czy przekonał kolejarzy, by pozwolili mu uiścić zapłatę później. Nim cała grupa dotarła do Prescott, zdążył wydać osiem tysięcy dolarów.

Niestety wiozł ze sobą tylko trzech więźniów. Kiedy pociąg stał w Raton w Nowym Meksyku, na skraju gór Sangre de Cristo, J.J. Smith jakimś sposobem

zdołał uwolnić się z więzów i zbiec. Mimo wszystko O'Neill odniósł ogromny sukces, przywożąc trzech spośród czterech rabusiów po pościgu trwającym kilka tygodni i ciągnącym się przez cztery stany. Był to wyczyn w tamtych czasach niesłychany i przysporzył mu wielkiej sławy. Tym bardziej że wkrótce potem w Vernon w Teksasie schwytano Smitha i przysłano go do Arizony, by stanął przed sądem wraz z kompanami. Cała czwórka została oskarżona o rabunek z bronią w ręku i skazana na więzienie.

Podróż okazała się jednak dla szeryfa nad wyraz kosztowna.

Zadbał o to, by mieć paragony na wszystkie swoje wydatki, kiedy jednak okazał je radzie nadzorczej hrabstwa i poprosił o zwrot pieniędzy, ta odmówiła. Jej zdaniem jako pracownik hrabstwa winien był poprosić radę o zgodę na wykonywanie swoich zadań poza jego terenem. Jako że tego nie zrobił, sam musi ponieść koszty pościgu. Nawet jeśli *defacto* radni mieli rację, w rzeczywistości ich odmowa miała inną przyczynę: byli kumplami baronów kolejowych, którzy nienawidzili „Buckeya” za to, że się im postawił. O'Neill w celu odzyskania pieniędzy zaskarżył hrabstwo i bronił swojej sprawy w kolejnych sądach z tym samym uporem, z którym ścigał rabusiów, lecz ostatecznie przegrał. Batalia sądowa przysporzyła mu wielu przyjaciół wśród zwykłych ludzi, lecz nie zwróciła wydatków.

Zgodnie z obawami magnatów kolejowych próbował wykorzystać zdobytą dzięki pościgowi sławę jako trampolinę, która umożliwi mu uzyskanie wyższego stanowiska. Bez powodzenia. Dwukrotnie kandydował do Kongresu, za każdym razem przegrywając. Przez pewien czas pozostawał szeryfem. Utrata pieniędzy najwyraźniej nie zmieniła jego podejścia do obowiązków, bo jeszcze parokrotnie ścigał i łapał przestępców poza obrębem swego hrabstwa, choć żaden z tych pościgów nie był tak długi i spektakularny jak ten za rabusiami z Diablo Canyon. Kiedy w końcu zrezygnował z funkcji, przeniósł się do Tombstone i przez pewien czas wydawał gazetę, a następnie wrócił do Prescott i w roku 1897 kandydował na burmistrza, tym razem z powodzeniem.

Gdy wybuchła wojna amerykańsko-hiszpańska w roku 1898, „Buckey” O'Neill był jednym z pierwszych ochotników z Arizony. Służył jako kapitan w oddziale słynnych Bezwzględnych Jeźdźców późniejszego prezydenta Theodore'a Roosevelta i został odznaczony za służbę na Kubie. Gdy jego ludzie leżeli w okopie niedaleko Santiago, dla rozluźnienia recytował im wiersz Walta Whitmana *O kapitanie, mój kapitanie*. Pod

wpływem emocji wystawił głowę z okopu, ignorując ostrzeżenie jednego z żołnierzy. Sekundę później świsnęła kula hiszpańskiego snajpera, trafiając O'Neilla w głowę i zabijając go na miejscu.

Początkowo został pochowany na Kubie, lecz później jego szczątki przewieziono na Arlington National Cemetery. W Prescott w Arizonie, przed siedzibą władz hrabstwa, stanął pomnik ku czci Bez-względnych Jeźdźców z Arizony dłuta Solona Borgluma, brata rzeźbiarza, który zasłynął z wykonania rzeźb na górze Rushmore. Choć przedstawia on postać na koniu mającą symbolizować ich wszystkich, sława byłego szeryfa była tak wielka, że z czasem zaczęto nazywać rzeźbę pomnikiem „Buckeya” O'Neilla. Trudno marzyć o lepszym hołdzie dla jednego z najznamienitszych stróżów prawa i szeryfa, który ilekroć ruszył w pościg za przestępcą, ścigał go do skutku.



## NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY PRZESTĘPCA KALIFORNII

**W** historii Dzikiego Zachodu Bakersfield w Kalifornii nie kojarzy się z takimi miejscami, jak Tombstone, Dodge City, Deadwood czy Cheyenne. Nie przychodzi na myśl zaciekłych walk między stróżami prawa i bandytami. A jednak w kwietniu 1903 roku senne miasteczko stało się areną jednej z ostatnich wielkich strzelanin tamtej epoki.

Opowieść zaczyna się jakieś dwadzieścia lat wcześniej w innym kalifornijskim miasteczku - Farmersville, gdzie młody człowiek o nazwisku Jim McKinney zdenerwował się, gdy nauczyciel uderzył jego młodszego brata. McKinney, który to wyjeżdżał z doliny San Joaquin, to do niej wracał, już wtedy miał kiepską opinię. Plotkowano nawet, że zabił człowieka w Leadville w Kolorado. Ale w Farmersville jego pierwszym zatargiem z prawem był właśnie konflikt z nauczycielem. Chłopak wyciągnął broń i zdzielił mężczyznę kolbą w głowę, pozbawiając go przytomności. Gdy ten leżał u jego stóp, McKinney schował broń do kabury, wyjął nóż, pochylił się nad leżącym i szybkim ruchem odciął mu kawałek ucha. Wcześniejsza kłótnia przyciągnęła uwagę znajdujących się w pobliżu ludzi. Powiadomiony przez kogoś zastępca szeryfa przybiegł na miejsce zdarzenia w momencie, w którym chłopak stał nad zakrwawionym nauczycielem. Na dźwięk kroków McKinney

odwrócił się i ugodził szeryfa nożem w rękę. Mimo zranienia mężczyzna zdołał go ująć.

Jak to często bywało na Dzikim Zachodzie, McKinney jakimś sposobem został uznany za niewinnego ataków na nauczyciela i szeryfa. Opinia publiczna w Farmersville zwróciła się jednak przeciwko niemu, więc postanowił wyjechać.

Przez następne dwie dekady krążył po Zachodzie, pozostając po ciemnej stronie prawa. Podobno ścigano go za kilka zabójstw w Arizonie, a z pewnością przez jakiś czas był banitą w Wyoming i być może należał do Dzikiej Bandy. Zawsze jednak wracał do Kalifornii. W Visalii w dolinie San Joaquin, gdzie mieszkali także sławni z napadów na pociągi Chris Evans i John Sontag (zob. „Strzelanina w Kamiennym Korralu”), McKinney pewnego razu rozwścieczył miejscowych, tracąc panowanie nad sobą i strzelając pewnej kobiecie w pośladki, bo nie podobał mu się sposób, w jaki z nim tańczyła. Był pijany - jak często, gdy popełniał swe liczne występki - a po wytrzeźwieniu zapłacił za jej leczenie. Według niektórych doniesień zostali nawet kochankami... ale to już raczej po zagojeniu się rany.

Kolejny wybryk McKinneya wydarzył się w Bakersfield w roku 1899. Tu także chodziło o kobietę, lecz tym razem nie ku niej kierował się gniew mężczyzny. Była kochanką McKinneya i poskarżyła mu się, że „Długi” Tom Sears, hazardzista uważający się za jego kumpla, źle ją traktuje. Ten wkrótce się przekonał, że przyjaźń McKinneya bywa ulotna. Rewolwerowiec dopadł go w zaułku za jednym ze sklepów wielobranżowych i próbował wyzwać na pojedynek. Znając jego reputację, Sears nie zamierzał się zgadzać. Wyjął broń, lecz jedynie po to, by rzucić ją rywalowi do stóp, przeprosić za swoje zachowanie i błagać o litość. (Nie wiadomo, czym dokładnie naraził się kobiecie, ale historia McKinneya dobitnie pokazuje, że niewiele było trzeba, by go rozżłościć).

McKinney ani myślał wysłuchiwać tych błagań. Wyjął broń. Przerażony i sfrustrowany Sears wykrzyczał, że skoro nie mogą pozostać przyjaciółmi, równie dobrze McKinney może go zastrzelić.

Nie musiał powtarzać dwa razy.

Strzał, który zabił Searsa, usłyszał zastępca szeryfa John Crawford, siedzący akurat w wychodku nieopodal. Wyskoczył zeń i wbiegł w zaułek, podciągając po drodze spodnie. McKinney odwrócił się i dwukrotnie do niego strzelił. Oba pociski musnęły półgoły wciąż tylek szeryfa (możemy jedynie

spekulować, dlaczego Jim tak często celował w tę część ciała) i zmusiły go do ucieczki.

Rewolwerowiec stanął przed sądem za zabicie „Długiego” Toma Searsa, lecz został oczyszczony z zarzutów. Zdarzenie pograżyło go jednak jeszcze bardziej. Na przełomie wieków był już doskonale znany w dolinie San Joaquin i innych zakątkach Kalifornii jako człowiek niebezpieczny i impulsywny. Jego wątpliwa sława na razie nie rozciągała się poza granice stanu. W lipcu 1902 roku pił (jak zwykle) na umór w saloonie Zalauda w Porterville i po raz kolejny zawiądnęła nim przemożna potrzeba rozpętania piekła. Wyjął rewolwer, wydał dziki wrzask i zaczął strzelać do obracających się powoli skrzydełek wiatraka na suficie. Z pewnością wielu obecnych w barze znało jego reputację i pospiesznie szukało kryjówki. Po roztrzaskaniu wiatraka na kawałki McKinney zaczął się wyżywać na lampach oraz stojących w bufecie butelkach whisky. W powietrzu fruwało rozbite szkło.

Zaalarmowany hałasem marshall miejski wpadł do saloonu z pałką w dłoni. Zamachnął się i uderzył nią McKinneya w głowę. Cios był jednak za słaby, by go ogłuszyć. Rewolwer znów wystrzelił i pocisk trafił stróża porządku w twarz, wchodząc w ciało nieco poniżej ust i wychodząc drugą stroną, co musiało być bardzo bolesne, ale nie zagrażało życiu.

Gdy marshall upadł, prawdopodobnie obficie brocząc krwią z poranionej twarzy, McKinney wymaszerował z saloonu. Nie ma informacji o tym, by ktoś próbował go powstrzymać.

Bynajmniej jednak nie był to koniec awantury. Być może w obawie o to, że będą go ścigać inni Stróże prawa albo że obywatele miasta postanowią sami wymierzyć sprawiedliwość, McKinney uzbroił się w strzelbę i ruszył z powrotem do saloonu. W pewnej chwili z cienia wyszedł w jego stronę jakiś człowiek. Sądząc, że chce go zaatakować, McKinney uniósł strzelbę i strzelił z obu luf.

Mężczyznę odrzuciło do tyłu. Kule niemal przecięły go na pół. McKinney przeładował broń i podszedł do ofiary, by odkryć, że zabił nie wroga, lecz jednego ze swych nielicznych przyjaciół, który w annałach figuruje jako Will Linn lub Billy Lynn.

Szalona noc w Porterville wciąż nie dobiegła końca. Zamiast wtargnąć ze strzelbą do saloonu, McKinney postanowił wyjechać z miasta, lecz po drodze postrzelił dwóch kolejnych ludzi. Jednym z nich był miejscowy dziennikarz, który wcześniej drukował ulotki nakłaniające obywateli do wygnania bandyty



jako *persona non grata*. McKinney właśnie dowiódł jego racji, a przy okazji spełnił swoje życzenie, bo nigdy więcej jego noga nie powstała w Porterville.

Wrócił w okolice Bakersfield. Wiedząc, że nie jest mile widziany w mieście po zamordowaniu „Długiego” Toma Searsa, zaszył się u kolegi, Ala Hulse’a, wynajmującego pokój w melinie znanej jako Pagoda lub Dom Chmielu, do której mieszkający w Bakersfield Chińczycy przychodzili uprawiać hazard i palić opium.

Kiedy w mieście rozeszła się wieść, że ten przeklęty bandzior Jim McKinney wrócił, miejscowi Stróże prawa postanowili go znaleźć i aresztować - wciąż bowiem był poszukiwany za zabójstwo w Porterville. Dostali cynk, że przestępca ukrywa się w melinie na L Street, i rankiem 19 kwietnia 1903 roku w sile dziewięciu funkcjonariuszy podeszli pod dom. Marshal miejski Jeff Packard i zastępca szeryfa Bill Tibbet ruszyli, by przeszukać budynek, a pozostali otoczyli go kordonem, na wypadek gdyby McKinney próbował uciec.

Minęło kilka nerwowych minut, po czym z wnętrza domu dobiegły nagle strzały. Packard i Tibbet wdarli się do pokoju McKinneya i Hulse’a, lecz gdy tylko wyważyli drzwi, tamci powitali ich ogniem z karabinów. Packard został trafiony, gdy próbował wbiec do pokoju. Odrzuciło go do tyłu. Tibbet zdołał się dostać do środka, lecz Hulse strzelił do niego z boku. Obaj rewolwerowcy przeskoczyli nad leżącymi i rzucili się w kierunku tylnego wejścia do budynku.

Czekający tam Bert Tibbet, brat Billa i kolejny zastępca szeryfa, na dźwięk strzałów podbiegł do drzwi. Gdy wraz z jednym z towarzyszy znalazł się niemal przy nich, te otwarły się gwałtownie i wyskoczył z nich McKinney z karabinem. Zdążył oddać jeden lub dwa strzały, nim wypaliła strzelba Berta. Trafiony w głowę i szyję, śmiertelnie ranny McKinney zatoczył się do tyłu, a towarzysz Berta na wszelki wypadek wykończył go strzałem oddanym przez okno.

Funkcjonariusze wpadli do budynku i aresztowali Ala Hulse’a. Jeff Packard i Bill Tibbet wciąż żyli, choć byli ciężko ranni. Zaniesiono ich do hotelu Southern na tej samej ulicy, a tam zajęli się nimi lekarze. Niestety Tibbet wkrótce zmarł. Packard żył jeszcze ponad dwanaście godzin, lecz ostatecznie i jego rany okazały się śmiertelne.

Jim McKinney w końcu się doigrał. Ciągłe pakował się w kłopoty i wreszcie dostał za swoje, choć nim zginął, zdążył śmiertelnie ranić dwóch

kolejnych ludzi, stając się jednym z najzacieklej ściganych zbrodniarzy w całej Kalifornii na początku XX wieku.



## STRZELANINA W KAMIENNYM KORRALU

**U**schyłku pięknej letniej niedzieli 11 czerwca 1893 roku dwaj mężczyźni zeszli ze wzgórza w kalifornijskim lesie sekwojowym, na obszarze znanym tu jako Wielkie Drzewa, który niedawno stał się parkiem narodowym - zaledwie drugim w kraju. Był to skalisty teren, gdzie łatwo mógł znaleźć kryjówkę ktoś, kto nie chciał zostać znaleziony – tak jak ci dwaj, którzy kierowali się w stronę opuszczonej chatki wybudowanej przed wielu laty przez osadnika o nazwisku Billy Bacon. Obok chatki stała niegdyś stodoła, którą zburzono, a resztki stogu siana leżały pod gołym niebem. Miejsce nazywano Kamiennym Korralem, swego czasu bowiem koniec jednego z pobliskich kanionów odgradzono kamiennym murem, tworząc zagrodę dla zwierząt.

Niedaleko znajdowała się droga prowadząca do dobrze prosperującego miasteczka Visalia w dolinie San Joaquin na zachód od Wielkich Drzew.

Obaj mężczyźni byli brodaci i uzbrojeni po zęby. Obaj kuleli, nie zdążyli bowiem wyleczyć odniesionych niedawno ran. Choć jeden był po czterdziestce, a drugi o dziesięć lat młodszy, wyglądali dużo starzej po kilku miesiącach spędzonych na tych gęsto zalesionych wzgórzach. Zachowywali się niespokojnie, niczym dzikie zwierzęta ostrożnie zbliżające się do cywilizacji. Gdy doszli do starego stogu, starszy westchnął i usiadł, podpierając się karabinem. Wyczerpanie i wysiłek długotrwałego ukrywania się na wzgórzach wyłobiły w jego twarzy głębokie bruzdy. Jego towarzysz

stał obok, kręcąc się niespokojnie i wyraźnie pragnąc jak najszybciej znaleźć się w opuszczonej chatce.

Nagle ciszę zapadającego zmierzchu przeszył strzał z karabinu. Głęboko ugodzony w plecy ciężkim pociskiem starszy mężczyzna krzyknął z bólu. Gdy próbował się obrócić, by wystrzelić w stronę chatki, usłyszał kolejny wystrzał, tym razem ze strzelby. Uderzony w głowę kilkoma kulkami grubego śrutu, osunął się na plecy. Jedna z kulek trafiła go w prawe oko i oślepiła. Nie stracił jednak przytomności i mimo silnego krwawienia zaczął strzelać w stronę zrujnowanej chaty, która najwyraźniej nie była aż tak opuszczona, jak się wydawało. Drugi mężczyzna także padł na ziemię i wychylając się z za stogu, strzelał do niewidocznego przeciwnika.

Spokojna górską łąka w mgnieniu oka przeistoczyła się w pole bitwy. Zapadający mrok co rusz przeszywały błyski strzałów, a wysokie drzewa odbijały ich echo. Wszystko, co wydarzyło się od momentu pierwszego wystrzału, miało przejść do historii jako strzelanina w Kamiennym Korralu.



Chris Evans urodził się w Kanadzie w dużej rodzinie farmerskiej i, podobnie jak wielu innych młodych ludzi, w wieku szesnastu lat wyruszył w świat, by szukać szczęścia. Zaczął od przekroczenia granicy ze Stanami Zjednoczonymi i wstąpienia do wojska. Przełożonym nie przeszkadzał fakt, że nie jest obywatelem amerykańskim. Trwała wojna secesyjna i armie po obu stronach barykady potrzebowały jak najwięcej rekrutów.

Evans nie uczestniczył jednak w wojnie między stanami. Jego oddział wysłano na zachód, by strzegł Wielkich Równin przed atakami Indian. Po zakończeniu konfliktu misja oddziału nadal trwała. Evans stał się znany na Terytorium Dakoty jako zwiadowca. Po zabiciu wojownika Siuksów, który pewnej nocy zakradł się do obozu kawalerii, żołnierz postanowił zrobić wrażenie na swojej kanadyjskiej przyjaciółce, więc oskalpował Indianina i posłał jej pocztą jego skalp. Potworny odór dochodzący z paczki sprawił, że otwarto ją, nim dotarła do celu. Odkrycie, że nadawcą jest Chris Evans, przekreśliło wszelkie jego szanse na awans. Ale kariera w wojsku i tak nie była mu pisana. Pewnego dnia po prostu oddalił się z kolegą i nigdy nie wrócił do Siódmego Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych, w którym pod

dowództwem pułkownika George'a Armstronga Custer'a spędził kilka lat.

Po dezercji Chris Evans zawędrował do Kalifornii i zatrudnił się u rodziny o nazwisku Byrd w miejscu znanym jako Ranczo Grzechotników, położonym w dolinie San Joaquin. Byrdowie mieli ładną córkę o imieniu Molly, i tak się złożyło, że po pewnym czasie Evans się z nią ożenił. Wyglądało na to, że po długim okresie przygód dojrzał do tego, by się usatkwować i osiąść w żyznej zielonej dolinie San Joaquin. Pracował jako woźnica i kapitan promu, a z zaoszczędzonych pieniędzy kupił działkę gęsto zalesioną sekwojami, którą nazwał Ranczem Sekwojowym. W następnych latach urodziło mu się kilkoro dzieci, w tym córeczka Eva, która stała się jego oczkiem w głowie.

Mniej więcej w tym okresie wydarzyły się dwie rzeczy, które miały wywrzeć duży wpływ na jego życie. Pierwszą było wydłużenie linii kolejowej Southern Pacific do doliny San Joaquin. Mimo wszystkich zalet kolei nie każdy był zadowolony z jej budowy. Wiele osób siłą wysiedlono, a ich żal doprowadził do otwartej wrogości i agresji między osadnikami a przedsiębiorstwem kolejowym. Konflikt rozprzestrzenił się na całą dolinę, i choć Evans osobiście nie miał problemów z kolejami, wspierał osadników i uważał, że Southern Pacific niesprawiedliwie traktuje prostych ludzi.

Drugim wydarzeniem było spotkanie z młodszym mężczyzną o nazwisku John Sontag w roku 1887. Ów człowiek pracował dla Southern Pacific jako hamulcowy, póki pewnego dnia na boczniczy maszynista przez pomyłkę nie zderzył ze sobą dwóch wagonów, między którymi znajdował się próbujący je rozłączyć Sontag. Jeden z wagonów wyładowany był stalowymi prętami. Pod wpływem uderzenia pręt wbił się w ciało mężczyzny, przebijając mu płuco i omal nie zabijając. Ostatecznie Sontag przeżył, lecz długo i z wysiłkiem dochodził do siebie, a wypadek pozostawił ślad w postaci znacznej wklęsłości na jego plecach w miejscu, w którym przebił je pręt. Jego sytuację dodatkowo pogorszyło to, że kolej odmówiła wzięcia odpowiedzialności za to niefortunne wydarzenie. Sontag został niemal bez grosza przy duszy, bez pracy i w tak kiepskim zdrowiu, że miał marne szanse na znalezienie nowej. Kiedy Evans go poznał, natychmiast zrobiło mu się żal biedaka i szczerze go polubił. Zaprosił go do siebie, by zamieszkał z nim i jego rodziną na Ranczu Sekwojowym. Sam Evans pracował wtedy dla Banku Kalifornii jako kierownik jednego z magazynów zboża i często musiał spędzać czas poza ranczem. Potrzebował kogoś zaufanego do doglądania spraw, w tym opieki

nad jego rodziną, a John wydawał się odpowiednią osobą.

Sontag dobrze się dogadywał z rodziną Evansów, a zwłaszcza z Evą. Początkowo łączyło ich jedynie platoniczne uczucie. John nie chciał nadużywać zaufania Evansa. Mijały jednak lata i zażyłość między młodymi rosła. Eva wciąż była nastolatką, ale w rodzinie osiągnięto consensus: kiedy dziewczyna skończy siedemnaście lat - w tamtych czasach powszechnie uważano ten wiek za odpowiedni dla ożenku - ona i John się pobiorą. Świeże powietrze, dobre jedzenie i stopniowo coraz trudniejsza praca wzmocniły Sontaga, naprawiając większość szkód spowodowanych okropnym wypadkiem na boczniczy.

Dla Evansa, jego rodziny i ich lokatora, który także traktowany był już jak jeden z jej członków, był to czas spokojnego życia. Często urządzali sobie biwaki w pobliskim lesie sekwojowym. Chris Evans uwielbiał czytać, zwłaszcza klasykę. Często można go było zastać leżącego pod drzewem z oprawnym w skórę tomem w ręku.

Cieniem na tym spokojnym życiu położył się fakt, że ktoś zaczął napadać na przejeżdżające przez dolinę San Joaquin pociągi Southern Pacific. Konkretnie dwóch „ktosiów”. Jeden wysoki, drugi niski. Z ruchów jednego można było wnioskować, że jest starszy od swego kompana. Bandyty zawsze byli zamaskowani, ale przebojowe akcje wzbudzały wiele spekulacji co do ich tożsamości. Niektórzy sądzili, że to dwaj spośród słynnych braci Daltonów, którzy istotnie bawili wtedy w Kalifornii u swego brata Billa, przy okazji dokonując paru przestępstw.

Tymczasem Chris Evans i John Sontag z pieniędzy pochodzących z niewiadomego źródła kupili do spółki stajnię w Visalii, którą wynajmowali właścicielom koni. Biznes od początku świetnie prosperował, a z czasem ci, co go prowadzili, postarali się, by było jeszcze lepiej.

Potem, w styczniu roku 1891, pech prześladowający obu mężczyzn, a zwłaszcza Sontaga, znów ich dosięgnął. Stajnia zajęła się ogniem i doszczętnie spłonęła, pozostawiając właścicieli bez grosza. Evans miał też niezbyt rentowną kopalnię w górach. Chodził tam pracować, usiłując zarobić na życie wydobywaną rudą, gdy nie opiekował się Sontagiem, który zachorował na zapalenie płuc, znacznie dlań groźniejsze niż dla innych, bo przecież już wcześniej oddychał tylko jednym zdrowym płucem.

Obaj mężczyźni wraz z resztą rodziny zdołali jakoś dotrzeć do lata 1892 roku. Przy życiu utrzymywała ich kopalnia... i od czasu do czasu jakaś akcja.

Bo oczywiście to Evans i Sontag od samego początku stali za napadami na pociągi Southern Pacific. Osoby, z którymi Evans był spowinowacony, straciły ziemię w wyniku działalności przedsiębiorstwa kolejowego, a Sontag też miał z nim niewyrównane rachunki. Obaj rozumowali w taki sposób: dlaczego kolej miałaby nie wesprzeć ludzi, którym zniszczyła życie swoją bezwzględnością?

Niestety brat Johna Sontaga, George, mieszkał w okolicy i wiedział o wszystkim. Może nawet brał udział w niektórych napadach. Lubił jednak wypić, a kiedy wlał w siebie zbyt wiele trunku, stawał się gadatliwy. Jego przechwałki dotarły do władz i rzuciły podejrzenie na Chrisa Evansa i Johna Sontaga. Will Smith, detektyw kolejowy pracujący dla Southern Pacific, i George Witty, zastępca szeryfa na tę okolicę, pojechali do domu w Visalii, by ich przesłuchać. Zastali jedynie Evę i zaczęli zadawać jej pytania. Powiedziała, że nie wie, gdzie jest Sontag. (W rzeczywistości ukrył się o metr czy dwa od nich, za drzwiami sąsiedniego pokoju). W tym momencie przez tylne drzwi domu wszedł po cichu Chris Evans z rewolwerem w dłoni. Wściekły, że Eva nie chce zdradzić miejsca pobytu mężczyzn, Smith zaczął na nią krzyczeć, a szeryfowi Wittyemu uderzyła adrenalina - wyrwał broń z kabury i strzelił w powietrze. Kula przeleciała obok głowy przerażonej dziewczyny i wypadła przez otwarte drzwi. Evans wyjął rewolwer, a John Sontag wypadł z kryjówki ze strzelbami w obu dłoniach. Na widok dwóch wściekłych i uzbrojonych przeciwników Stróż prawa odwrócili się i uciekli co sił w nogach w stronę lasu. Nie przeszkodziło to Sontagowi w wystrzeleniu serii śrutu na ptaki prosto w pośladki detektywa Smitha. Evans strzelił do szeryfa Wittyego, przeszywając mu ramię na wylot. Mimo odniesionych ran mężczyźni uciekli, zostawiając powóz, którym przyjechali.

Evans i Sontag skorzystali z tego udogodnienia. Wsiedli do środka, Sontag smagnął konie batem i obaj mężczyźni umknęli. Doskonale znali okoliczny las i góry, więc żaden pościg raczej nie znalazłby ich tam bez wielkiego wysiłku i ryzyka. Wiedzieli, że choć dowody na ich uczestnictwo w napadach są słabe i mogliby się wyłgać, sytuację dramatycznie zmieniła strzelanina wywołana przez zastępcę szeryfa. Teraz cała dolina San Joaquin o tym huczała. Nikt już nie wątpił, że za serię kolejowych przestępstw odpowiadają Evans i Sontag. Na domiar złego tej samej nocy mężczyźni próbowali się wśliznąć z powrotem do domu Evansa i natknęli się na grupę stróżów prawa, która go pilnowała. Doszło do kolejnej wymiany ognia i tym razem jeden z zastępców

szeryfa zginął.

Teraz Evans i Sontag naprawdę musieli uciekać. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko ukryć się głęboko w górach.



Opląciły się liczne wycieczki do sekwojowego lasu. Evans i Sontag znali ten górzysty teren lepiej niż ktokolwiek spośród ścigających ich ludzi.

A było ich wielu. Jesienią roku 1892 i wiosną 1893 zjechała się tam dosłownie armia stróżów prawa. Był to największy pościg w dziejach Kalifornii i jeden z największych w dziejach całego kraju. Oprócz szeryfów i marshalów dołączali do niego detektywi kolejowi i wielu innych ludzi, którzy mieli chrapkę na nagrodę wyznaczoną za głowy zbiegów. Jakimś sposobem Evansowi i Sontagowi udawało się jednak uniknąć schwytania. Co więcej, dopiero po fakcie odkryto, że przed świętami Bożego Narodzenia przekradli się z powrotem do Visalii i spędzili dwa tygodnie z rodziną Evansa, by następnie znów uciec w góry!

Polowanie tymczasem przybrało monstrualne rozmiary i rozpisywały się o nim gazety w całym kraju. Dwóm banitom poświęcono melodramatyczną sztukę wystawianą w najważniejszych teatrach całych Stanów. Do Kalifornii przysłano marszala federalnego Verno na C. Wilsona, by koordynował poszukiwania. Do pomocy w wytropieniu przestępców marszał zabrał dwóch Apaczów pracujących dla wojska jako zwiadowcy.

Evans nie tylko uciekał przed armią stróżów prawa, ale jeszcze regularnie zaglądał do swojej kopalni, w nadziei, że kiedy sprawa przycichnie, będzie mógł nadal wydobywać rudę. Niedaleko stała chatka należąca do jego znajomego, Jima Younga, do której czasem wpadali w odwiedziny. Pewnego ranka, gdy siedzieli tam z innym znajomym, Samem Williamsem, niespodziewanie pojawił się jeden z sąsiadów, Anglik o nazwisku Edward Mainwaring. Gospodarza nie było - pojechał do miasta uzupełnić zapasy.

Williams wyszedł za chatkę, a wyglądający przez okno Evans zobaczył zbliżających się ludzi. Rozpoznał członków grupy poszukiwawczej, w której byli marszał Wilson i detektyw kolejowy Will Smith, a także kilku miejscowych zastępców szeryfa i dwaj indiańscy zwiadowcy. Musiało dojść do walki, bo Evans i Sontag nie mogli opuścić domku niezauważeni.



Nie chcąc, by Mainwaring znalazł się pod ostrzałem, Evans szybko kazał mu wziąć wiadra i pójść w stronę pobliskiego źródła. Szeryfowie pomyślał, że idzie po wodę. Może nawet uspi to ich czujność i uznają, że poszukiwanych wcale tu nie ma. Mainwaring się zgodził. Wszedł z wiadrami w obu dłoniach i pomaszerował do źródła, starając się jak najlepiej ukryć zdenerwowanie.

Mniej więcej w tym momencie przez tylne drzwi do pomieszczenia wrócił Sam Williams. Evans kazał mu wyjść, lecz on ani myślał: wiedział, co się szykuje, i chciał to zobaczyć. Evans wypchnął go z powrotem za chatkę, w której zostali tylko dwaj banici. Na kuchence gotowało się śniadanie i nadciągający Stróże prawa musieli poczuć jego zapach.

Evans przykucnął ze strzelbą przy oknie i czekał, aż się zbliżą. Sontag stał przy drzwiach z karabinem w dłoni. Gdy nadeszła właściwa chwila, Evans roztrzaskał szybę i wypalił z obu luf. Gruby śrut trafił marshala Wilsona prosto w brzuch, niemal go przepoławiając. Tymczasem Sontag kopniakiem otworzył drzwi i zaczął strzelać do innego członka grupy, dawnego przyjaciela Evansa, niejakiego Andy ego McGinnisa.

Zamiast odpowiedzieć ogniem, większość członków ekipy pościgowej uciekła. Apacze i jeden z szeryfów schronili się za skałami i balami drewna, strzelając na oślep do chatki, lecz nie trafiając nawet w poblizze celu.

Evans rozpoznał w trafionym przez Sontaga McGinnisie starego znajomego i postanowił podejść do rannego, by sprawdzić jego stan. Nie czuł jednak sympatii do człowieka, którego postrzegał jako zdrajcę. Sontag ruszył śladem Evansa, osłaniając go. Jedyne z szeryfów, który nie uciekł, gdy zaczęła się strzelanina, wypalił i trafił go w ramię. Evans dotarł do McGinnisa, a ten zaczął go błagać o życie. Widząc, że Sontag jest ranny, Evans strzelił w kierunku szeryfa ukrytego za stertą drewna. Pocisk wystrzelony w odpowiedzi drasnął go w głowę, omal nie pozbawiając przytomności. Ogłuszony Evans kątem oka zauważył, że McGinnis szykuje broń do strzału. Uprzedził go jednak, strzelając pierwszy. Dawny przyjaciel upadł bez życia.

Obaj zbiegowie byli ranni. Pomagając sobie nawzajem, uciekli w las za chatką Younga. Apacze i j edyny pozostały na miej scu szeryf nie ruszyli za nimi. Prawdopodobnie cieszyli się, że w ogóle pozostali przy życiu.

Evans i Sontag mieli wielu przyjaciół wśród okolicznych osadników. Ukryli się u któregoś z nich, by wyleczyć rany, a poszukiwania trwały przez całą zimę.

Indiańscy zwiadowcy po starciu z bandytami uznali, że lepiej będzie

wrócić do rezerwatu San Carlos w Arizonie. Wciąż jednak Evansa i Sontaga szukało wielu ludzi. Co ciekawe, oni sami też prowadzili własne śledztwo. Postanowili mianowicie wyrównać rachunki z detektywem kolejowym Willem Smithem, którego uznawali za główne źródło swoich problemów. Dowiedziawszy się od przyjaciela, że Will ma podróżować konkretnym dyliżansem, zaczęli się na pojazd i zatrzymali go. Okazało się, że detektyw w ostatniej chwili zmienił zdanie i nie pojechał. Mimo to obrabowali pasażerów, dodając kolejny napad do i tak już długiej listy swoich przestępstw.

W końcu, w czerwcu 1893 roku, grupa poszukiwawcza pod wodzą innego marszala federalnego, George'a Garda, dotarła do Kamiennego Korralu i urządziła sobie punkt wypadowy w starej chatce Bacona. Podczas pobytów tam starali się zachowywać cicho, aby chatka nadal wyglądała na opuszczoną. Gdy Evans i Sontag zbliżyli się do niej 11 czerwca, też tak sądzili. Evans zaproponował oddanie kilku strzałów w stronę budynku dla pewności, ale Sontag odwiódł go od tego pomysłu. Powiedział, że to niepotrzebne, a poza tym nie chciałby mieć na sumieniu jakichś niewinnych młodych ludzi, którzy - jak to się czasem zdarzało - urządzili sobie w domku schadzkę. Jego towarzysz się zgodził. Ruszyli w dół zbocza. Kiedy znaleźli się przy starym stogu siana niedaleko chatki, Evans usiadł, by odsapnąć.

Przebywający w domku Stróże prawa zauważyli i rozpoznali banitów. Marshal Gard kazał swoim ludziom wstrzymać ogień, póki Evans i Sontag nie podejść bliżej, lecz niejaki Fred Jackson nie wytrzymał i strzelił zbyt wcześnie, raniąc Evansa i rozpoczynając tym samym walkę.

Stary stóg zasłaniał banitów przed oczami ścigających, ale oczywiście nie był w stanie zatrzymać kul, które ci w niego pakowali. Banici walczyli zaciekle. Jackson, którego przedwczesny wystrzał rozpoczął palbę, próbował wyjść na zewnątrz i okrążyć stóg. Evans strzelił mu w nogę z biodra, roztrzaskując rzepkę precyzyjnie wymierzonym pociskiem. Z kolei inny członek grupy pościgowej, półkrwi Indianin, zdołał się zakraść za plecy uciekinierów i przestrzelił Sontagowi jedyne zdrowe płuco, eliminując go z gry

Zapadł mrok, lecz strzały padały nadal - głównie z chatki. Od czasu do czasu Evans odpowiadał ogniem, a przeciwnicy schylali głowy.

Sontag żył, lecz jego stan nie pozwalał na udział w walce. Nim nadszedł świt, Evans został ranny w prawą rękę i nie mógł już używać karabinu. Sontag odzyskał przytomność i błagał przyjaciela, by skrócił jego męki przy użyciu

rewolweru. Evans odmówił. Nie potrafił spełnić tego żądania. Sontag poprosił więc, by przyjaciel zostawił go i ratował siebie. Evans niechętnie usłuchał i odczołgał się w mrok.

O świcie, widząc, że zbiegowie nie dają znaku życia, Stróże prawa z gotową do strzału bronią podbiegli do stogu. Znaleźli nieprzytomnego Sontaga i ani śladu Evansa, który mimo ciężkich ran zdołał przemierzyć aż dziewięć kilometrów do pobliskiego kanionu Wilcoksa. Dotarł do chaty osadników o nazwisku Perkins i błagał o pomoc, po czym stracił przytomność z wyczerpania i upływu krwi. Perkinsowie obandażowali go, jak potrafili. W obawie przed tym, co może się stać, jeśli nie powiadomią władz o niepożądanym gościu, pan domu wysłał jeźdźca po pomoc. Kiedy rozeszła się wieść, że na farmie znajduje się słynny banita Chris Evans, dom Perkinsów otoczyło kilku funkcjonariuszy. Przez chwilę się zdawało, że znów wybuchnie walka, tym razem o to, komu przypadnie zaszczyt aresztowania słynnego przestępcy. W końcu się dogadali, zanieśli Evansa do powozu, przywieźli do Visalii i osadzili w więzieniu, po czym posłali po lekarza. W sąsiedniej celi leżał John Sontag, wciąż uparcie trwający przy życiu.

Nie doczekał jednak procesu. Zmarł w więzieniu kilka tygodni później, 3 lipca 1893 roku.

Evansowi amputowano prawą rękę, a śrut, który utkwiał w głowie, do końca życia wywoływał wielki ból. Mężczyzna stanął przed sądem i został skazany za swoje przestępstwa na karę dożywocia.



---

Postrzelony John Sontag leży na sianie, a nad nim stoją Stróże prawa Ze zbiorów *National Archives and Records Administration*

---

Nie był to jednak koniec problemów, jakie sprawiał władzom. Osadzony w więzieniu we Fresno przed planowanym przeniesieniem do więzienia stanowego zdołał uciec w grudniu 1893 roku i przez kilka miesięcy pozostawał na wolności. Schwymano go, gdy próbował potajemnie odwiedzić żonę i dzieci. Choć wydaje się to sprzeczne, Chris Evans, bandyta, który napadał na pociągi i zabijał stróżów prawa, zawsze był również oddanym mężem i ojcem.

W roku 1911, z powodu złego stanu zdrowia wynikającego z wieku i odniesionych ran, Chris Evans został ułaskawiony przez gubernatora Kalifornii. Zwolniony z więzienia, zamieszkał z żoną Molly i kilkorgiem spośród swoich dzieci w Oregonie. W tym czasie Eva zdobyła pewien rozgłos jako aktorka - grała nawet w melodramacie opartym na przygodach Evansa i Sontaga. Ostatnie lata życia Chrisa Evansa upłynęły w spokoju. Zmarł w roku 1917, w niczym nie przypominając brawurowego bandyty, który przed laty był bohaterem największego pościgu w historii Kalifornii.



## BANDA DOOLINA KONTRA MARSHALE FEDERALNI

**S**ześciu mężczyzn, którzy wjechali do miasteczka Ingalls na Terytorium Oklahomy rankiem 1 września 1893 roku, bynajmniej nie było tu obcymi. Grupę jeźdźców prowadził wysoki, przystojny Bill Doolin, niegdyś pracujący jako kowboj na należącym do Oscara Halsella pobliskim ranczu HX Bar, a ostatnio prowadzący żywot przestępcy.

Zadawał się ze słynną bandą Daltonów, ale nie wziął udziału w katastrofalnym napadzie w Coffeyville w Kansas, bo jego koń okulał w drodze. Po likwidacji bandy w następstwie tamtego napadu Doolin wrócił do Oklahomy i zaczął skupiać wokół siebie nową grupę złożoną z niedobitków bandy Daltonów oraz kilku miejscowych nowicjuszy.

Jokerem w jego talii był George „Bitter Creek” Newcomb, który swego czasu też jeździł z Daltonami i właśnie wtedy dorobił się swego przydomka. Ekstrawertyczny z natury, podczas świętowania udanego napadu miał zwyczaj intonować: „Jestem dzikim wilkiem z Bitter Creek i tej nocy będę wył!”. Potężny, dość przystojny, świetnie walczący zarówno rewolwerem, jak i pięściami „Bitter Creek” idealnie pasował do powszechnego wyobrażenia młodego, brawurowego bandyty.

Bill Dalton nie należał do bandy Daltonów. Wolał działać na własną rękę. Pojechał do Kalifornii i nawet rozpoczął karierę polityczną, lecz śmierć braci (wszystkich z wyjątkiem Emmetta, który ciężko ranny dał się aresztować w

Coffeyville) sprowadziła go z powrotem do Oklahomy. Przyjechawszy tam, zgorzkniały Bill zrezygnował z planów zostania szanowanym politykiem i wszedł na ścieżkę bezprawia, dołączając do Billa Doolina i „Bitter Creeka’Newcomba.

W tamten zgubny poranek towarzyszyli im Jack Blake, lepiej znany jako „Tulsa Jack”; Dan Clifton, znany jako „Dynamite Dick” z powodu zamiłowania do wysypywania prochu z pocisków i wypełniania ich niewielką ilością dynamitu; oraz Roy Daugherty, młodzieniec zapatrzony w Billa Doolina i używający pseudonimu „Arkansas Tom Jones”. Czasem do bandy dołączali też inni, ale ta szóstka stanowiła jej trzon. Niektórzy nazywali ich Oklahombres<sup>[7]</sup> na cześć Oklahomy, a inni mówili o nich „Dzika Banda”. Najczęściej jednak określano ich po prostu mianem bandy Doolina.

Główną kryjówką członków grupy była jaskinia nad rzeką Cimarron, jakieś trzydzieści kilometrów na południe. Bandyci byli znani i lubiani w Ingalls, gdzie przez ostatnich kilka miesięcy przyjeżdżali uzupełniać zapasy, pić w saloonach i odwiedzać starych znajomych. Miejscowość składała się z zaledwie dwudziestu kilku budynków rozproszonych wokół dużego placu. Jedyną dwukondygnacyjną budowlą był hotel Mary Pierce. Gdy banda wjechała do wsi, „Arkansas Tom” ruszył ku niemu. Był chory i chciał odpocząć w jednym z pokoiów na piętrze. Pozostała piątka udała się w stronę saloonu Ransoma i Murraya, gdzie zamierzała przyjemnie spędzić czas na pić i grze w karty.

Doolin i jego towarzysze nie mieli pojęcia, że tego ciepłego letniego poranka do Ingalls zmierza jeszcze jedna grupa. W odpowiedzi na bezprawie, jakie w wyniku ich działań panoszyło się na tym terenie, prezydent Grover Cleveland mianował Evetta Nixa marszałkiem federalnym do spraw Terytorium Oklahomy. Nix dokooptował sobie innych znanych stróżów prawa, wśród których najsłynniejsi byli Bill Tilghman, Heck Thomas, Chris Madsen i Bud Ledbetter. Oprócz nich w kręgu wybrańców znaleźli się marshale John Hixon Jim Masterson (brat Bata), Frank Canton, Charlie Colcord, Lafe Shadley, Tom Houston i Dick Speed. Dowiedziawszy się, że Doolin i jego kompani często bywają w Ingalls, Nix posłał tam dwa kryte wozy pełne marshalów. Operacją kierował John Hixon, a towarzyszył mu niemal tuzin ludzi, w tym Masterson, Canton, Colcord, Shadley, Houston i Speed. Po okolicy kręciło się mnóstwo innych wozów, więc mieli nadzieję, że zostaną wzięci za wędrownych farmerów i nie dadzą się zdemaskować jako

Stróże prawa. Podjechali w okolice Ingalls 31 sierpnia 1893 roku, a następnego dnia ruszyli do osady w nadziei na przyskrzynienie bandy Doolina.

Późnym rankiem 1 września, Arkansas Tom” odpoczywał na górnym piętrze hotelu Pierce, a reszta bandy piła w saloonie. Wozy z marsehalami przybyły do osady od wschodu i okrążyły ją, by podjechać od północy. Po dotarciu na skraj miasteczka zatrzymały się przed kuźnią Lighta. Uzbrojeni po zęby marshale zeskoczyli na ziemię i zaczęli się rozstawiać wzdłuż ulicy oraz wokół głównego placu, znajdując miejsca, z których w razie konieczności mogliby otworzyć ogień do bandytów.

Nagle jakiś młody człowiek zaczął biec przez piaszczystą drogę w kierunku saloonu. Do dziś nie wiadomo, kto to był i co tam robił. Możliwe, że nie miał nic wspólnego z bandą Doolina. Marshal Dick Speed uznał jednak, że młodzieniec zamierza ostrzec przestępców. Przyłożył karabin do ramienia i strzelił. Kula zakręciła chłopakiem, aż się przewrócił na ziemię, i rozpoczął się incydent, który miał przejść do historii jako bitwa o Ingalls.

Na dźwięk strzału „Bitter Creek” Newcomb wyszedł przed saloon, by sprawdzić, co się święci. Natychmiast zobaczył rozsianych po okolicy uzbrojonych stróżów prawa i uniósł winchestera. Jeden z marshalów strzelił pierwszy. Kula uderzyła w tył lufy karabinu „Bitter Creeka”, odbiła się i raniła go w udo, zwalając z nóg.

Rozpętało się piekło. Na widok Newcomba marshale doszli do wniosku, że reszta bandy jest wewnątrz saloonu, i otworzyli ogień. „Bitter Creek” wśród świszczących kul pozbierał się z ziemi i dobiegł do przywiązanego do barierki konia. Pociągnięciem uwolnił lejce, chwycił za łęk i zdołał się podźwignąć na siodło. Z nogą krwawiącą od rany po rykoszecie pognął na południowy zachód, zostawiając Ingalls za sobą.

Pozostali nie mieli tyle szczęścia. Kule przebijały cienkie ściany saloonu i rozbijały szyby. Doolin, Dalton, „Tulsajack” i „Dynamite Dick” przywarli do podłogi. Jeden z właścicieli lokalu, George Ransom, przykucnął za barem, ale i tak kula trafiła go w nogę. Bandyci podczołgali się w kierunku wejścia do saloonu, roztrzaskali resztki szkła w oknach lufami sześciostrzałowców i zaczęli odpowiadać ogniem. Strzelali głównie na oślep, nie chcąc ryzykować wychylania się. Byli zdecydowanie w gorszej sytuacji niż atakujący.

Gdy walka na chwilę ustała, jeden z mieszkańców Ingalls, Jerry Simonds, próbował przebiec przez ulicę, prawdopodobnie w poszukiwaniu lepszej

kryjówki. Popęłnił tragiczny w skutkach błąd. Z obu stron padły strzały i mężczyzna upadł na ziemię. Zdołał jedynie doczołgać się do pobliskiego sklepu spożywczego i tam skonał. Nie ma znaczenia, czy zabił go bandyta, czy stróż prawa. Marshale kontynuowali ostrzeliwanie saloonu. Mieli amunicję na cały dzień i wiedzieli, że bandyci im nie uciekną. Wszystko wskazywało na to, że tym razem prawo zwycięży.

Nie wiedzieli jednak, że na górnym piętrze hotelu przebywa „Arkansas Tom”. Znajdował się w najwyższym punkcie miasteczka i widział całą sytuację jak na dłoni. Może i był chory, ale oczy miał równie bystre jak zawsze. Na dźwięk kanonady chwycił winchestera, podkradł się do okna i zaczął strzelać do zaskoczonych marshalów. Początkowo pewnie żaden z nich nie miał pojęcia, skąd nadlatują kule. Jim Masterson stał oparty o drzewo w pobliżu kuźni, gdy nagle pociski zaczęły uderzać w pień, zrywając korę. Jim szybko uskoczył do rowu, w którym schronił się już marshal John Hixon. Obaj zlokalizowali „Arkansas Toma”, wysunęli z rowu lufy karabinów i zaczęli strzelać do okna hotelu. Bandyta musiał się wycofać, by po chwili zacząć strzelać z innego okna pokoju, będącego poza linią strzału dwóch marshalów.

Tymczasem Bill Doolin zrozumiał, że on i jego kompani nie zdołają się obronić w saloonie. Musieli dotrzeć do stajni i salwować się ucieczką. Mimo świadomości ryzyka pognali w tamtym kierunku zygzakami, kryjąc się, za czym tylko mogli, by wystrzelić parę pocisków w stronę stróżów prawa i biec dalej. Był to rozpaczliwy wyścig. Jeden z pocisków trafił Doolina w kark z takim impetem, że zwałił go z nóg. Bill przeturlał się, zdołał wstać i pobiegł dalej. Jakimś sposobem on i pozostali dopadli stajni i wpadli do wnętrza.

„Arkansas Tom” wciąż zasypywał marshalów kulami. Jeden z nich, Tom Houston, próbował przebiec ulicę, by znaleźć lepsze miejsce do odpowiedzi ogniem, ale kula z winchestera trafiła go w brzuch. Upadł. Kilku towarzyszy zaryzykowało i ruszyło mu na ratunek. Przeciągnęli go z ulicy w bezpieczne miejsce, lecz było za późno. Wkrótce potem mężczyzna skonał.

Dowodzący grupą pościgową Hixon popełnił błąd, nie kierując jej od razu do stajni. Gdyby ją zajęli, banda nie mogłaby skorzystać ze swoich koni i ruszyć się z Ingalls. Teraz sytuacja bandytów znacznie się poprawiła. Marshale ostrzeliwali solidne ściany stajni, lecz bandyci rewanżowali się tak zaciekle, że zmusili ich do wycofania się nieco dalej.



Niedaleko stajni mieściła się pompa miejska i ogólnodostępne koryto do pojenia zwierząt. Marshal Dick Speed postanowił tam dobiec, by skryty za korytem, skutecznie ostrzeliwać stajnię. Kiedy gnał w tamtą stronę, w drzwiach stajni stanął nagle krwawiący z szyi Bill Doolin i strzelił z colta. Pierwszy pocisk chybił, lecz drugi śmiertelnie ugodził Speeda. Nieszczęsny marshal padł na ziemię, twarzą w piach ulicy.

Doolin wrócił do stodoły, gdzie pozostała trójka siedziała już na koniach gotowa do ucieczki. Wskoczył na siodło i dołączył do kompanów. Uznając, że najlepiej będzie się rozproszyć, by dezorientować stróżów prawa, Doolin i „Dynamite Dick” wyjechali tylnymi drzwiami, a Dalton i „Tulsa Jack” przednimi.

Marshal Lafe Shadley czekał na ten moment przykucnięty w pobliżu przedniej ściany stajni. Na widok Daltona i „Tulsa Jacka” otworzył ogień. Jedna z kul trafiła konia Daltona w szczękę. Zwierzę się przewróciło, Dalton wypadł z siodła i przeturlał się, wstrząśnięty, ale cały, nie wypuszczając z dłoni rewolweru. Strzelił do Shadleya. Marshal padł na ziemię, choć nie wiadomo, czy trafił go Dalton, czy „Arkansas Tom”, czy obaj. Tak czy owak, rana Lafa Shadleya okazała się śmiertelna. Był trzecim stróżem prawa, który tego poranka stracił życie w Ingalls.

Dalton pieszo uciekł do wąwozu w pobliżu osady, skąd zabrał go inny członek bandy. Pogalopowali w dal, zostawiając za sobą oszołomionych mieszkańców miasteczka. Bill Doolin i „Bitter Creek” Newcomb także zostali ranni, ale lekko. Innych strat wśród banitów nie było.

Grupa pościgowa ucierpiała znacznie bardziej. Dick Speed nie żył, a Tom Houston i Lafe Shadley dogorywali. Zginęło też dwóch niewinnych świadków. Akcja, z którą władze wiązały takie nadzieje, skończyła się katastrofą. W miasteczku wciąż jednak przebywał jeden z bandytów - „Arkansas Tom Jones”. Po ucieczce Doolina i pozostałych marshale mogli skierować całą siłę swego ognia ku górnemu piętru hotelu, w którym się zasył. Osamotniony przestępca nie ośmielał się już pokazać twarzy w oknie. Mógł tylko przyłgnąć do podłogi i modlić się, by nie trafił go żaden z uderzających o budynek pocisków.

Rannymi stróżami prawa zajęli się miejscowi lekarze. Po pewnym czasie właścicielka hotelu, Mary Pierce, zaczęła błagać marshalów, by przestali niszczyć budynek. W odpowiedzi usłyszała, że jeśli „Arkansas Tom” się nie podda, podpalą hotel i spalą bandytę żywcem. Byli rozwścieczeni tym, co

zrobiono ich towarzyszom. Mary zawołała do bandyty, by się poddał, ale on ani myślał. Dopiero po dłuższym czasie, widząc, że nie ma szans, zdecydował się oddać w ręce prawa. Uparł się jednak, że musi przy tym być miejscowy pastor, aby marshall nie odważyli się go powiesić albo zastrzelić, na co z pewnością mieli wielką ochotę. Skończyło się na zatrzaśnięciu mu kajdanek na rękach i wrzuceniu go na tył jednego z wozów.

Wielka bitwa w Ingalls między bandą Doolina a grupą pościgową złożoną z marshallów federalnych dobiegła końca, choć nie minęło nawet południe.



Roy Daugherty alias „Arkansas Tom Jones” został skazany za zabójstwo na pięćdziesiąt lat więzienia. Ułaskawiono go po siedemnastu latach spędzonych za kratkami. Przez jakiś czas próbował prowadzić uczciwe życie. W końcu jednak obrabował bank w Missouri i zginął w Joplin w wymianie ognia z próbującymi go aresztować stróżami prawa.

Banda Doolina nadal dokonywała rabunków w Oklahomie, ale jej szeregi topniały. „Bitter Creek” Newcomb i Charlie Pierce wpadli w pułapkę zastawioną przez marshallów obok stodoły na farmie człowieka, którego uważali za przyjaciela, i zostali zastrzeleni. Później kolejno ginęli „Dynamite Dick”, „Tulsa Jack”, „Red Buck” i inni. Bill Doolin i Bill Dalton przez jakiś czas siedzieli cicho, mając nadzieję, że kruczata przeciwko nim się zakończy. Na próżno. Ktoś doniósł, że Dalton mieszka w pobliżu Ardmore. Kiedy grupa poszukiwawcza otoczyła dom, w którym się ukrywał, próbował uciec przez okno. Precyzyjny strzał jednego z marshallów zabił go na miejscu.

Bill Doolin wciąż był na wolności. Pod różnymi pseudonimami mieszkał to w Kansas, to w Arkansas z żoną Edith, którą potajemnie poślubił na kilka miesięcy przed bitwą w Ingalls. Spośród szukających go marshallów najbardziej nieustępliwy był Bill Tilghman. W styczniu 1896 roku, ponad dwa lata po strzelaninie w Ingalls, wytropił Doolina w Eureka Springs w Arkansas, gdzie ten szukał ulgi dla bolących stawów w słynnych źródłach leczniczych. Tilghman podszedł do niego. Po chwili napięcia, gdy wydawało się, że nie obędzie się bez walki, bandyta się poddał. W asyście uzbrojonych po zęby strażników Tilghman zawiózł go do Guthrie, ówczesnej stolicy Terytorium Oklahomy.

Jego wysiłki poszły na marne. Doolin uciekł z więzienia w Guthrie przed procesem, a przy okazji uwolnił innych więźniów, by odwrócić uwagę władz od siebie. Przy życiu pozostawał tylko jeden z członków jego bandy, niejaki Dick West, zwany „Małym”. Chodziły pogłoski, że Doolin i West na nowo połączyli siły i rabują banki w różnych regionach Oklahomy.

Marshal Heck Thomas dostał cynk, że Doolin zamierza odwiedzić żonę i dziecko w ich domu niedaleko Lawson. Skrzyknął swoich ludzi i ruszył tam. Był wieczór, i Doolin, który rzeczywiście odwiedzał rodzinę, szykował się do wyjazdu. Gdy wyszedł na drogę, trzymając w ręku karabin, Thomas zastąpił mu drogę ze strzelbą, wołając, by się poddał.

Doolin jednak wolał podjąć kolejną brawurową próbę ucieczki. Uniósł karabin do ramienia, strzelił do Thomasa... i chybił.

Ułamek sekundy później zagrzmiała strzelba marszala, pakując w ciało Doolina serię grubego śrutu. Mężczyzna runął na ziemię i zmarł na miejscu. Prawo w końcu zatriumfowało.

Bitwa w Ingalls przeszła do historii jako jedna z najsłynniejszych strzelanin między bandytami a stróżami prawa na Dzikim Zachodzie. Wiele szczegółów wyolbrzymiono i podkoloryzowano, w tym niemal z pewnością zmyśloną historię miłości między „Bitter Creekiem” Newcombem a miejscową dziewczyną o nazwisku Rose Dunn, przyrodnią córką jednego z miejscowych lekarzy. W bardzo nieścisłym, lecz popularnym poemacie napisanym wiele lat po bitwie dziewczyna została przedstawiona jako tragicznie romantyczna postać znana jako „Róża z Cimarron”, która przyniosła „Bitter Creeko- wi” jego karabin, obandażowała rany i pozostała z nim przez całą bitwę. Historycy są zgodni, że nic takiego się nie wydarzyło.

Nie znaczy to bynajmniej, że zgadzają się we wszystkich kwestiach. Wiele szczegółów bitwy - choćby lokalizacja poszczególnych uczestników, liczba oddanych strzałów oraz to, którzy z bandytów zastrzelili trzech marszałów - wciąż budzi wątpliwości. Ponadto niektóre wersje ukazują osadę jako miasto bezprawia, podczas gdy w rzeczywistości przez większość czasu była ona prawdopodobnie sennym miasteczkiem farmerów i ranczerów. Wielu członków bandy Doolina pracowało jako kowboje w okolicy i znało większość mieszkańców. Przyjeżdżali do Ingalls nie po to, by urządzać burdy, lecz w bardziej przyziemnych celach - na przykład żeby obciąć włosy u miejscowego fryzjera. Legendom to jednak nie przeszkadza. One nie przejmują się faktami.

Tym razem zresztą prawdziwa bitwa w Ingalls była wystarczająco krwawa i ekscytująca, nawet bez ubarwiania.

CZĘŚĆ CZWARTA



# NAPADY

---

*Będę w piekle, zanim wy siądziecie do śniadania!*

— „Czarny Jack” Ketchum



## NIEUDANY NAPAD NA BANK

**M**iastrzeczko Meeker leży w północno-zachodniej części stanu Kolorado, około 120 kilometrów od górzystego regionu Browns Park. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku Browns Park zasłynął jako kryjówka Dzikiej Bandy, sławnej grupy przestępczej dowodzonej przez Butcha Cassidy'ego<sup>[8]</sup>. Butch był uroczym, gadatliwym facetem - nic więc dziwnego, że po udanym napadzie rabunkowym na bank w Montpelier w stanie Idaho latem 1896 roku chwalił się sukcesem przed członkami bandy, którzy nie brali udziału w akcji.

Jako barwna i brawurowa postać Butch Cassidy przyciągał do siebie licznych wielbicieli. Kilku spośród takich nowych członków bandy po wysłuchaniu przy ognisku jego opowieści o napadzie w Montpelier postanowiło samodzielnie spróbować podobnej akcji. W końcu uczymy się od samego mistrza - myśleli pewnie. Nie było powodu, dla którego nie mieliby dokonać udanego napadu.

Omówiwszy sprawę we własnym gronie, trzech młodzi członkowie bandy - George Lawjim Shirley i młodzieniec o przezwisku „Kid” („Dzieciak”), być może w rzeczywistości noszący imię Pierce - ruszyli w stronę Meeker.

Zamierzali przeprowadzić akcję dokładnie tak, jak zrobiłby to Butch. Zdobyli kilka dodatkowych koni i ukryli je kilka kilometrów od miasta, by móc w czasie ucieczki wymienić zwierzęta na wypoczęte. Wjechali do Meeker rankiem we wtorek 13 października 1896 roku i kręcąc się wokół miejscowej stajni, w rzeczywistości zapoznawali się z układem miasta oraz

banku, który zamierzali obrabować. Jeśli nawet ktokolwiek miał podejrzenia wobec trzech obcych - historia o tym nie wspomina. Bardzo prawdopodobne, że typowa dla Zachodu gościnność kazała mieszkańcom przyjąć ich życzliwie.

Bandytów interesował Bank Meeker, należący do J.W. Hugus Company - przedsiębiorstwa prowadzącego w tamtym okresie kilka banków i placówek handlowych w Kolorado i Wyoming. Bank Meeker mieścił się w Hugus Building na Main Street, obok sklepu wielobranżowego tej samej firmy. Po południu George Law i „Kid”, włócząc się pozornie bez celu, weszli do sklepu (banku), a Jim Shirley zrobił to samo, tylko przez tylne drzwi. Potem George i „Kid” też się rozdzielili. George poszedł w lewo, gdzie mieściło się stanowisko bankowe, „Kid” w prawo, a Jim Shirley skierował się ku centralnej części pomieszczenia. Przy stanowisku Joe Rooney, pracownik hotelu Meeker, dokonywał właśnie wpłaty.

George Law spokojnie stanął w kolejce za Rooneyem, jakby był zwykłym klientem. Gdy Rooney skończył i odwrócił się do wyjścia. Law podszedł do lady, wyjął rewolwer z kabury, rozbił szybę dzielącą go od kasjera i kazał mu podnieść ręce. Dla lepszego efektu strzelił w kierunku urzędnika, tak że kula przeleciała mu obok głowy.

David Smith, asystent kasjera w Banku Meeker, najwyraźniej nie dość szybko wykonał rozkaz, bo Law strzelił ponownie, tym razem mierząc w punkt obok drugiego ucha pracownika. Jeśli plan przewidywał obrabowanie placówki bez wywołania alarmu w całym mieście, zanosilo się na spektakularną klęskę. Odgłosy dwóch strzałów dobiegające z banku z pewnością postawiły mieszkańców w stan gotowości.

Niektórzy twierdzą, że Law był tak zdenerwowany, iż wystrzelił mimowolnie. Nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę, ale efekt był taki, że całe miasto już biegło z odsieczą.

Jim Shirley i „Kid” sterroryzowali bronią kierownika banku, C.W. Moultona, i pozostałych pracowników. Nie spuszczając z oka Smitha i Rooneya, który wciąż stał w pobliżu z rękami w górze, Law próbował otworzyć drzwi biura, ale okazało się, że są zamknięte na klucz.

W końcu Shirley kazał Moultonowi je otworzyć. Kierownik wyjął klucz i przekręcił go w zamku. Law wcisnął się do pomieszczenia, otworzył kasę z pieniędzmi w biurku Moultona, wyjął z kieszeni zmięty worek po cukrze i wepchnął do niego gotówkę. Kiedy to robił, Shirley rozbroił zakładników i zniszczył mechanizmy wszystkich karabinów w sklepie sąsiadującym z

bankiem.

Wszystko to trwało zbyt długo. Mieszkańcy wiedzieli już, że w banku dzieje się coś złego. Tom Shervin, pracujący w hotelu Meeker z Joe Rooneyem, pobiegł drewnianym chodnikiem w stronę banku i zajrzał przez okno. Zobaczył ludzi z podniesionymi rękami i oczywiście domyślił się, co się święci. Przekazał wiadomość przechodzącemu ulicą mężczyźnie, niejakiemu C.J. Duffeyowi, a on zaniósł ją dalej. Nim Shirley, Law i „Kid” skończyli robotę, grupa uzbrojonych ludzi pod wodzą marszala miejskiego Bena Nicholasa otoczyła wejście do budynku, chowając się, gdzie tylko się dało, i kierując ku drzwiom lufy karabinów i strzelb.

Jim Shirley, najstarszy i najbardziej doświadczony z bandytów, prawdopodobnie się domyślał, że na zewnątrz czekają kłopoty. Uznał, że najlepszym wyjściem będzie wzięcie ze sobą zakładników, by służyli jako żywe tarcze. Chwycił Joe Rooney'a, wbił mu lufę w plecy i zmusił do wyjścia za próg. Na widok znajomej twarzy szeryf i jego ludzie wstrzymali ogień. Sytuacja była napięta, a dodatkowo pogorszył ją fakt, że Jim Shirley zauważył człowieka z karabinem przykucniętego za rogiem pobliskiego magazynu zboża. Strzelił do niego, trafiając w pierś i raniąc, lecz nie śmiertelnie.

Biorąc pod uwagę okoliczności, ten strzał mógł stać się punktem zapalnym, początkiem masakry. Prawdopodobnie zginęłoby kilku zakładników. Jakimś cudem jednak mieszkańcy miasta zdołali utrzymać nerwy na wodzy. Zakładnicy popychani przez bandytów ruszyli wzdłuż ulicy.

Kierowali się ku krytemu wozowi, własności Hugus Company, który stał wzdłuż chodnika. Konie bandytów były przywiązane do jego kół. Po dotarciu na miejsce Law i Shirley zaczęli odwiązywać lejce, a „Kid” trzymał zakładników na muszce.

Nagle jeden z nich - dziś nie wiadomo który - opuścił ręce i zaczął uciekać. Nieoczekiwane wydarzenie sprawiło, że „Kid” stracił głowę i zaczął strzelać do zakładników z karabinu, pociągając za spust najszybciej, jak się dało.

Zakładnicy rozproszyli się w panice. Jeden dostał w rękę, inny w nogę, jeszcze innego kula drasnęła w palec. Mimo obrażeń udało im się uciec i nagle bandyci zostali bez swoich tarcz.

W ich kierunku pofrunęły kule - to mieszkańcy Meeker jednocześnie otworzyli ogień.

Pięć kul przeszło ciało „Kida”, miotając nim na boki niczym kukłą. Jedna trafiła w serce, zabijając go na miejscu. Jim Shirley z przebitym płucem zdołał



się wczołgać za wóz. Upadając, uniósł rewolwer i pociągnął za spust. Strzelał jeszcze, leżąc w rosnącej kałuży krwi, póki nie opróżnił bębena.

Jedynie George Law wciąż był na chodzie. Zamiast liczyć na któregoś ze spłoszonych koni, próbował uciekać pieszo. Musiał wiedzieć, że ma niewielkie szanse, ale się starał. Na próżno. Wkrótce kula przeszła jego ciało, a gdy się zachwiał, kolejny pocisk roztrzaskał mu lewą nogę, i bandyta padł na ziemię. Mieszkańcy miasta jeden po drugim zaczęli wychodzić z kryjówek i ostrożnie podchodzić do leżących bandytów.

Jim Shirley i „Kid” nie żyli. George Law wciąż oddychał, ale był w kiepskim stanie - śmierć wydawała się zaledwie kwestią czasu. Prokurator hrabstwa i miejscowy dziennikarz próbowali wydobyć z niego ostatnie słowa. Law ostatkiem sił podał im fałszywe nazwiska swoich kolegów i własne. Ich prawdziwą tożsamość odkryto dopiero później. Law żył jeszcze niecałą godzinę.

Co najciekawsze, po powrocie do banku pracownicy znaleźli tam worek z pieniędzmi. Zaaferowani wyprowadzaniem zakładników bandyci po prostu o nim zapomnieli. Nawet gdyby udało im się zbiec, całe zrabowane pieniądze zostałyby na miejscu. Jeśli ta trójka nieudaczników chciała iść w ślady Butcha Cassidy ego i reszty Dzikiej Bandy - zdecydowanie pokpiła sprawę.



## POJMANIE „CZARNEGO JACKA” KETCHUMA

**N**ocą 16 sierpnia 1899 roku gwiazdy świeciły jasno nad miastem Folsom w Nowym Meksyku.

Minęła właśnie dziesiąta. Pociąg na wschód miał opóźnienie. Dwadzieścia minut później zatrzymał się na stacji Colorado & Southern Railroad, by nabrać węgla i wody. Gdy stał, jakaś postać ukradkiem wśliznęła się do niego od ciemnej, nieoświetlonej przez światła dworca strony. Mężczyzna wdrapał się na platformę między wagonem bagażowym a węglowym i skulił się w mroku. Wkrótce potem lokomotywa szarpnęła i ruszyła, zostawiając Folsom za sobą, a zabierając nieznanego i niepożądanego pasażera.

Kilka kilometrów za miastem pociąg zbliżył się do rozpoznawalnego miejsca - dwóch stoliw<sup>[9]</sup> znanych jako Bliźniacza Góra lub Bliźniaczy Ostaniec. Gdy skład toczył się po płaskim terenie na południe od Ostańca, pasażer na gapę wdrapał się do wagonu i zaczął przeczołgiwać po stercie węgla. Zbliżając się do kabiny lokomotywy, odbezpieczył trzymaną w ręce broń i przygotował się, by wskoczyć do jej wnętrza.

Odkąd jego banda się rozpadła, działał samotnie, ale zamierzał właśnie dokonać czegoś, czego dotąd dokonało na Dzikim Zachodzie niewielu, a może nawet nikt - samotnego napadu na pociąg.

Był już dość dobrze znany, ale dzisiejszy wyczyn miał sprawić, że nikt nigdy nie zapomni nazwiska „Czarnego Jacka” Ketchuma.



„Czarny Jack” tak naprawdę nie był „Czarnym Jackiem”. Ten pseudonim należał do kogoś innego, choć tak naprawdę i on zabrał go komuś innemu. „Czarny Jack” Ketchum urodził się jako Thomas Ketchum w San Saba w Teksasie w roku 1863. Był najmłodszym z trzech braci, z których najstarszy odniósł sukces jako handlarz końmi i stał się w okolicy znaną postacią. Tom i średni brat, Sam, byli kowbojami - niewykształconymi i dość niestabilnymi emocjonalnie, skorymi do wybuchów złości i wszczynania awantur. Trafili na drogę występku, lecz nie popełniali poważnych przestępstw do roku 1895, kiedy to wraz z kilkoma towarzyszami zastrzelili miejscowego ranczera, Johna N. „Japa” Powersa. Wynajęła ich jego żona, która trafiła za to do więzienia, podczas gdy Tom i Sam uciekli w stronę dal, a konkretnie do Nowego Meksyku.

Mniej więcej w tym czasie teren po obu stronach granicy między Nowym Meksykiem a Arizoną zaczął być regularnie nękany przez bandę kowbojów znaną jako Czarni Jackowie, a zawdzięczającą nazwę swemu przywódcy, Williamowi „Czarnemu Jackowi” Christianowi. Nie wiadomo, jak Christian dorobił się tego przydomka, ale przez pewien czas święcił pod nim niekwestionowane sukcesy w bandyckim rzemiośle. Razem ze swymi ludźmi napadał na pociągi i dyliżanse, rabował banki, poczty i sklepy. Wdawali się w strzelaniny z grupami pościgowymi i zwykłymi obywatelami. Nikt nie mógł ich dopaść, tym bardziej że okoliczni ranczerzy niejednokrotnie pomogli bandzie Christiana uciec przed stróżami prawa. Niektórzy bez wątpienia sympatyzowali z bandytą, podczas gdy inni pomagali jej ze strachu. W obliczu tego problemu władze Nowego Meksyku zwróciły się z prośbą o pomoc do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Na miejsce przybyła grupa marshalów federalnych i połączyła siły z miejscowymi stróżami prawa, prywatnymi detektywami wynajętymi przez przedsiębiorstwa kolejowe i banki, a nawet oddziałem meksykańskich żołnierzy przysłanych przez rząd południowego sąsiada, gdyż Christian napadał też po drugiej stronie granicy, w Sonorze i Chihuahua.

Co ciekawe - biorąc pod uwagę późniejsze zdarzenia - Christian i jego ludzie mogli nie być winni wszystkich przestępstw, które im przypisywano. Całkiem prawdopodobne, że część z nich popełnili w istocie dwaj bracia,

którzy uciekli w te strony z Teksasu, gdzie zrobiło się dla nich zbyt gorąco - Tom i Sam Ketchumowie.

Kolejne zrządzenie losu sprawiło, że Tom i Sam przenieśli się jeszcze dalej na zachód i dołączyli do bandy „Czarnego Jacka”. Wkrótce potem połączone wysiłki stróżów prawa przyniosły efekt: pościg dopadł bandytów niedaleko Clifton w Arizonie. Nie wiadomo, czy Tom i Sam brali udział w tamtej walce, ale William „Czarny Jack” Christian z całą pewnością tak, bo wpakowano w niego ilość ołowiu gwarantującą zawiązką, że więcej nie wstanie.

Niektórzy z bandytów uciekli. Nowym samozwańczym hersztem został Tom Ketchum, który zażądał, by od tej pory tytułowano go „Czarnym Jackiem” Ketchumem. Planował rozślawić to imię, dokonując akcji bardziej brawurowych niż jego poprzednik.

Pod wodzą Ketchuma banda się rozrosła. Przez pewien czas była nawet w nieoficjalnej komitywie z Dziką Bandą Butcha Cassidy ego, choć sam Butch uważał Toma za szaleńca i nigdy mu nie ufał. Mimo to kilku członków Dzikiej Bandy od czasu do czasu uczestniczyło w akcjach bandy „Czarnego Jacka”.

Po zabiciu naczelnika poczty, który ścigał ich za napad na swój urząd, banda skupiła się na rabowaniu pociągów w Nowym Meksyku, Arizonie, a nawet w Teksasie, ojczystym stanie Ketchumów. Żaden z kilku udanych skoków nie przyniósł jej jednak wielkiego majątku. Pewnego razu bandyci użyli do wysadzenia przewożonego sejfu takiej ilości dynamitu, że zniszczyli też większość pieniędzy w jego wnętrzu.

To mógł być zły omen - od tej pory szczęście zaczęło się odwracać. Strzelanina z grupą pościgową w południowo-wschodniej Arizonie skończyła się śmiercią kilku bandytów. Tom, Sam i pozostali członkowie bandy wycofali się przez granicę do Meksyku i spędzali tam większość czasu aż do lipca 1899 roku, kiedy to wrócili do Nowego Meksyku, by napaść na pociąg linii Colorado & Southern w pobliżu Folsom. Uciekli z niezłym urobkiem i sądząc, że wymknęli się pościgowi, rozbili na noc obóz w wąwozie nad rzeczką Turkey Creek.

Nie mieli pojęcia, że marshał federalny Creighton Foraker wraz z całą grupą poszukiwawczą depta im po piętach. Stróże prawa zaatakowali obóz bandytów, wywołując zacieklą bitwę. Bandyci rzucili się do ucieczki, choć niektórzy byli poważnie ranni. Elzy Lay, jeden z uczestników napadu na pociąg, został trafiony kilkoma pociskami i wkrótce schwytyany na pobliskim

ranczu. Sama Ketchuma, brata i wieloletniego współpracownika Toma, spotkał podobny los. Trafił do więzienia, gdzie wkrótce zmarł na sepsę w następstwie ran odniesionych w strzelaninie z grupą pościgową.

Tom Ketchum został sam. Rozgoryczony i rozwścieczony tym, co postrzegał jako okrucieństwo losu, a ponadto z natury chwiejny emocjonalnie, szybko obmyślił plan zemsty na władzach. Plan brawurowy. Plan, który musiał się powieść, by pokazać światu, że „Czarny Jack” Ketchum wciąż robi swoje i że wciąż trzeba się z nim liczyć.

Pomysł był prosty: Tom postanowił w pojedynkę napaść na pociąg.



Tom „Czarny Jack” Ketchum z wagonu z węglem zeskoczył do lokomotywy i wymachując bronią, rozkazał maszyniście zatrzymać skład. Na widok szalonego bandyty ani maszynista, ani palacz nie zamierzali protestować. Maszynista nacisnął hamulce.

Plan Ketchuma przewidywał odłączenie wagonu ekspresowego i pocztowego od jadących za nimi wagonów pasażerskich i towarowych. Potem Tom zamierzał zmusić maszynistę do ruszenia i oddalenia się wraz z dwoma cennymi wagonami od reszty składu, po czym do zatrzymania lokomotywy w jakimś ustronnym miejscu. Dzięki temu bandyta musiałby się rozprawić tylko z dwoma ludźmi i mógłby spokojnie obrabować wagony ekspresowy i pocztowy.

„Czarny Jack” wyrzucił więc mężczyzn z lokomotywy i trzymając ich na muszce, zmusił do pójścia wzdłuż torów na tył wagonu pocztowego. Już wtedy stało się jasne, że coś poszło nie tak. Pociąg zatrzymał się na zakręcie, tak że wagon pocztowy i następny ustawiły się pod takim kątem, że nie dało się ich rozłączyć.

Gdy Ketchum zastanawiał się, co robić, otworzyły się drzwi wagonu pocztowego i wystawił z nich głowę urzędnik, by sprawdzić, dlaczego pociąg stoi. Ketchum odruchowo strzelił nieszczęśnikowi w szczękę.

W odróżnieniu od pocztowca, konduktor pociągu, Frank Harrington, doskonale wiedział, co jest grane. Składy, w których pełnił służbę, już trzy razy były zatrzymywane i rabowane. Ketchum nie miał pojęcia, że mężczyzna skrada się teraz wzdłuż wagonów ze strzelbą w rękach. Kiedy bandyta zajęty

był strzelaniem do urzędnika poczty, Frank odsunął się o kilka kroków od jednego z nich i uniósł broń.

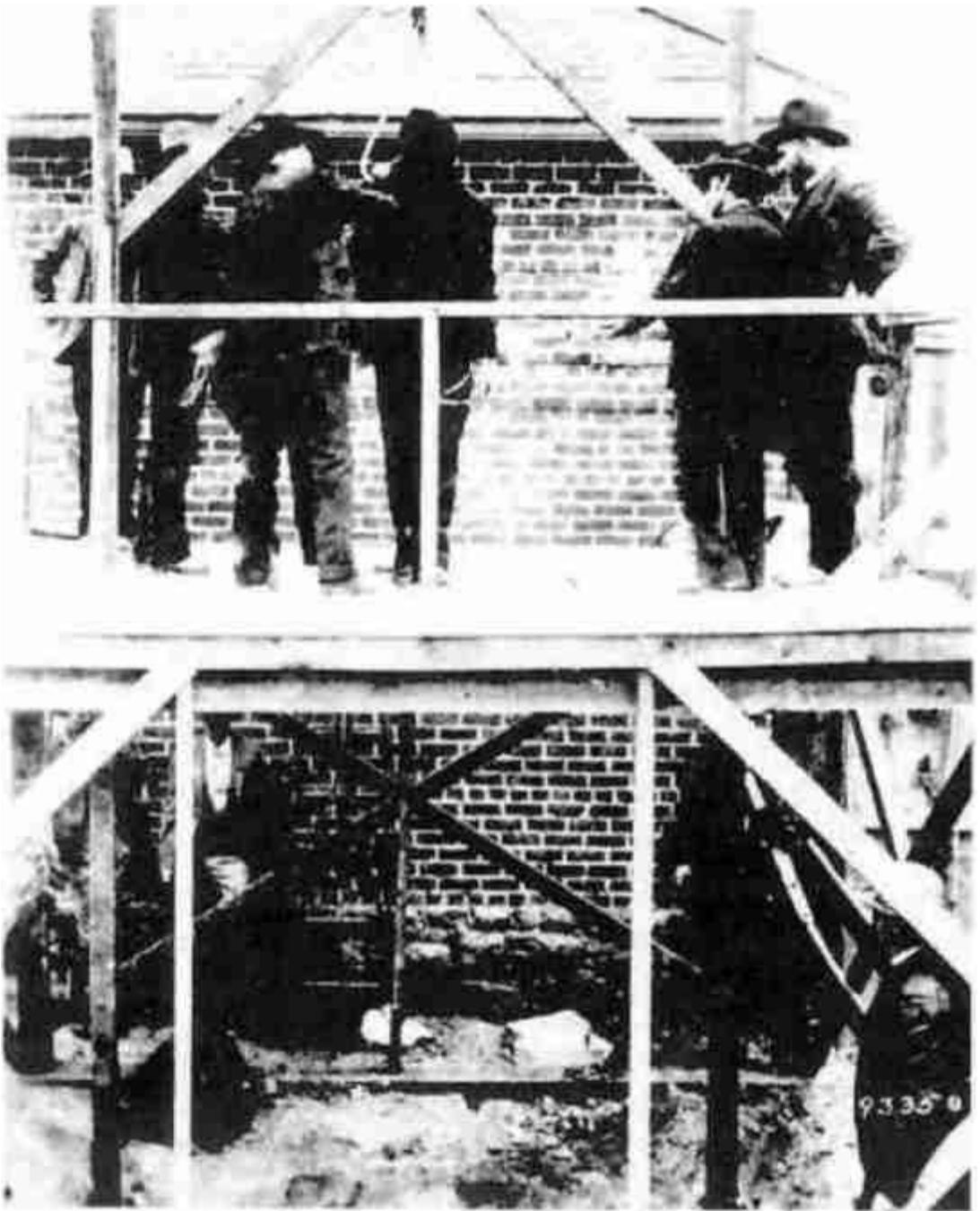
Ketchum miał jednak refleks. Pociągnął za spust pierwszy, lecz pocisk tylko drasnął Harringtona w szyję. Konduktor ponownie strzelił i podwójny ładunek grubego śrutu trafił Ketchuma w prawą rękę, gruchocząc mu łokieć. Siła uderzenia przewróciła bandytę, aż się stoczył z nasypu.

Lekko tylko ranny Harrington szybko zagonił maszynistę i palacza z powrotem do wagonu i kazał im jak najszybciej uruchomić lokomotywę. Pociąg ruszył, a półprzytomny z bólu Ketchum wczłogał się w krzaki rosnące przy nasypie.

Tam spędził noc, to tracąc, to odzyskując świadomość. Jego koń był uwiązany w pobliżu, ale bandyta nie miał dość siły, by wdrapać się na siodło i odjechać. Wiedział, że załoga pociągu podniesie alarm i zanim nadejdzie świt, Stróże prawa zaczną go szukać. Nie mógł jednak nic zrobić. Jego wspaniały plan się posypał.

Wczesnie rano cierpiący Ketchum usłyszał zbliżający się pociąg towarowy. Podniósł swój kapelusz i nasadził go na lufę upuszczonego w chwili postrzału karabinu. Zamachał kapeluszem w powietrzu. Maszynista zatrzymał skład. Gdy załoga wyskoczyła i pobiegła ku niemu, Ketchum zdobył się na ostatni akt buntu: zagroził jej bronią. Przestraszeni kolejarze cofnęli się i chcieli odjechać bez niego. W końcu Ketchum zrezygnował. „Jestem ranny, zabierzcie mnie!”- zawołał.

Zaniesiono go do pociągu i zawieziono do lekarza w Folsom. Wezwany marshal Creighton Foraker przyjechał, by go aresztować. Po zabandażowaniu ręki zawieziono Ketchuma do szpitala św. Rafała w Trinidad w Kolorado. Lekarzom wystarczył rzut oka na jego prawą rękę, by stwierdzić, że nie można jej uratować. Dokonali amputacji.



26 kwietnia 1901 roku. Kat zakłada pętlę na szyję „Czarnego Jacka” Ketchuma. Niestety robi to nieprofesjonalnie, wskutek czego kilka minut później Ketchum zostaje bez głowy Ze zbiorów *National Archives and Records Administration*

Prawo Nowego Meksyku przewidywało karę śmierci za napad na pociąg, choć od dawna nikogo na nią nie skazano. Podczas procesu w Clayton prokurator wniósł jednak o najwyższą karę i dopiął swego. Rozgoryczony

bardziej niż kiedykolwiek jednoręki Ketchum czekał na egzekucję w więzieniu w Clayton, pisząc do wysokich urzędników listy, w których protestował przeciwko niesprawiedliwości losu i okrucieństwu kary. Na to samo skarżył się licznym reporterom przeprowadzającym z nim wywiady. Wszystko na próżno. Wczesnym rankiem w piątek 26 kwietnia 1901 roku ubrano go w czarny garnitur i zaprowadzono na szubienicę.

Los trzymał jednak w zanadrzu ostatnią niespodziankę dla „Czarnego Jacka” Ketchuma.

Wyznaczeni do przeprowadzenia egzekucji Stróże prawa nie mieli w tej materii doświadczenia. Źle obliczyli długość sznura, a co gorsza, po wieczornym testowaniu szubienicy za pomocą ważącego dziewięćdziesiąt kilo worka z piaskiem pozostawili tenże zawieszony na sznurze, tak że się jeszcze bardziej rozciągnął. Gdy zakładali Ketchumowi pętlę na szyję, ten rzucił do nich lekceważąco: „Będę w piekle, zanim wy siądziecie do śniadania, chłopaki!”. Potem założono mu na głowę czarny kaptur, który następnie przypięto do kamizelki.

Nie była to żadna wymyślna szubienica z dźwignią otwierającą zapadnię. Sznur musiał zostać przecięty, by więzień wpadł do otworu. Kat musiał machnąć dwa razy, by sznur puścił i zapadnia zadziałała. Można jedynie domniemywać, co musiało się dzieć w głowie Ketchuma, gdy usłyszał pierwsze uderzenie, lecz kłapa się nie otworzyła. Tak czy owak, drugie uderzenie siekiery wreszcie przecięło linę i Ketchum runął do otworu. Lina jednak okazała się tak długa, że niemal dotknął stopami ziemi. Gdy wreszcie rozwinęła się do końca i naprężyła, szarpnięcie pociągnęło go w górę tak mocno, że zamiast elegancko skrócić kark, jak powinno, całkowicie urwało mu głowę. Jedyne przymocowany kaptur sprawił, że ta nie potoczyła się w dal, lecz widok i tak był groteskowy - a egzekucji przyglądało się wielu widzów, bo była ona dla Clayton w Nowym Meksyku czymś w rodzaju spektaklu. Zamknięto wszystkie sklepy i lokale, z wyjątkiem saloonów, i z całą pewnością wiele spośród osób przyglądających się egzekucji cieszyło się z tego wyjątku.

Po tym, co zobaczyli, niewątpliwie potrzebowali mocnego trunku.





## KRÓL NAPADÓW NA BANKI

**W** niektórych miejscach Dziki Zachód przetrwał dłużej, niż mogłoby się wydawać. Długo po zakończeniu XIX wieku, w czasach gdy samochody stały się powszechnym widokiem, a brukowane drogi zaczęły się rozciągać tam, gdzie jeszcze kilka lat wcześniej była preria, przetrwały ślady starego Pogranicza. Całkiem sporo ludzi wciąż jeździło konno. Nikt na ulicach Stroud w Oklahomie nie zwrócił więc szczególnej uwagi na siedmiu jeźdźców, którzy zjawili się w mieście rankiem 27 marca 1915 roku i zsiadli z koni przed miejscową tuczarnią. Sześciu z nich ruszyło wzdłuż ulicy, a siódmy pozostał przy koniach.

Miasteczko Stroud leżało mniej więcej w połowie drogi między Oklahoma City a Tulsą i choć było niewielkie, mogło się pochwalić aż dwoma bankami - Pierwszym Bankiem Narodowym i Bankiem Stanowym w Stroud.

Oba znajdowały się na Main Street, mniej więcej o dwie przecznice od siebie. To właśnie z powodu tych banków siedmiu nieznajomych przybyło tu tego mroźnego, mimo nastania kalendarzowej wiosny, ranka. Przyjechali dokonać tego, czego nigdy nie dokonała żadna inna banda - ani Frank i Jesse, ani Youngerowie, ani Daltonowie. Zamierzali obrabować jednocześnie dwa banki.

A dowodził nimi Henry Starr, znany jako amerykański król bankowych rabusiów.



Bandycka kariera Starra rozpoczęła się wiele lat wcześniej. Urodził się 2 grudnia 1873 roku niedaleko Fort Gibson na Terytorium Indiańskim w rodzinie o korzeniach czirokesko-szkocko-irlandzkich. Z niesławną Belle Starr był jedynie spowinowacony: jej mężem był stryj Starra. Henry uczył się w czirokeskiej szkole w Tahlequah. Był dobrym, inteligentnym i bystrym uczniem. Gdy jednak jako młodzieniec zaczął pracować w charakterze kowboja, zaczęły się kłopoty. Czi- rokeska policja aresztowała go za handel whisky, choć on twierdził, że j edynie trzymał walizkę należącą do kogoś innego. W środku były dwie butelki podłego trunku. Innym razem oskarżono go o kradzież konia, choć bronił się, mówiąc, że pożyczyl go za wiedzą właściciela.

Za każdym razem aresztowano go i wkrótce wypuszczano. Być może rzeczywiście był niewinny - w każdym razie tak twierdził nawet później, kiedy przyznawał się już bez żenady do innych przestępstw. Tak czy inaczej, ostatecznie wybrał drogę występku. Zaczął napadać na stacje kolejowe i niewielkie prowincjonalne sklepy w towarzystwie innych młodych ludzi poznanych w dolinie Verdigris, która zdawała się wylęgarnią przestępców. Oskarżony o kradzież koni i zwolniony za kaucją, nie stawił się na rozprawie, wskutek czego wydano za nim list gończy. W pogoń wyruszył Floyd Wilson, jeden z marshalów pracujących dla słynnego Isaaca Parkera, z racji posyłania wielu ludzi na szubienicę zwanego „sędzią katem”, w towarzystwie detektywa kolejowego H.E. Dickeya.

Wilson i Dickey przyjechali na ranczo XU, którego właścicielem był Arthur Dodge. Henry Starr pracował tam niegdyś jako kowboj, więc Stróże prawa doszli do wniosku, że może się tam ukrywać. Dodge powiedział im, że nie widział go od tygodni, a oni nie mieli powodu, by wątpić w jego słowa.

Następnego dnia deklaracja ranczera się potwierdziła. Wilson i Dickey zatrzymali się w XU, by przeszukać okolicę. Kiedy w południe zatrzymali się na odpoczynek w domu na ranczo, podjechał do nich konno Dodge i powiedział, że właśnie widział Henry ego. Wilson wskoczył na jego konia i pogalopował we wskazanym kierunku. Dickey pozostał z tyłu, by osiodłać dla siebie wierzchowca i ruszyć w ślad za towarzyszem.

Dodge mówił prawdę: Henry Starr jechał przez teren rancza. Wilson dogonił go nad meandrującym strumieniem o nazwie Wolf Creek. Marshal był człowiekiem odważnym, ale i lekkomyślnym. Zamiast czekać na pomoc, sam

stawił czoło zbiegowi.

Uzbrojony w karabin Henry zsunął się z siodła na widok galopującego ku niemu Wilsona, który zatrzymał się w odległości nie większej niż dziesięć metrów. Marshal zawołał, że ma nakaz jego aresztowania, i kazał mu się poddać. Henry nie miał takiego zamiaru, ale najwyraźniej nie zamierzał też wszczynać walki, bo trzymał karabin lufą do ziemi.

Niecierpliwy marshal odciągnął kurek karabinu i strzelił. Może celował do zbiega, a może jedynie chciał go nastraszyć. Tak czy inaczej, nie trafił, choć pocisk przeleciał bardzo blisko głowy Starra. Wtedy Henry uniósł broń i zaczął strzelać tak szybko, jak tylko się dało.

Kule zwały marshala z nóg i wytrąciły mu karabin z ręki. Sięgnął więc po rewolwer, lecz nim wyszarpnął go z kabury, Henry trafił go jeszcze dwukrotnie. Potem, w jedynym postępku swego życia, który można nazwać brutalnym, Henry Starr podszedł do leżącego Wilsona i trzymając karabin jedną ręką, przyłożył lufę do ciała marshala i wystrzelił raz jeszcze, definitywnie go uśmiercając.

Spóźniony Dickey zdążył zobaczyć z daleka strzelaninę, lecz nie mógł pomóc towarzyszowi. Nim dotarł na miejsce, Henry zdołał już uciec.

Będąc już nie tylko banitą, ale także zabójcą, Starr przez pewien czas współpracował z małą, lecz dobrze zorganizowaną bandą dowodzoną przez niejakiego Billa Cooka. Odłączywszy się od niej, założył własną i zorganizował napad na Bank Ludowy w Bentonville w Arkansas. Ujawniały się już cechy, które z czasem uczyniły z niego tak skutecznego rabusia. Henry bacznie obserwował każdy bank, jaki zamierzał obrabować, a jako akcje były starannie zaplanowane. Ponadto zachowywał zimną krew podczas wymiany ognia i chociaż był wybuchowy, w kluczowych chwilach potrafił utrzymać nerwy na wodzy.

Mimo popełnianych przestępstw czasem można było odnieść wrażenie, że wewnątrz Henry ego Starra żyje też człowiek uczciwy, wypatrujący okazji, by się ujawnić. Przez dłuższy czas Henry spotykał się z dziewczyną o nazwisku May Morrison. Postanowił wyjechać z nią z Terytorium Indiańskiego i przenieść się na zachód, by rozpocząć uczciwe życie w Kalifornii. Plan był dobry - tyle że się nie powiódł. Henry i May wyruszyli w drogę w towarzystwie Kida Wilsona, jednego z młodych ludzi, którzy wcześniej należeli do bandy Starra. Dotarli jedynie do Colorado Springs w Kolorado, gdzie ich rozpoznano i aresztowano. Henry i Kid trafili do Fort Smith w

Arkansas, by stanąć przed sądem „sędziego kata”.

Kida Wilsona uznano za winnego rabunku i skazano na karę więzienia. Henry jednak miał na sumieniu zabójstwo marshala Floyda Wilsona (zbieżność nazwisk z Kidem przypadkowa) i prokuratura żądała dla niego stryczka. Sędzia Parker przychylił się do tych żądań. Henry Starr miał zostać powieszony 20 lutego 1894 roku.

Jego obrońcy wnosili apelacje do kolejnych instancji, kończąc na Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Miesiące mijały, a egzekucja wciąż była odraczana. Czekać na ostateczny wyrok, Henry dorobił się nowego rodzaju rozgłosu: podczas buntu w obskurnym więzieniu w Fort Smith znanym jako „piekło na granicy” rozbroił innego więźnia, niejakiego Cherokee Billa, który zdobył broń i zabił strażnika. Teraz władze patrzyły na Starra łaskawszym okiem, ale nie do tego stopnia, by ponownie nie skazać go na śmierć, gdy Sąd Najwyższy nakazał powtórny proces.

Sąd Najwyższy znów interweniował, anulując werdykt kwalifikujący czyn Henry ego jako morderstwo i zmieniając go na nieumyślne zabójstwo, do którego Henry się przyznał. W końcu to Wilson strzelił do niego pierwszy Wyrok zmieniono na piętnaście lat odsiadki w więzieniu federalnym w Columbus w stanie Ohio.

Wzorowe zachowanie doprowadziło do skrócenia kary. W roku 1903 Starra ułaskawił prezydent Theodore Roosevelt. Henry wrócił do Tulsy, zaczął handlować nieruchomościami i ożenił się z młodą czirokeską nauczycielką Ollie Griffin. Spłodził z nią syna, który na cześć prezydenta nosił dumne imię Theodore Roosevelt Starr.

Ilekoć jednak próbował wyjść na prostą, coś stawało mu na przeszkodzie. Tym razem było to przekształcenie Oklahoma w stan. Starr wciąż był ścigany za napad na bank w Bentonville w Arkansas, ale ekstradycja z Terytorium Indiańskiego nie była możliwa. Wszystko się zmieniło z chwilą powołania do życia stanu Oklahoma. W obawie przed odesłaniem do Arkansas, by odpowiedział za dawne grzechy, Henry opuścił dom i ukrył się na wzgórzach Osage.

Pokusa powrotu na drogę przestępstwa okazała się zbyt silna. Wraz ze starym kompanem Kidem Wilsonem, którego również do tego czasu ułaskawiono, napadł na bank w Kansas i był podejrzewany o kilka innych, choć wątpliwe, by stał za każdym z nich. Z pewnością dokonał skoku w Amity w Kolorado, który jeszcze długo miał mu się odbijać czkawką. Zrobił

to, choć był poszukiwany przez dużą grupę stróżów prawa z Kansas i Oklahomy. Po napadzie przedostał się do Arizony. Tam otrzymał wiadomość, że Ollie się z nim rozwiodła. Nie był to koniec pecha: pościg w końcu dopadł i aresztował Starra.

Władze Arizony wysłały go do Kolorado, by stanął przed sądem za napad na bank w Amity. Został skazany i osadzony w więzieniu stanowym w Canon City z następującym wyrokiem: nie mniej niż siedem, nie więcej niż dwadzieścia pięć lat ciężkiej pracy.

Jeśli istniało coś, w czym Henry był równie dobry jak w okradaniu banków, było to zachowanie się w więzieniu. Ponownie sprawiał wrażenie zresocjalizowanego, zaskarbił sobie przychylność strażnika, kapelana oraz wszystkich innych w Canon City. Po pięciu latach został zwolniony warunkowo i opuścił więzienie 24 września 1913 roku. Wciąż musiał się meldować co miesiąc u kuratora i nie wolno mu było opuszczać stanu Kolorado, ale poza tym mógł się cieszyć wolnością.

W Oklahomie czekały jednak banki do obrabowania. Niecały rok po opuszczeniu więzienia Henry złamał warunki zwolnienia i wrócił do domu, a 8 września 1914 roku rozpoczął serię napadów, o których huczał cały południowy zachód. Od września 1914 do stycznia 1915 Henry Starr napadł, czasem sam, a czasem w towarzystwie anonimowego kompana, na czternaście banków i zrabował ogółem ponad dwadzieścia sześć tysięcy dolarów. Nigdy wcześniej Stany Zjednoczone nie widziały takiej serii.

Były to śmiałe, brawurowe napady w biały dzień, a Henry więcej niż raz został rozpoznany. W okolicy wrzało. Wyznaczono liczne nagrody za dostarczenie go żywego lub martwego.

Tymczasem Henry wpadł na jeszcze śmielszy plan, przy którego realizacji potrzebował pomocy. W dolinie Verdigris i na wzgórzach Osage, na jego starych śmieciach, nie brakowało młodych i niekoniecznie uczciwych śmiałków.



Dystyngowany Henry Starr w roku 1919. Bardziej przypomina bogatego biznesmena niż człowieka, który okradł najwięcej banków na Dzikim Zachodzie. Dwa lata później nieprzemysłany powrót do złodziejskiego fachu przyniesie mu śmierć *Z, e zbiorów Denver Public Library, Western History Collection*

Henry zebrał bandę złożoną z sześciu ludzi (nie licząc głównego bohatera) i ruszył z nią do Stroud w Oklahomie, gdzie działały aż dwa banki.

Dwa banki... a obrabowanie ich jednocześnie miało być zwieńczeniem długiej bandyckiej kariery Henry ego.



Jeden człowiek został przy koniach, a pozostała szóstka się rozdzieliła. Henry z dwoma towarzyszami wszedł do Banku Stanowego w Stroud, a trzej inni bandyci w tym samym momencie wkroczyli do Pierwszego Banku

Narodowego. Henry wyjął spod płaszcza karabin z odpiłowaną lufą, a pozostali sterroryzowali urzędników i klientów sześćdostrzałowcami. Henry błyskawicznie wybrał z kas 1600 dolarów. Pracownicy odmówili otwarcia sejfu, w którym trzymano resztę gotówki. Jeden twierdził, że nie zna szyfru, a drugi, że sejf ma zamek czasowy i może zostać otwarty dopiero za kilka godzin.

Wściekły Henry zagroził im karabinem. Nie był jednak człowiekiem, który zabija z zimną krwią. Uznał, że lepiej zabrać, co się da. Zerwał z krawata wiceprezesa banku diamentową spinkę, po czym wyszedł na ulicę, prowadząc przed sobą trzech zakładników.

Po Stroud zdążyła się roznieść wiadomość o napadach. Druga grupa rabusiów zabrała z Pierwszego Banku Narodowego ponad 4200 dolarów i pojawiła się na ulicy wraz z zakładnikami mniej więcej w tym samym czasie co pierwsza. Wszystkich zakładników zbito w gromadkę i bandyci ruszyli w stronę swoich koni, trzymając ich przed sobą.

Rozbrzmiały pierwsze strzały - to kilku mieszkańców miasta z ukrycia próbowało powstrzymać przestępców. Zakładnicy, bardziej ze strachu przed współmieszkańcami niż przed bandytami, rzucili się na ziemię, odsłaniając Henry ego i jego ludzi. Rabusie odpowiedzieli ogniem w kierunku niewidocznych strzelców, biegnąc ku tuczami, przy której zostawili konie.

Po drugiej stronie ulicy siedemnastoletni Paul Curry przykucnął za beczkami w zaułku obok sklepu rzeźnickiego. Widział, jak Henry i jego kompani wchodzi do banku, i rozpoznał w nich bandytów. Pobiegł do sklepu i chwycił winchestera trzydziestkę, którego rzeźnik używał do uboju świń. Wybiegł tylnymi drzwiami i zaczął się w alejce z gotowym do strzału karabinem.

Gdy bandyci pojawili się w zasięgu wzroku, Paul strzelił, trafiając Henry ego Starra w nogę poniżej biodra. Kula zgruchotała kość udową i zwała bandytę z nóg. Leżąc na ziemi, Henry rozglądał się za sprawcą swego nieszczęścia. Paul Curry przeładował karabin. „Rzuć broń albo zginiesz!” - zawołał.

Henry nie był głupcem. Odrzucił rewolwer.

Reszta bandy wciąż uciekała. Niesiony podnieceniem Paul Curry wybiegł z kryjówek i strzelał za nimi, jednego poważnie raniąc. Wszystkim udało się wsiąść na konie i galopem opuścić miasto, ale ranny wkrótce stracił przytomność i zsunął się na ziemię. Pozostali zostawili go i uciekli. Grupa

pościgowa - a dokładnie niejaki Lewis Estes - zabrała go i zawiozła do miasta.

Henry Starr bez wykrętów przyznał się do swojej tożsamości. Po opatrzeniu rany przez miejscowego lekarza zawieziono go do więzienia. Szeptano coś o linczu, ale nic z tego nie wyszło. Słynny marshall Bill Tilghman przyjechał do Stroud natychmiast po tym, jak doszła go wieść o podwójnym napadzie na banki i pojmaniu Henry ego Starra. Co ciekawe, przybył tam nie tyle jako stróż prawa, ile jako producent filmowy. Zajmował się teraz kinematografią, a związani z nią ludzie szukali w Oklahomie punktu zaczepienia, więc zamiast zastępców przywiózł ze sobą kamerzystów, by sfilmowali scenę napadu.

Wieść o tym musiała zasiać w głowie Henry ego ziarno, z którego wykiełkował pewien plan.

Niektórych członków jego bandy wytropiono i aresztowano później, a pozostałym udało się uciec na dobre. Lewis Estes zgodził się zeznawać przeciwko Starrowi i pozostałym w zamian za stosunkowo niski wyrok - pięć lat więzienia. Henry nawet nie próbował odpiierać zarzutów. Przyznał się do winy i został skazany na dwadzieścia pięć lat odsiadki w więzieniu stanowym Oklahomy w McAlester.

Po raz trzeci znalazł się za kratkami i po raz trzeci zachowywał się tam wzorowo. W następstwie rany kulał, co zaskarbiło mu jeszcze więcej sympatii. Najbardziej ze wszystkiego pomógł mu fakt, że jego prośbę o przedterminowe zwolnienie poparła Kate Brainard, odpowiedzialna za sektor pomocy społecznej i resocjalizacji w stanie Oklahoma. Niecałe cztery lata po rozpoczęciu odsiadki wyroku Henry znów był na wolności, pozornie zresocjalizowany.

Jego nowy pomysł na życie nie wymagał łamania prawa. Być może zainspirowany współpracą Tilghmana z przemysłem filmowym, pożyczył pieniądze i został producentem. Napisał scenariusz, wyreżyserował i zagrał główną rolę w filmie *A Debtor to the Law* („Dłużnik wobec prawa”), opowiadającym historię napadu na banki w Stroud i późniejszej strzelaniny. Nawet Paul Curry pojawił się w tej produkcji, która odniosła oszałamiający sukces. Henry nakręcił jeszcze dwa filmy, tym razem opowiadające o fikcyjnych napadach, które również zostały dobrze przyjęte. Powinien zarobić na tych przedsięwzięciach mnóstwo pieniędzy... tyle że wspólnicy go wyrolowali.

Zmuszony błagać przyjaciół o pożyczki, by mieć za co żyć w czasie



procesów z byłymi współnikami, które i tak miał przegrać, Henry Starr stawał się coraz bardziej rozgoryczony. Po raz kolejny próbował prowadzić uczciwe życie i po raz kolejny nic z tego nie wychodziło. Na początku lutego 1921 roku odwiedził swego siedemnastoletniego syna Teddy ego i ostrzegł go, by za wszelką cenę trzymał się z dala od przestępczości. Jeszcze w tym samym miesiącu pojechał do Harrison w Arkansas i w towarzystwie trzech innych mężczyzn próbował obrabować Narodowy Bank Ludowy. Podczas wcześniejszych napadów zawsze uciekał konno. Teraz czasy się zmieniły i konia zastąpił samochód. Ale Henry Starr wciąż był sobą: ilekroć kiepsko mu się wiodło, zaczynał planować napad na bank.

Tyle że zapas jego szczęścia właśnie się wyczerpał. Gdy przestępcy pod lufą rewolwerów wepchnęli pracowników banku do skarbcza, jeden z nich złapał karabin, który ukryto tam właśnie na wypadek napadu. Oskoczył i oddał jeden strzał, który wszedł w tułów Starra z prawej strony i zgruchotał mu kręgosłup. Henry upadł, a pozostali bandyci uciekli, wskoczyli do auta i nigdy więcej ich nie widziano.

Henry żył jeszcze cztery dni. 22 lutego stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Zmarł po kilku godzinach. Jego działalność przestępcza trwała niemal trzy dekady. Nim po raz ostatni stracił świadomość, pochwalił się lekarzowi: „Okradłem więcej banków niż ktokolwiek w Ameryce”.

I miał rację.



## SZWINDEL W EXPRESS COMPANY

**R**zeka Canadian płynie z zachodu na wschód przez Texas Panhandle, a swą nazwę zawdzięcza wiatrom, które każdej zimy nawiedzają ten region, powodując tak gwałtowne obniżenie temperatur, jakby zaraz na drugim brzegu znajdowała się Kanada. W roku 1887, gdy koleje Santa Fe kładły tory w poprzek Panhandle, rzeka użyczyła nazwy miasteczku Canadian, które zostało stolicą nowo utworzonego hrabstwa Hemphill i szybko zmieniło się w tętniące życiem centrum obsługujące rozległe okoliczne rancza.

Hrabstwo potrzebowało szeryfa. Pierwsze wybory na to stanowisko wygrał Tom McGee.

Urodzony w roku 1849 w Wirginii Zachodniej McGee w roku 1877 przyjechał do Kolorado i został kowbojem. Kiedy jego pracodawca, Hank Cresswell, właściciel marki Bar CC, przeniósł ranczo do Teksasu, McGee pojechał tam razem z nim, uczestnicząc w przeprowadzce bydła na nowe miejsce. Potem postanowił zostać. Pracował dla Bar CC i innych rancz. Był jednak ambitnym młodzieńcem i chciał się dorobić własnego biznesu. W roku 1883 zarejestrował markę Quarter Circle C. Trzy lata później kupił od Williama Younga ranczo PO. Nie miał jednak zamiaru siedzieć w domu i zajmować się papierkową robotą - zamiast tego aktywnie zarządzał nieruchomością. Musiał mieć żyłkę do interesów, bo w roku 1887 oprócz rancza posiadał w Canadian parking dla wozów i stajnię wynajmowaną do przetrzymywania koni. Wciąż jednak było mu mało, więc zajął się polityką i został pierwszym szeryfem hrabstwa Hemphill. Zastępcą szeryfa został

Vastine Stickley, razem z nim prowadzący stajnię.

Jako że Canadian stanowiło punkt przeładunkowy dla pracowników okolicznych rancz, całkiem możliwe, że głównym zajęciem szeryfa było przerywanie bójek i wtrącanie do więzienia pijanych kowbojów w dniu wypłaty albo spędu bydła do transportu. Przez większość czasu w miasteczku panował spokój.

24 listopada 1894 roku wszystko się zmieniło.



Trzej mężczyźni podjechali konno na stację początkową kolei Santa Fe. Zsiedli z koni i przywiązali je do barierki przed dworcem. Był sobotni wieczór, więc po mieście kręciło się mnóstwo kowbojów, którzy przyjechali z sąsiednich rancz, by się zabawić. Z saloonów dobiegała metaliczna muzyka i wybuchy śmiechu. Zważywszy na porę roku, można przypuszczać, że noc prawdopodobnie była chłodna, lecz nie umniejszało to entuzjazmu młodych ludzi, którzy przybyli tu, by się rozerwać po ciężkiej pracy.

Trzej nieznajomi nie zatrzymali się przed żadnym z saloonów ani przed żadną z tancbud. Czas ich przyjazdu był dokładnie obliczony.

Zaledwie kilka minut wcześniej na stację dotarł Panhandle Express linii Santa Fe zmierzający na południe, do Amarillo. Na peronie nie czekali pasażerowie ani żaden towar: tym razem to pociąg coś przywiózł.

Od kilku tygodni miejscowy hodowca bydła George Isaacs przebąkiwał o tym, że wysłał do siebie z banku w Kansas City dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, które dostarczy pociąg. Najwyraźniej nie umiał utrzymać języka za zębami. Prawie cała okolica wiedziała o tych pieniądzach, a nawet plotkowała o tym, który pociąg je przywiezie. Gdy tylko otworzyły się drzwi wagonu ekspresowego i kurier firmy Wells Fargo zaniósł paczkę na dworzec, każdy świadek mógł się domyślić, co w niej jest. Zwłaszcza kiedy kurier podał przesyłkę kierownikowi stacji, a ten otworzył sejf, by ją tam umieścić.

Trzej mężczyźni, którzy właśnie przyjechali na stację, z całą pewnością wiedzieli, co zawiera paczka. Wyjęli rewolwery i z ponurą determinacją ruszyli wzdłuż peronu.

W tym momencie na ich drodze stanęło przeznaczenie w postaci szeryfa Toma McGee. Jednym z jego obowiązków było dogłądanie pociągów i

obserwowanie, kto nimi przyjeżdża i wyjeżdża. W świetle dochodzącym z budynku stacji Tom dostrzegł rewolwery w rękach nieznanym.

Nie wiadomo, czy coś do nich krzyknął, czy po prostu sięgnął po broń, by ich powstrzymać. Tak czy inaczej, w powietrzu rozbrzmiały strzały. Szeryf nie miał szans w starciu z ludźmi, którzy trzymali już gotowe do użycia rewolwery. Bezlitośnie nafaszerowali go ołowiem.

Załatwili szeryfa, ale nie pomyśleli o tym, że w wagonie ekspresowym mogą się znajdować uzbrojeni konwojenci Wells Fargo. Na dźwięk strzałów strażnicy wyskoczyli i otworzyli ogień. Bandyty odpowiedzieli tym samym. W ciągu zaledwie kilku sekund na peronie dworca kolei Santa Fe rozpętała się mała wojna.

Strzały można było usłyszeć w mieście, a w tamtym miejscu i czasie większość ludzi nosiła przy sobie broń. Uzbrojeni mieszkańcy i lekkomyślni kowboje pognali na stację. Szybko się domyślili, co się dzieje, i dołączyli do walki z trzema bandytami, którzy zostali otoczeni na peronie.

Biorąc pod uwagę rozmiary strzelaniny, to cud, że nie zginął nikt oprócz szeryfa. Po kilku minutach wymiany ognia z konwojentami z pociągu i mieszkańcami Canadian trzech bandytów udało się wymknąć, dobiec do swoich koni i pogalopować w dal. Nie wiadomo, czy ruszył za nimi pościg, ale jeśli nawet tak, to nie udało mu się ich schwytać.

Świadkowie strzelaniny zanieśli podziurawione kulami ciało szeryfa Toma McGee do przedsiębiorcy pogrzebowego. Inni mieszkańcy, wstrząśnięci wybuchem śmiertelnej agresji, długo jeszcze stali wokół dworca i rozmawiali. Wydawało się jasne, że bandyci polowali na paczkę, którą zanieśli na stację i umieszczono w sejfie. Kurier z ekspresu potwierdził, że było w niej pięć kopert wysłanych z Kansas City przez George'a Isaacs. Każda zawierała po pięć tysięcy dolarów - razem dwadzieścia pięć tysięcy, tak jak głosiły plotki. Ktoś musiał dojść do wniosku, że Isaacs to szczęściarz. Omal nie stracił fortuny przez własne gadulstwo. Gdyby nie szeryf, który przypadkiem uniemożliwił dokonanie rabunku, całkiem możliwe, że bandyci uciekliby z łupem.

Nie wiadomo, kto zaproponował, żeby otworzyć paczkę i rzucić okiem na pieniądze, ale pomysł przyjęto z entuzjazmem: w końcu nie co dzień mieszkańcy małego miasteczka w północnym Teksasie mieli styczność z taką fortuną. Gdyby szeryf McGee żył, mógłby im w tym przeszkodzić. Było jednak inaczej. Wkrótce rozentuzjuszony tłum mieszkańców Canadian i

cowbojów wpadł do budynku stacji i nakłonił kierownika do otwarcia sejfu, przekonując, że pieniądze będą bezpieczne w obecności tylu uzbrojonych ludzi, którzy właśnie odpędzili rabusiów, by przesyłka mogła trafić do prawowitego właściciela.

Gdy jednak wyjęto koperty z paczki i otwarto, dworzec wypełniły okrzyki zdumienia i gniewu. W każdej kopercie było zaledwie kilka prawdziwych banknotów, a pomiędzy nimi znajdowały się puste papierki wycięte tak, by udawały plik pieniędzy. Szybkie przeliczenie ujawniło, że cała paczka zawiera nie więcej niż 500 dolarów, czyli 50 razy mniej, niż sądzono.

Nietrudno było się domyślić, jak do tego doszło.

George Isaacs nigdy nie wysłał z Kansas City dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Był w zмовie z rabusiami, którzy mieli ukraść paczkę, by Wells Fargo musiało mu zwrócić skradzione rzekomo pieniądze. Był to wyjątkowo bezczelny szwindel... który niemal się udał.

Kiedy wysłano na jego ranczo grupę uzbrojonych ludzi, George Isaacs prawdopodobnie sądził, że przybyli ze smutną wieścią, iż skradziono jego majątek. Zamiast tego Stróże prawa oznajmili mu ponuro, że jest aresztowany pod zarzutem oszustwa, spiskowania i morderstwa, jako że w zaplanowanym przez niego napadzie zginął szeryf McGee. W ten sposób genialny pozornie plan zwrócił się przeciwko swemu twórcy.

Proces Isaacsza przeniesiono do Quanah w Teksasie, by mu zapewnić sprawiedliwy proces, ale nie pomogło to ranczerowi. Został uznany za winnego i skazany na dożywocie, które miał odsiadywać w więzieniu stanowym w Huntsville. Ujawnił też tożsamość współników, którzy rozpoczęli strzelaninę na stacji; byli to: Jim Harbolt (w niektórych relacjach figurujący jako Harbold), Dan McKenzie (występujący również jako Jake McKinzie) i albo George „Red Buck” Waightman. albo „Tulsa Jack” Blake, w zależności od tego, kto opowiada tę historię. Dwaj ostatni przyłączali się czasami do bandy Billa Doolina. Marshale federalni ruszyli na poszukiwanie bandytów i schwytali Harbolta oraz McKenzię. Złoczyńcy zostali zawiezieni do Canadian, osądzeni, skazani i osadzeni w więzieniu. Trzeci współnik kilka lat później zginął gwałtowną śmiercią, i nieważne, czy był nim „Red Buck” czy „Tulsa Jack”, bo obaj stracili życie w strzelaninach ze stróżami prawa.

George Isaacs, inicjator całej intrygi, uciekł z więzienia i przedostał się do Meksyku.

Nie wiadomo, jak potoczyły się jego dalsze losy. Pewne jest jedno: plan wyłudzenia dwudziestu pięciu tysięcy dolarów od West Fargo spalił na panewce. Niestety stało się to kosztem życia porządnego człowieka, szeryfa hrabstwa Hemphill Toma McGee.

CZĘŚĆ PIĄTA



# STRZAŁY W PLECY

---

*Brown, masz cztery szóstki do przebicia*

— Ostatnie słowa Johna Wesleya Hardina



## CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ ZABÓJCĘ JESSEGO JAMESA

**L**atem 1892 roku Creede w Kolorado było ważnym miejscem. Jako prężny ośrodek wydobywania srebra przyciągało ludzi pragnących wydrzeć swoją fortunę z ziemi oraz takich, którzy swoich szans upatrywali w oskubywaniu górników z zarobionych pieniędzy. Ostatnia grupa składała się z hazardystów, oszustów, prostytutek, złodziei, morderców oraz właścicieli saloonów. Jednym z tych ostatnich był Bob Ford.

Piątego czerwca 1892 roku w Creede wybuchł pożar. Pożary były jedną z największych katastrof, jakie mogły spotkać miasteczka Pogranicza -jeśli w porę nie opanowało się ognia, potrafił strawić je doszczętnie. Do tego właśnie doszło w Creede. Większość budynków spłonęła do cna. Ale złoża srebra w okolicznych kopalniach wciąż istniały, więc mimo zniszczeń mieszkańcy nie zamierzali opuszczać miasta. Zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Wśród nich był Bob Ford, który w ciągu kilku najbliższych dni wynajął kawałek ziemi, kupił namiot i na nowo utworzył interes, sprzedając trunki i oferując gry karciane zjeżdżającym do miasta górnikom.

Był postacią znaną, choć niekoniecznie lubianą, nie tylko w Creede, ale na całym Pograniczu. Sławę zawdzięczał temu, że - co z lubością podkreślał - zabił Jessego Jamesa, najślynniejszego bandytę na świecie. Nieco ponad dekadę wcześniej, 3 kwietnia 1882 roku, w St. Joseph w Missouri strzelił Jamesowi w tył głowy, gdy ten stał na krześle, odkurzając obraz w domu, który wynajął pod fałszywym nazwiskiem Thomas Howard. Jako stosunkowo



nowy członek gangu Jessego Ford zdradził go i zabił dla nagrody w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów... której zresztą nigdy w całości nie otrzymał. Zamiast tego wraz ze swoim bratem, obecnym przy zabójstwie, został aresztowany, osądzony i skazany za morderstwo. Ułaskawił go dopiero gubernator stanu Missouri.

Potwornie rozgoryczony faktem, że nie uznano go za bohatera, Ford wyjechał na zachód. Otworzył saloon w Las Vegas w Nowym Meksyku do spółki z innym byłym członkiem gangu Jamesa, Dickiem Liddilem. Nie odniósłszy sukcesu, przeniósł się do Kolorado i otworzył kolejny saloon w Walsenbergu. Chwalił się na prawo i lewo, kim jest i co zrobił, być może w nadziei, że dzięki temu biznes będzie się lepiej kręcił. Jeśli tak sądził, grubo się pomylił. Musiał dorabiać, biorąc pieniądze za pozowanie do zdjęć z ludźmi, którzy chcieli się sfotografować z niesławnym zabójcą Jessego Jamesa. Skory do furii i agresywny pod wpływem alkoholu, wywołał w mieście kilka drobnych strzelanin. Mieszkańcy Walsenbergu z pewnością odetchnęli z ulgą, gdy w końcu spakował manatki i przeniósł się do innego miasta.

W Creede również nie cieszył się sympatią, lecz jego saloon, Creede Exchange, odniósł sukces. Mimo to Bob wciąż pił na umór.

Pewnego razu w stanie głębokiego upojenia wyszedł na ulicę i zaczął strzelać do każdej napotkanej latarni. Mieszkańcy miasta nie zamierzali mu pobłażać - powołali obywatelski komitet, który nakazał mu opuścić miasto do godziny czwartej po południu następnego dnia.



Robert Ford, „brudny maty tchórz, który zastrzelił pana Howarda i złożył do grobu biednegojessego". Zabójca Jessego Jamesa stał się znany, ale nie zdobył bogactwa ani rozgłosu, na które liczył. Przeciwnie - aż do chwili swej śmierci był przedmiotem niemal powszechnej pogardy Ze zbiorów *Denver Public Library, Western History Collection*

Bob może nie należał do najinteligentniejszych ludzi na zachód od Missisipi, ale nie był też totalnym głupcem. Wyjechał najbliższym pociągiem do Pueblo w Kolorado.



Edward O. Kelly pochodził z Tennessee. Do Kolorado przyjechał w roku 1882. Niewiele wiadomo o jego młodości, lecz po przyjeździe do Pueblo pracował jako woźnica tramwaju konnego i policjant. Jego wybuchowość

najlepiej ilustruje fakt, że podczas służby w policji zastrzelił człowieka, którego prowadził do aresztu, tylko dlatego, że ten niechcący nadepnął mu na nogę. Kelly stanął za ten czyn przed sądem, lecz został uniewinniony, co w tamtych czasach zdarzało się nagminnie w podobnych wypadkach.

Choć mieszkał w Pueblo już od dekady, wciąż był kawalerem i żył w wynajmowanym pokoju. Pewnego dnia poznał człowieka, który dopiero co przyjechał do miasta i szukał miejsca do zamieszkania. Nazywał się Bob Ford. Kelly zgodził się dzielić z nim pokój. W trakcie pobytu w Pueblo Ford pisał listy do władz w Creede, by pozwoliły mu wrócić do miasta i na nowo otworzyć saloon. Obiecywał, że dołoży wszelkich starań, by jego złe zachowanie się nie powtórzyło.

Pokonanie oporu mieszkańców trochę trwało i przez cały ten czas Bob mieszkał u Eda Kelly ego. Pewnego ranka odkrył, że zginął mu pierścień z diamentem. Oskarżył współlokatora o kradzież, a ten stanowczo zaprzeczył. Od tamtej pory obaj krzywo na siebie patrzyli i może w końcu skoczyliby sobie do gardeł, gdyby nie to, że Ford wreszcie dostał wiadomość, iż może wrócić do Creede. Ruszył w drogę do miasta ogarniętego gorączką srebra, wciąż wściekły z powodu utraty pierścienia, zostawiając w Pueblo równie rozgniewanego Eda Kellyego.

Jak wielu innych, Kelly w końcu zawędrował w okolice Creede w nadziei na szybkie wzbogacenie się. Nie dokonał tego, a w dodatku został oskarżony o bezprawne przywłaszczenie sobie cudzej ziemi. Roszczenie musiało jednak zostać uznane za bezpodstawne, bo wkrótce potem Ed został marshałem pobliskiego miasteczka Bachelor City.

Nadal marząc o fortunie, przyjechał w końcu do samego Creede i zaszedł na drinka do jednego z saloonów, tętniącego życiem lokalu o nazwie Creede Exchange. Nie wiadomo, czy wiedział, że to własność jego wroga Boba Forda. Nie wiadomo też, który z nich pierwszy zobaczył drugiego. Wiadomo tylko, że kilka minut po wejściu Kelly ego wybuchła awantura.

Ford podszedł do gościa i zażądał oddania broni. Kelly miał przy sobie rewolwer i nóż, z którymi nie zamierzał się rozstawać. Słyszając odmowę, Ford wyjął rewolwer, lecz zamiast strzelić, błyskawicznie uderzył Kelly ego kolbą w głowę i powalił na ziemię. Oszołomionego Eda podnieśli barmani i ochroniarze. Ford gromkim głosem ostrzegł go, by nie ważył się więcej przestąpić progu Creede Exchange. Na koniec upokorzony Kelly został wyrzucony na ulicę.

Wrócił do Bachelor City, ale kipiała w nim nienawiść do Boba Forda. Wkrótce potem wybuchł wspomniany już pożar, który niemal doszczętnie zniszczył miasto. Ford w miejscu strawionego przez ogień saloonu postawił namiot, który miał się stać areną ostatecznej konfrontacji tej dwójki.

W środowe popołudnie 8 czerwca 1892 roku Ed Kelly podszedł do namiotu, w którym mieściło się Creede Exchange. Podjechał do niego jeździec, zatrzymał się i podał mu dwulufową strzelbę. Trzymając ją mocno obiema dłońmi, Kelly wszedł do namiotu, rozejrzał się i dostrzegł Boba Forda stojącego tyłem do niego na drugim końcu. Podszedł do właściciela saloonu i niesławnego zabójcy Jessego Jamesa tak szybko, że nikt nie zdążył go ostrzec. „Witaj, Bob!” - zawołał Ed i uniósł strzelbę.

Ford zaczął się obracać. Nie zdążył. Kelly z bliska wpakował mu w szyję dwie kulki, które rozerwały gardło, przestrzeliły kręgosłup i ukatrupiły ofiarę na miejscu. Bob runął na ziemię. Wokół jego głowy zbierała się kałuża krwi. Wśród okrzyków zgrozy, nie wypuszczając z rąk rozładowanej już strzelby, Ed pochylił się i wyjął z tylnej kieszeni Forda rewolwer. Więcej strzałów jednak nie padło. Kelly obrócił się do wyjścia dokładnie w chwili, w której do namiotu wpadł zastępca szeryfa Dick Plunkett. Ed podał zaskoczonemu stróżowi prawa strzelbę i rewolwer, oddając się w jego ręce.

Na miejscu przeprowadzono szybkie dochodzenie, po którym komisja koronera zdecydowała o aresztowaniu Kelly ego pod zarzutem morderstwa. Zamknięto go w pobliskim pustostanie, a na straży postawiono niejakiego Joe Duvalla. Nikt nie miał pojęcia, że jest on przyjacielem Kelly ego, a co więcej, że to właśnie on był człowiekiem, który przywiózł mu strzelbę.

Zamiast jednak uwolnić towarzysza, Duvall uciekł, przekonany zapewne, że jego udział w zbrodni wkrótce wyjdzie na jaw. Kelly pozostał w areszcie do procesu. 8 lipca 1892 roku uznano go za winnego morderstwa i skazano na dożywocie.

Kolejnych dziewięć lat spędził w więzieniu stanu Kolorado w Canon City. Regularnie pisał listy do gubernatora i urzędu do spraw zwolnień warunkowych z prośbą o skrócenie odsiadki. Musiał być wzorowym więźniem, bo jego prośby popierał naczelnik więzienia. W końcu, w październiku 1902 roku, darowano mu resztę kary i został zwolniony. W późniejszym czasie przytrafiło mu się kilka drobnych zatargów z prawem, lecz do więzienia nie wrócił. Być może uznał za stosowne na dobre zmienić otoczenie, bo w roku 1903 opuścił Kolorado i ruszył na wschód, do Oklahoma

City.

Na jego nieszczęście mieszkał tam niejaki Otto Ewing, który był w Creede Exchange w chwili zabójstwa Forda. Ewing nie omieszkał poinformować władz miasta o przeszłości Kelly ego. Policja uznała Eda za potencjalnego wicherzyciela i miała na niego oko. Kilka razy zatrzymano go za podejrzanę zachowanie, co tylko go rozwścieczyło. Zawsze był wybuchowy i nie wyszło mu to na dobre.

Wieczorem 13 stycznia 1904 roku Kelly wpadł najoe Burnetta z miejscowej policji. Burnett pozdrowił go w miarę uprzejmie, nie wiedząc, że chwilę wcześniej Ed został aresztowany, a następnie zwolniony, co uznał za kolejną złośliwość ze strony stróżów prawa. Na słowa powitania Burnetta coś w Kellym pękło. Wyszarpnął z kieszeni rewolwer i próbował uderzyć nim policjanta.



Jesse Woodson James, być może najsylniejszy bandyta w historii Stanów Zjednoczonych,

Zaskoczony Burnett wykazał się refleksem - chwycił broń i odsunął ją od swojej twarzy. Wtedy Kelly pociągnął za spust. Broń wypaliła tak blisko głowy przedstawiciela prawa, że proch przypalił mu ucho.

Strzelanina przerodziła się w pojedynek siłowy na śmierć i życie: Burnett z całych sił odpychał pistolet, by nie zginąć z ręki oszalałego, strzelającego bez opamiętania Kelly ego. Jakimś cudem żadna z kul go nie trafiła, choć niektóre przeszły tak blisko, że wypaliły mu dziury w płaszczu. Wołał o pomoc, ale żaden z przechodniów nie kwapił się, by zaryzykować własne zdrowie. Co więcej, jeden ze świadków, przyjaciel Kelly ego, na widok szamotaniny wyjął broń i oddał w kierunku Burnetta jeden strzał. Potem najwyraźniej przemyślał sprawę i ulotnił się. Kelly wykorzystał już cały bębenek, lecz irracjonalna wściekłość nie pozwalała mu zaprzestać walki. Atakował policjanta pięściami, nogami i zębami.

W końcu do akcji wkroczył pracownik przedsiębiorstwa kolejowego Frisco. Chwycił Kelly ego za przedramię. To wystarczyło, by Joe Burnett sięgnął po własną broń i strzelił. Trafił Kelly ego dwukrotnie - w nogę i głowę. Druga rana okazała się śmiertelna.

Bob Ford zabił Jessego Jamesa w nadziei na zdobycie fortuny i sławy. Natomiast Ed Kelly, który sam dorobił się pewnego rozgłosu jako zabójca zabójcy Jessego Jamesa, działał pod wpływem irracjonalnej złości i zapalczywego charakteru. Po latach ten sam charakter doprowadził go do zguby. Pochowano go na cmentarzu Fairlawn w Oklahoma City w nieoznaczonym grobie dla biedaków.



## UPEWNIJ SIĘ, ŻE NIE ŻYJE!

**N**a początku lat sześćdziesiątych XIX wieku założona przez Bena Holladaya firma transportowa Overland Stage Company obejmowała swoją działalnością cały kraj, od St. Louis po Kalifornię, z trasami wiodącymi przez Teksas, Nowy Meksyk, Kolorado i Arizonę. Linia dzieliła się na odcinki, a nad każdym z nich czuwał naczelnik dbający o to, aby wszystkie stacje dobrze funkcjonowały i aby dyliżanse były chronione przed Indianami, bandytami i każdym innym, kto chciałby im przeszkodzić.

W Julesburgu, w północno-wschodnim zakątku Kolorado, mieściły się zarówno stacja dyliżansów Overland, jak i placówka handlowa założona dekadę wcześniej przez Jules'a Beniego (czasem jego nazwisko podaje się jako Reni), który użyczył miasteczku swego imienia. Beni wciąż tam mieszkał, nie tylko kierując placówką, ale także pracując jako naczelnik odcinka Overland o nazwie Sweetwater.

Odcinek ciągnął się przez 320 kilometrów najbardziej górzystego i niebezpiecznego terenu na Dzikim Zachodzie, na domiar złego nawiedzanego przez bandy przestępców, które wydawały się robić tam wszystko, co im się żywnie podobało. Dyliżanse na całym tym obszarze nękanie były przez złodziei i podpalaczy, którzy podkładali ogień pod stogi siana, mającego służyć za paszę dla koni. Ben Holladay uważał, że Jules Beni niedostatecznie się stara ukrócić te praktyki. Biorąc pod uwagę fakt, że Beni kupował od swoich znajomych nowe siano po astronomicznych cenach i płacił sownie za zwrot skradzionych koni, człowiek podejrzliwy mógłby się zastanawiać, czy

przypadkiem nie ma on nic wspólnego z tymi kradzieżami i podpaleniami.

Ben Holladay był podejrzliwy, bo inaczej nie odniósłby takiego sukcesu w branży. Wyrzucił Beniego i na jego miejsce zatrudnił inną osobę, by zrobiła porządek z odcinkiem Sweetwater.

Osobą tą był Joseph Albert Slade, który z czasem stał się znany jako „Jack” Slade.



„Jack” Slade urodził się w Carlyle w Illinois w roku 1829. Był synem byłego kongresmena. Podczas wojny z Meksykiem, mając niespełna dwadzieścia lat, służył w armii amerykańskiej. Niespokojny charakter, tak typowy dla wielu ludzi wędrujących w tamtych czasach po Pograniczu, zawiódł go na szlak oregoński. Tam pracował najpierw w firmie zajmującej się transportem towarowym, a z czasem został konwojentem dyliżansów. W tym okresie zaczął się dorabiać reputacji jako obrońca Pogranicza. Świetnie strzelał z karabinu i rewolweru, a do tego potrafił zachować zimną krew w ogniu walki. Pewnego razu, gdy dyliżans, którym jechał, zaatakowało czterech Indian, Slade spokojnie zabił trzech, a ostatniego wziął do niewoli. Potem odciął uszy zabitym i kazał temu, który przeżył, zanieść je wodzowi plemienia wraz z ostrzeżeniem, żeby się nie ważył więcej napadać na dyliżanse. Slade miał mnóstwo tupetu, ale jego umiejętności strzeleckie to usprawiedliwiały.

Oczywiście Jules Beni nie był zadowolony z faktu, że został wyrzucony i zastąpiony przez Slade’a. Materiał dowodowy sugeruje, że Beni rzeczywiście był odpowiedzialny za korupcję i przemoc nękające Sweetwater, więc trudno się dziwić, że nie podobało mu się opuszczanie tak lukratywnego stanowiska. Nim wyjechał z Julesburga, nie omieszkał powygrażać Sladeowi pięścią. Nie wiadomo, czyjego następcą potraktował groźby poważnie, ale biorąc pod uwagę jego brawurę, raczej nie bał się Beniego.

Wkrótce po przejściu przez Slade’a stanowiska naczelnika odcinka Sweetwater spłonął kolejny stóg siana. By go zastąpić, naczelnik kupił siano u miejscowego ranczera. Ten, jako że wcześniej uczestniczył w machlojkach Beniego, nie wiedział, że sytuacja w Julesburgu się zmieniła. Dostarczył jedną z najńędniejszych partii siana, jakie świat kiedykolwiek widział. Slade spojrzął na nią, wyjął rewolwer i kazał pracownikom stacji przykuć ranczera



do kłody. Wyjął zapałkę, potarł o draskę i rzucił na siano. Może nie nadawało się na paszę dla koni, ale paliło się świetnie. Po chwili płomień strzelał wysoko w powietrze. Slade kazał swoim ludziom odczekać jeszcze kilka minut, a potem wrzucić do ognia kłodę z przykutym ranczerem.

Kilka minut później roztrzęsionego oszusta uwolniono i kazano mu wynosić się z tej części kraju, co niezwłocznie uczynił. Nie skończył w płomieniach, lecz niewiele brakowało. Wieść o jego przygodzie rozeszła się lotem błyskawicy, tak jak sobie tego życzył Slade. Od tamtej pory nikt już nie podpalał stogów.

Slade podjął też działania zmierzające do ukrócenia napadów: ścigał bandytów i wieszał ich, kiedykolwiek i gdziekolwiek zostali złapani. Wieść o tym także szybko się rozniosła.

Stary Ben Holladay musiał być zadowolony z roboty, jaką wykonywał w Sweetwater nowy zarządca. Pasażerowie Overlandu także doceniali jego starania. Slade potrafił być czarujący, gdy zechciał - na przykład tamtego dnia, gdy jeden z dyliżansów zatrzymał się i młody pisarz zaprosił go na posiłek i kawę. Ów przybysz określił go potem jako dżentelmena, miłego i spokojnego, choć pewnie mając na uwadze reputację Slade'a jako człowieka wybuchowego i niebezpiecznego, zapewne robił wszystko, by go nie urazić. Pisarzem tym był Sam Clemens, lepiej znany jako Mark Twain, a spotkanie ze Slade'em opisał w książce *Pod gołym niebem*.

Jules Beni wciąż był solą w oku Slade'a. Były zarządca nie popełniał żadnych przestępstw wobec przewoźnika, a przynajmniej nic o nich nie było wiadomo, lecz nie zwrócił kilku koni i mułów należących do firmy. Rozdrażniony Slade w końcu wziął ze sobą jednego człowieka i pojechał na ranczo Beniego w pobliżu Julesburga, by zażądać zwrotu zwierząt.

Był to jeden z nielicznych momentów, w których Slade stracił czujność, a właśnie tego dnia zdecydowanie powinien był ją zachować. Po kłótni z Benim odwrócił się do niego plecami. Beni wyszarpnął sześciostrzałowiec i strzelił. Najwyraźniej nie należał do ludzi, którzy noszą rewolwer z kurkiem spoczywającym na pustej komorze, bo podobno wpakował sześć kulek w ciało Slade'a w czasie krótszym niż ten, który zabiera opowiedzenie o tym.

Jakimś cudem Slade nie upadł mimo targających jego ciałem pocisków. Zdołał uskoczyć za róg domu Beniego. Ten ruszył za nim, przebiegając przez wnętrze domostwa, by zabrać stamtąd strzelbę. Dopadł Slade'a i wystrzelił z obu luf. Nie wiadomo, ile śrutu trafiło zarządcę, ale zalany krwią w końcu

upadł. Biorąc pod uwagę odniesione rany, powinien już nie żyć. Triumfujący Beni kazał przedstawicielowi firmy, który z nim przyjechał, zabrać ciało z rancza i pochować.

Legenda głosi, że w tym momencie Slade, który wbrew pozorom wciąż oddychał, zdołał wstać i zagrozić Beniemu, że pożyje dość długo, by zawiesić sobie jedno z jego uszu na łańcuszku od zegarka. W rzeczywistości jest to mało prawdopodobne, zważywszy na jego stan.

Z pewnością natomiast towarzysz Slade'a wciągnął ciężko rannego naczelnika na konia i zawiózł do Julesburga, gdzie lekarz zdołał usunąć z ciała część kul, choć nie wszystkie. Kilka pozostało w nim na zawsze.

Slade uparcie trzymał się życia i kiedy doszedł do siebie na tyle, by móc podróżować, wyruszył dyliżansem do Illinois z nadzieją na kontynuowanie leczenia. Wytrzymałość pozwoliła mu całkowicie odzyskać siły. Wówczas Ben Holladay poprosił go o powrót do Kolorado. W Sweetwater było spokojnie, ale znajdujący się na zachód od niego odcinek Rocky Ridge nękały teraz kłopoty podobne do tych, którym Slade położył kres w Julesburgu. Nie bez kozery: Jules Beni, dowodzący teraz oddziałem przestępczym, przeniósł swoją działalność w tamte rejony. „Jack” Slade nie zamierzał zrezygnować z okazji do wyrównania rachunków ze starym wrogiem.

W tym czasie ożenił się z energiczną młodą damą o imieniu Virginia, która - jeśli wierzyć relacjom - posługiwała się sześciostrzałowcem niemal równie dobrze jak jej mąż i nie miała oporów przed jego używaniem. Kiedy kilku bandytów pojmało Slade'a na początku jego pracy w Rocky Ridge, ten poprosił o ostatnie widzenie z żoną. Bandyci się zgodzili i wezwali ją do chatki, w której był więziony. Nie przyszło im do głowy, że kobieta przemyci pod spódnicą kilka sztuk broni. Ledwie przeszła przez próg, rozpoczęła kanonadę. Slade chwycił jeden z rewolwerów i dołączył. Wkrótce para wyszła z chaty bez szwanku, pozostawiając za sobą trupy bandytów. Nie wiadomo, czy ta opowieść jest prawdziwa, ale Virginia Slade ponad wszelką wątpliwość istniała i była groźna.

Slade wrócił do rozprawy z Julesem Benim, którym musiała wstrząsnąć wieść, że jego przeciwnik wrócił do Kolorado. Slade najął do pomocy kilku twardzieli i cała grupa ruszyła na poszukiwanie Beniego. Wkrótce przestępca został schwytany i zawieszony na stację służącą jako centrala oddziału Rocky Ridge, nazwaną na cześć żony naczelnika Virginia Dale. Slade kazał go przykuć do pobliskiego słupa i zostawił tam w niepewności na całą noc.

Różne myśli musiały krążyć Beniemu po głowie. Z całą pewnością żałował, że nie upewnił się, iż Slade nie żyje, gdy naszpikował go ołowiem na ranczo. Każdy normalny człowiek wyzionąłby ducha. Jakim cudem temu udało się przeżyć?

Może to żądza zemsty trzymała go przy życiu, mimo że odniósł bolesne rany. Z pewnością to ona kazała mu zostawić Beniego przykutego do pała na całą noc. Wczesnym rankiem Slade wyszedł z budynku stacji z rewolwerem w ręku. Stał przed słupem, uniósł broń, wycelował starannie i wypalił.

Kula wbiła się w ramię Beniego, raniąc go ciężko, lecz nie śmiertelnie.

Slade odwrócił się i wrócił do budynku, pozostawiając rannego. Zjadłszy śniadanie, wyszedł, zadał dawnemu kompanowi kolejną ranę i odszedł - zapewne z uśmiechem.

Ta powolna, brutalna zabawa trwała cały dzień. W końcu, późnym popołudniem, Jules Beni wyzionął ducha, czy to z powodu upływu krwi, czy wstrząsu. Gdy to nastąpiło, Slade dobył noża i odciął zmarłemu oboje uszu. Do końca życia nosił je przy sobie na pamiątkę.

Z całą pewnością Jules Beni po strzelaniu na ranczo powinien był się upewnić, że jego ofiara nie żyje.



Choć „Jack” Slade walczył z bandytami, zaprowadzając prawo i porządek na dwóch odcinkach linii dylizansowej Overland, sam w sobie stanowił pewne zagrożenie dla pokoju. Skory do agresji nawet na trzeźwo, stawał się jeszcze bardziej nieobliczalny, gdy sobie wypił. Kiedy w pijackim szale zdemolował sklep z zaopatrzeniem dla wojska w Fort Halleck, armia poskarżyła się Benowi Holladayowi. Po raz kolejny człowiek, który miał pilnować porządku, sam zaczął bałaganić, gdy już wykonał swoją robotę.

Holladay zwolnił Slade’a.

„Jack” prawdopodobnie czuł żal, ale nie wszedł na drogę bezprawia i nie mścił się na firmie jak jego poprzednik. Zamiast tego wraz z żoną przeniósł się do świetnie prosperującego górniczego miasteczka Virginia City w Montanie. Nie interesowało go jednak górnictwo. Przez pewien czas próbował się jako ranczer, a później, mając już doświadczenie w podobnej pracy, został zarządcą prywatnej drogi. Odpowiadał za pobór opłat, konserwację nawierzchni i

ochronę bezpieczeństwa podróżnych. Większość pracy wykonywała jednak Virginia, podczas gdy Slade spędzał czas na hazardzie i piciu w miejscowych barach. Popełnił niejedno szaleństwo - galopował konno od jednego do drugiego końca ulicy, wjeżdżał do saloonów, strzelał do okien i lamp ulicznych. Ilekroć sobie wypił, musiał coś wywinąć. Obwiniano go również o serię rabunków dokonanych w okolicy, choć *de facto* nie miał z nimi nic wspólnego.

W miasteczkach górniczego boomu nie obowiązywało oficjalne prawo, więc mieszkańcy tworzyli własne i powoływali straż obywatelską do jego pilnowania. Gdy strażnicy zaciągnęli Slade'a przed górniczy sąd, ten wyszarpnął rewolwer, strzelił do sędziego i się ulotnił. W oczach większości sąsiadów „Jack” Slade był teraz złym człowiekiem, a o czasach, gdy służył prawu i porządkowi, zapomniano, choć upłynęło zaledwie kilka lat. Wkrótce potem, 10 marca 1864 roku, po kolejnym incydencie, w którym „Jack” zaatakował mleczarza, pojmała go kolejna grupa straży obywatelskiej i zdecydowała, że powinien zawisnąć.

Jeden z przyjaciół pogalopował do budki, w której Virginia pobierała opłaty drogowe. Na wieść o pojmaniu męża kobieta osiodłała konia i po raz kolejny ruszyła ratować go z tarapatów. Nim jednak dotarła na miejsce, Jackowi” zarzucono na szyję pętlę, postawiono go na skrzyni i przymocowano linę do belki nad bramką korralu. Gdy przywódca straży usłyszał, że zbliża się żona Slade'a, przyspieszył działania: być może słyszał opowieść o tym, jak w Kolorado małżonkowie zmiotli z powierzchni ziemi całą bandę. Prawdopodobnie, jak to często bywa, z czasem historyjka jeszcze nabrała rumieńców.

Virginia wciąż była w drodze, gdy spod nóg jej męża wykopano skrzynię i pętla zacisnęła się wokół jego szyi. Slade miał wśród strażników przyjaciół i niejeden z nich uronił łzę. Gdy żona dotarła na miejsce, mogła jedynie wpaść w szal i obiecać zabójcom, że ciało Jacka” nie spocznie wśród nich. Zamówiła specjalną wyłożoną cynkiem trumnę, wypełniła ją whisky która miała konserwować ciało, i trzymała w domu w Virginia City, póki pogoda się nie poprawiła i śnieg na przełęczach nie stopniał wystarczająco, by możliwa była podróż. Wtedy Virginia wynajęła kryty wóz i zawiozła męża do Salt Lake City, by tam go pochować. Wkrótce potem wyszła za jednego z jego przyjaciół. Po kilku latach para się rozwiodła i Virginia przeniosła się do Denver. Jej dalsze losy nie są znane.

Dokładne miejsce pochówku Jacka” Slade’a w Salt Lake City przez wiele lat owiane było tajemnicą. W końcu odkryto, że na nagrobku i w rejestrach figuruje jako I.A. Slade zamiast J. A. Slade. Choć nigdy nie popełniał przestępstw, o które go czasem pomawiano, zostawił po sobie prawdopodobnie zasłużoną reputację jednego z najgroźniejszych rewolwerców Dzikiego Zachodu.

Ponadto zawsze będzie pamiętany jako człowiek, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi powinien był zginąć z rąk Jules’a Beniego, a zamiast tego przeżył i okrutnie zemścił się na wrogu.



## TAJEMNICZA ŚMIERĆ PATA GARRETTA

**F**urmanka toczyła się drogą na zachód z Las Cruces w Nowym Meksyku do osady o dziwacznej nazwie Organ. Wiozła dwóch mężczyzn, podczas gdy trzeci jechał konno obok. Był 1 marca 1908 roku - kończyła się zima, ale w dolinie Tularosa, na południe od wiecznie wędrujących rozległych białych wydm, wciąż panował chłód.

Choć od kilku już lat trwał wiek XX, rzekomo wyznaczający nową epokę, ta część kraju wciąż była dzika i słabo zaludniona, jakby zaledwie chwila minęła od czasu okrutnej wojny o hrabstwo Lincoln sprzed trzydziestu lat. Wielu mieszkańców wciąż pamiętało tamten krwawy konflikt. Niektórzy nawet w nim uczestniczyli - na przykład jeden z mężczyzn jadących tego dnia drogą z Las Cruces do Organ.

Jeździec i pasażer furmanki prowadzili ożywioną, niemal gniewną dyskusję. Gdy zbliżali się do rzeczki Alameda, woźnica pociągnął za lejce i zatrzymał pojazd na poboczu, po czym zeskoczył z kozła i odszedł nieco od drogi, by załatwić potrzebę fizjologiczną. Po chwili pasażer zsunął się sztywno z wozu i poszedł w jego ślady. Był najstarszy z całej trójki, wysoki, kościsty, z gęstym wąsem i przeszywającym spojrzeniem. Miał miejski garnitur i kapelusz, ale już na pierwszy rzut oka można było poznać, że jest człowiekiem Zachodu, a nie jakimś mięczakiem ze Wschodu. Cieszył się sławą w tych stronach, ale sława ta na zawsze związana była z kimś innym - kimś, kto świecił jeszcze jaśniej; młodym człowiekiem, którego gwiazda

zgasła jakieś trzydzieści lat wcześniej właśnie dzięki temu chudzielcowi, który teraz odszedł na bok i rozpiął spodnie, by się wysikać.

Nawet legendy muszą odpowiadać na zew natury. Nawet Pat Garrett, zabójca Billy ego Kida, nie był z tego zwolniony...



Zanim został człowiekiem Zachodu, był Południowcem. Urodził się w Alabamie 5 czerwca 1850 roku, a wychował w Luizjanie, dokąd kilka lat później przeniosła się jego rodzina. Po zakończeniu wojny secesyjnej, w czasach rekonstrukcji, na całym Południu żyło się ciężko. Rodzina Garrettów miała kiedyś plantację w parafii Claiborne, ale oczywiście utraciła ją podczas wojny. W roku 1869 Pat postanowił wyruszyć w świat i znaleźć miejsce oferujące większe perspektywy młodemu, ambitnemu mężczyźnie.

Jak wielu innych, wybrał Teksas.

Były to czasy wielkich polowań na bizona, czasy olbrzymich stad kudłatych stworzeń zapelniających równiny północnego Teksasu po horyzont w każdym kierunku. Miliony zwierząt stanowiły nieodpartą pokusę dla myśliwych ze względu na swoje cenne skóry. Pat Garrett spróbował szczęścia w tym fachu. Praca łowcy bizonów była ciężka i brudna, ale hartowała. Garrett się w nią wciągnął i odniósł sukces, lecz pozornie niezmiernie stada z czasem zostały tak przetrzebione, że biznes przestał się opłacać. Wtedy Pat został kowbojem na ranczu LS, położonym nad rzeką Canadian niedaleko miasteczka Tascosa, które stało się znane jako kowbojska stolica świata. Tascosa była miastem otwartym, gdzie mogło się wydarzyć prawie wszystko i dokąd przybywali kowboje, łowcy bizonów, bandyci, hazardziści oraz inne barwne postacie Dzikiego Zachodu, by zaszaleć.

Ileokroć Garrett przyjeżdżał doTascosy, udawał się do saloonu Ryana w Hogtown, miejscowej dzielnicy czerwonych latarni.To samo miejsce upodobała sobie grupa kowbojów przybywających z Nowego Meksyku.



Strażnik prawa na Pograniczu i ranczer Pat Garrett w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, ponad dekadę po zdobyciu sławy jako zabójca Billy'ego Kida ZE zbiorów *Denver Public Library, Western History Collection*

---



Określenie „kowboje” jest tu nieco na wyrost - w rzeczywistości byli to złodzieje, którzy kradli bydło magnatowi z Nowego Meksyku Johnowi Chisumowi i sprzedawali je ranczerom w północnym Teksasie. Trzeba jednak przyznać, że postępowali na swój sposób uczciwie: sięgali również po zwierzęta wypasane przez ranczerów z Teksasu i odsprzedawali Chisumowi. Możliwe, że ta sama krowa wędrowała tam i z powrotem kilkakrotnie w ciągu kilku miesięcy.

Był wśród nich młody człowiek o ujmującym, szerokim uśmiechem odsłaniającym wysunięte do przodu zęby. Urodzony na nowojorskim Brooklynie jako Henry William McCarty, przyjechał na Zachód z bratem i owdowiałą matką. W Nowym Meksyku pani McCarty ponownie wyszła za mąż za kowala o nazwisku Antrim. Choć ojczym oficjalnie nie adoptował chłopaka, od tamtej pory Henry McCarty zaczął używać nazwiska William Antrim. Później, zadając się z grupą kowbojów i złodziei bydła, z niewiadomej przyczyny zaczął się przedstawiać jako William H. Bonney, choć lepiej znany był jako Billy Bonney.

A jeszcze lepiej jako Billy Kid.

Na tym etapie życia Pat Garrett i Billy Kid ledwie się znali. Czasem spotykali się u Ryana, by razem popić i pograć w karty, po czym rozchodzili się w różne strony. Po drugiej stronie granicy, w Nowym Meksyku, narastał już konflikt pomiędzy frakcją McSweena i Tunstalla a frakcją Murphy ego i Dolana, który stał się zarzewiem wojny o hrabstwo Lincoln. Garrett nie miał z nim nic wspólnego, ale wkrótce przejechał przez granicę jako członek grupy teksańskich kowbojów wysłanych przez ranczerów, by odbić kilkaset sztuk bydła z ran- cza Jingle Bob, należącego do Johna Chisuma.

Wyprawa ta mogła stać się iskrą, która roznieci wojnę, ale Chisum jakimś cudem przekonał teksańskich kowbojów, by przeszli na jego stronę, co na pewien czas odroczyło wybuch agresji. Pat Garrett, który nie odegrał później bezpośredniej roli w wojnie o hrabstwo, a jedynie w jej następstwach, pozostał w Nowym Meksyku i osiadł w Fort Sumner, próbując sił jako ranczer. Ożenił się z Apolinarią Guitierrez, z którą pozostał do końca swego długiego i bujnego życia.

Drugiego listopada 1880 roku popierany przez Johna Chisuma i cieszący się opinią kandydata „prawa i porządku” Garrett został wybrany na szeryfa hrabstwa Lincoln. Ponieważ do czasu rozpoczęcia kampanii nic nie wskazywało na to, by miał jakieś ambicje polityczne, możliwe, że jego

kandydatura była pomysłem Chisuma. Twardy i nieustępliwy ranczer chciał spokoju w hrabstwie, by móc bez przeszkód zarządzać swoim biznesem. Od kilku miesięcy hrabstwo było areną walki dwóch frakcji. Billy Kid, pracownik i sojusznik zamordowanego Johna Tunstalla, znajdował się w centrum krwawej batalii. Choć wielka strzelanina w domu Alexandra McSweena z grubsza położyła kres konfliktowi, Billy i niektórzy z jego przyjaciół pozostawali na wolności. Nowo wybrany szeryf zebrał grupę pościgową i ruszył na ich poszukiwania.

Po kilku bezskutecznych próbach w końcu udało im się otoczyć Billy ego i jego przyjaciół, którzy zabarykadowali się w starym kamiennym domu w Stinking Springs niedaleko Fort Sumner. Wywiązała się bitwa, w której zginął jeden z kompanów Billy ego, Charlie Bowdre, a sam Billy w końcu się poddał. Kolejnych kilka miesięcy spędził w więzieniu, snując nieudane plany ucieczki i pisząc listy do gubernatora terytorium Lew Wallace'a z prośbą o ułaskawienie w zamian za współpracę. Wszystko na nic: w kwietniu 1881 roku, podczas rozprawy w Mesilli, Billy został uznany za winnego morderstwa i skazany na śmierć przez powieszenie. W celu wykonania wyroku zawieszono go z powrotem do Lincoln.

Do egzekucji jednak nie doszło, bo 28 kwietnia, kiedy Garrett podróżował w sprawach służbowych, Billy Kid wy dostał się z celi na drugim piętrze więzienia w Lincoln, zabijając przy tym zastępców szeryfa, Jamesa Bella i Boba Olingera. Znow był wolny i po raz kolejny Pat Garrett, jego stary znajomy z teksańskich czasów, stanął na czele pościgu.

Jego rozstrzygnięcie nastąpiło 14 lipca 1881 roku, gdy Pat i jego dwaj zastępcy przyjechali do domu Pete'a Maxwella, znajomego Kida. Chodziły plotki, że Billy czasem go odwiedza, więc szeryf postanowił je sprawdzić. Zastępcy siedli na krzesłach na ganku domu z suszonej cegły, w pobliżu którego wisiało pół tuszy wołowej, Garrett zaś wszedł do sypialni, gdzie leżał rozparty na łóżku Maxwell. Kiedy szeryf z nim rozmawiał, zza rogu domu wyszedł drugi mężczyzna i stanął na ganku. Był bez butów - najwyraźniej nie spodziewał się odwiedzin - i trzymał w ręku rzeźnicki nóż, prawdopodobnie chcąc sobie uciąć kawałek półtuszy. Odezwał się do szeryfów po hiszpańsku, biorąc ich pewnie za meksykańskich robotników z rancza Maxwella, po czym wszedł przez drzwi do sypialni.

Tymczasem w środku Garrett przysiadł na skraju łóżka i rozmawiał z Maxwellem. Nagle w drzwiach stanęła jakaś postać. **Quién es?** („Kto to?”) -

zapytał po hiszpańsku przybysz.

Garrett rozpoznał głos, a może nawet sylwetkę mężczyzny stojącego w drzwiach na tle rozgwieżdżonej nocy. Wyszarpnął rewolwer i oddał dwa strzały. Pierwszy pocisk trafił w serce. Drugi chybił, prawdopodobnie dlatego, że śmiertelnie ranny bandyta już upadał na podłogę. W ten sposób krótka, lecz intensywna kariera Billy ego Kida dobiegła końca.

Pat Garrett natomiast wciąż żył i w miarę rozprzestrzeniania się wieści o śmierci Billy ego stawał się coraz popularniejszy... choć nie tak popularny jak człowiek, którego zastrzelił na ganku domu Pete'a Maxwella.

Rok później ukazała się książka sygnowana nazwiskiem Garretta: *The Authentic Life of Billy the Kid* („Prawdziwe życie Billy ego Kida”). W rzeczywistości napisał ją w imieniu Pata jego przyjaciel Ash Upson i choć reklamowana była jako prawdziwa historia życia i śmierci Kida, trudno ją taką nazwać. Stanowiła raczej bezczelną kombinację prawdy i fikcji obliczoną na zainteresowanie osób postrzegających Kida jako postać dzielną i romantyczną. Garrett prawdopodobnie liczył, że zbije na niej fortunę.

Przeliczył się. Publikacja okazała się fiaskiem, choć po latach, gdy Pata nie było już na świecie, miała zostać wznowiona i pozostawać na rynku przez wiele lat. Garrett zastanawiał się, czy ubiegać się o drugą kadencję na stanowisku szeryfa, lecz w końcu postanowił spróbować sił na wyższym szczeblu polityki. Ubiegając się o stanowisko radnego Terytorium Nowego Meksyku, będące ekwiwalentem senatora stanowego, znalazł się w środku tak zacieklej i nieprzebiegającej w środkach kampanii, że w konfrontacji z jednym ze zwolenników swego rywala stracił cierpliwość, wyszarpnął rewolwer i przyłożył mu kolbę w głowę.

Przegrał wybory. Na domiar złego miał problemy z wyegzekwowaniem nagrody należnej mu za zabicie Billy ego Kida. Przygnębiony i bez pieniędzy wrócił do północnego Teksasu, by pracować jako detektyw i strażnik na ranczu LS, gdzie niegdyś - zanim wyjechał do Nowego Meksyku i został sławny - był prostym kowbojem. Wyobrażał sobie, że będzie łapał złodziei bydła; okazało się, że pracodawca chciał raczej, by ich zabijał. Niezadowolony Garrett zrezygnował i wrócił do Nowego Meksyku.

Po krótkim okresie zaangażowania w plan utworzenia systemu nawadniania w dolinie rzeki Pecos, z którego nic nie wyszło, raz jeszcze wrócił do Teksasu i kupił ranczo w pobliżu miasteczka Uvalde. Spędził tam kilka lat, żyjąc spokojnie do roku 1896, kiedy to zniknięcie i domniemane

zamordowanie pułkownika Alberta J. Fountaina skończyło się powrotem Garretta do Nowego Meksyku i kolejną falą sławy.

Pułkownik Fountain był prawnikiem, dziennikarzem i politykiem, od lat skonfliktowanym ze swoim politycznym rywalem Albertem Baconem Fallem. Niezwykłym zrzędzeniem losu był także obrońcą Billygo Kida podczas jego procesu w Mesilli, w którym ostatecznie go skazano. Kiedy Fountain i jego dziewięcioletni syn zaginęli po złożeniu przez pułkownika zeznań przed ławą przysięgłych w sprawie domniemanej nielegalnej działalności A.B. Falla, gubernator terytorium wezwał Patę do Nowego Meksyku. Powszechnie sądzono, że Fali zlecił to zabójstwo, lecz gubernator mianował Garretta detektywem i nakazał mu szczegółowo zbadać sprawę. Ponadto, po tym jak poprzedniego szeryfa zmuszono do dymisji, Pat został ogłoszony szeryfem hrabstwa Dona Ana. Dzięki temu jego śledztwo nabrało bardziej oficjalnego charakteru.

Przyjrząwszy się sprawie, Garrett wytypował jako najbardziej prawdopodobnych sprawców dwóch ranczerów: Olivera Lee i Jima Gillilanda. Uważał, że działali na zlecenie Falla. Choć ciała Fountaina i jego synka nigdy nie odnaleziono, wszyscy byli przekonani, że nie żyją. Lee i Gilliland uciekli, a Garrett utworzył grupę pościgową i ruszył za nimi. Po krwawej strzelaninie podejrzani znów zdołali się wymknąć. W końcu jednak oddali się w ręce prawa, być może wskutek zapewnień Falla, że żadna ława przysięgłych ich nie skaze. I rzeczywiście tak się stało. Zostali oczyszczeni z zarzutów, a zniknięcie Fountaina i chłopca pozostało tajemnicą... do dziś.

Zdegustowany takim obrotem sprawy Pat Garrett odsłużył resztę kadencji na stanowisku szeryfa, po czym wrócił do Teksasu.

Niepostrzeżenie nadszedł XX wiek. W roku 1901 Garrett złożył podanie o pracę inspektora celnego w El Paso w Teksasie. Prezydent Theodore Roosevelt dał mu ją, wywołując falę sprzeciwu. Krytycy Patę wskazywali, że poza jednym wyjątkiem nigdy nie działał wiele jako stróż prawa. Jego pierwszy i ostatni powód do sławy - zabicie Billygo Kida - nie dawał mu kwalifikacji do pełnienia funkcji inspektora celnego.

Teddy Roosevelt wytrwał przy swoim zdaniu i Garrett pracy nie stracił. Działania podejmowane przez niego w czasie pełnienia stanowiska budziły jednak wiele kontrowersji i wszystko wskazuje na to, że istotnie nie był zbyt dobrym inspektorem: zamiast siedzieć w biurze, najchętniej spędzał czas na hazardzie i odwiedzaniu przyjaciół w licznych saloonach El Paso. Kiedy w

roku 1905 jego kadencja upłynęła, prezydent nie zdecydował się jej przedłużyć.

Po raz kolejny rozczarowany Garrett wrócił z rodziną do Nowego Meksyku i założył ranczo w Las Cruces w górach San Andres. Był coraz starszy, ale wciąż w niezłej formie. Tym razem jednak interes szedł kiepsko. Garrett popadł w długi, zastawił ziemię i nie mógł spłacić hipoteki. Jego zobowiązania wykupił ranczer z sąsiedztwa, W.W. Cox. Wynajął kowbojów i wysłał ich na ranczo Garretta, by odebrali mu bydło w ramach spłaty. Pat musiał przełknąć gorzką pigułkę. Cox nie pozbawił go jednak ziemi, którą Garrett w roku 1907 wydzierżawił dwóm miejscowym kowbojom -Wayneowi Brazelowi i Printowi Rhode'owi. Sądził, że zamierzają hodować tam bydło, ale oni przywieźli zamiast tego stado kóz. Garrett był wściekły, lecz i tym razem nie mógł nic zrobić.

Możliwe wyjście z kryzysu objawiło się nieoczekiwanie pod postacią Jima Millera, zwanego „Diakonem” (lub „Diakonem Jimem”) - słynnego rewolwerowca, który w przerwach między zabijaniem wrogów sam zajmował się hodowlą. Miller i jego krewny Carl Adamson powiedzieli Garrettowi, że kupią jego ranczo pod jednym warunkiem: musi się pozbyć tych przeklętych kóz. Tyle że Brazel, który zajmował się hodowlą w imieniu swoim i Rhode'a, nie chciał o tym słyszeć.

Rozpaczliwie potrzebujący pieniędzy Garrett poprosił Brazela i Carla Adamsona, by razem z nim udali się do Las Cruces, przedyskutowali sprawę i postarali się znaleźć jakieś rozwiązanie. Pojechali furmanką Adamsona. Garrett siedział z nim na koźle, a Brazel jechał konno obok. Był 1 marca 1908 roku. Gdy furmanka znajdowała się mniej więcej sześć kilometrów na wschód od Las Cruces, niedaleko strumienia Alameda, Adamson zatrzymał się za potrzebą, a Garrett poszedł w jego ślady.

Gdy stali na poboczu, padł strzał. Kula trafiła Garretta w tył głowy. Przewrócił się do przodu, lecz w locie jego ciało się obróciło i wylądowało na plecach. Prawdopodobnie był już martwy, więc nie poczuł, jak druga kula wbija mu się w brzuch.

Człowiek, który zabił Billy'ego Kida, teraz sam zginął. Pytanie brzmi - z czyjej ręki?

Carl Adamson twierdził, że gdy usłyszał strzały, odwrócił się i zobaczył Wayne'a Brazela siedzącego na koniu i trzymającego w ręku rewolwer, z którego lufy unosił się dym. Obaj mężczyźni pojechali do Las Cruces i Carl

Adamson opowiedział tę wersję, a Brazel oddał się w ręce prawa. Utrzymywał, że strzelił w samoobronie, znając reputację Garretta i wiedząc, że w furgance znajduje się strzelba. Zeznał, że się kłócili, więc się przestraszył, że Garrett chwyci za broń i go zastrzeli. Wolał nie czekać i sam pozbył się przeciwnika.

Historyjka wydaje się mało wiarygodna, ale gdy nieco ponad rok później Brazel stanął przed sądem, bronił go nie kto inny jak Albert Bacon Fali, stary adwersarz pułkownika Fountaina. Ponadto ława przysięgłych składała się z mieszkańców hrabstwa, w którym nieformalną władzę dzierżył zaprzysięgły wróg Garretta, W.W. Cox. Nic zatem dziwnego, że Brazela oczyszczono z zarzutu zamordowania byłego stróża prawa, przyjmując, że działał w samoobronie.

Jeszcze przez wiele lat na temat śmierci Garretta krążyły legendy. W jednych za spust pociągał Jim „Diakon” Miller, w innych Carl Adamson, Print Rhode, a nawet sam Cox. Praktycznie jedyną osobą, której nie obwiniano o to zabójstwo, był duch Billy ego Kida powstały z grobu. (Krąży mnóstwo kontrowersji wokół tego, czy Pat Garrett rzeczywiście zabił Billy'ego, czy też Billy żył długo pod przybranym nazwiskiem w innym miejscu, ale to już temat na inną opowieść). Współcześni Garrettowi byli przekonani, że ktokolwiek pociągnął za spust, zrobił to na życzenie i za pieniądze W.W. Coksa. Choć nie ma stuprocentowej pewności, kto odpowiada za tę śmierć, najbardziej prawdopodobna jest, jak zwykle, najprostsza wersja: zastrzelił go Wayne Brazel z powodów, które sam przytoczył: pod wpływem kłótni, czy to ze strachu, czy w złości. Po uniewinnieniu Brazel gdzieś zniknął i nie wiadomo, jakie były jego dalsze losy. W ten sposób śmierć Pata Garretta, zabójcy Billy ego Kida, okryła się jeszcze jedną warstwą tajemnicy.



## ZASŁUŻONY KONIEC JOHNA WESLEYA HARDINA

**G**złowiek stojący przy barze w saloonie Acme w El Paso 19 sierpnia 1895 roku niegdyś był przystojny, lecz czas i trudy życia odcisnęły na nim widoczne piętno.

Pozostał jednak na swój bandycki sposób atrakcyjny. Miał przerzedzone ciemne włosy i gęste czarne wąsy. Ubrany był dość niedbale. Potrzęsnał trzymanymi w dłoni kośćmi, kołysząc się lekko pod wpływem wypitego trunku. Pod tym względem ów gorący letni wieczór nie różnił się od innych.

Mężczyzna przy barze pił bez przerwy, dzień w dzień. Był prawnikiem, ale rzadko miewał do czynienia z prawem, a jeśli nawet, to kiepsko sobie z nim radził. Pić natomiast potrafił - i to jak! Nie była to jego jedyna umiejętność. Potrafił też zabijać. Swego czasu był w tym najlepszy w Teksasie, a może nawet na całym Zachodzie. Najlepszy lub najgorszy - w zależności od punktu widzenia.

Nazywał się John Wesley Hardin.



Urodził się 26 maja 1853 roku w Teksasie w rodzinie metodystów. Jego ojciec, kaznodzieja, nadał mu imię na cześć założyciela swego Kościoła, Johna Wesleya. Pewnie liczył na to, że młody Wes - bo tak nazywano chłopca

- pójdzie w jego ślady. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna, ale przecież nikt nie zna przyszłości. Na ogół to dobrze - prawdopodobnie w przypadku Johna Wesleya Hardina również.

Już jako dwunastolatek różnił się nieco od innych dzieci. Łatwiej tracił panowanie nad sobą i stawał się wówczas bardzo niebezpieczny. Pewnego razu inny chłopak okazał się na tyle nierozważny, by podczas kłótni zagrozić mu nożem. Wes błyskawicznie wyjął swój nóż i dwukrotnie ugodził przeciwnika, na szczęście nie śmiertelnie. Ponieważ tamten był uzbrojony, uznano, że Hardin działał w samoobronie. Było to pierwsze, lecz nie ostatnie takie zdarzenie.

Czasy rekonstrukcji to okres okrutnego wyzysku i gnębienia Teksaszczyków przez dyktatorski niemal rząd przysyłanych z Północy *carpetbaggers* (nazwanych tak od toreb, z którymi podróżowali, tzw. *carpetbags*<sup>[10]</sup>) i znienawidzonego wojska Unii. Pierwszą ofiarą śmiertelną Wesa Hardina był oswobodzony niewolnik, który miał z nim jakiś zatarg i zaatakował go pałką. Gdy Wes przejeżdżał obok konno, mężczyzna schwycił lejce jego konia i uniósł pałkę, by uderzyć chłopaka w głowę. Wtedy piętnastoletni Wes wyszarpnął dużego colta kaliber czterdzieści cztery z zamkiem kapiszonowym i strzelił trzykrotnie. Śmiertelnie raniony mężczyzna padł na ziemię.

Biorąc pod uwagę sytuację polityczną, Wes uznał, że nie może liczyć na sprawiedliwy proces, nawet jeśli sam uważał swój czyn za uzasadniony. Zamiast oddać się w ręce wątpliwej sprawiedliwości, uciekł. Rodzina Hardinów miała krewnych w różnych punktach środkowego Teksasu, więc nietrudno mu było znaleźć schronienie. Ilekroć wojsko było bliskie schwytania go, jakiś krewny zdążał go uprzedzić i pościg zaczynał się od nowa.

Wes jednak lubił pakować się w kłopoty. Skoro armia go szukała, on poszedł szukać armii, by dostarczyć jej wiadomość. Miała ona formę ołowiu, którym poczęstował trzyosobowy patrol wysłany w ślad za nim. Wciąż był nastolatkiem, ale strzelał, jakby nauczył się tego już w kołysce. W zacieklej wymianie ognia zabił całą trójkę.

Później wszystko szło gładko (choć biorąc pod uwagę jego wcześniejsze wyczyny, trudno powiedzieć, by kiedykolwiek było inaczej). Choć był poszukiwany, często pojawiał się na gonitwach konnych w różnych punktach Teksasu. Uwielbiał konie. Amatorzy wyścigów byli ludźmi krewkimi, nic



więc dziwnego, że Wes popadał w zatargi z niektórymi z nich.

Kolejne dwie strzelaniny dodały do jego życiorysu kolejne trupy. Zawsze był przekonany, że ma rację: świadczy o tym autobiografia, którą napisał pod koniec życia. Jakkolwiek było naprawdę, do roku 1870 Wes dorobił się opinii najgroźniejszego rewolwerowca w Teksasie.

Był to rok zakończenia rządów rekonstrukcji w Teksasie. Jankesi i ich poplecznicy zostali odsunięci od władzy, lecz nowo utworzona policja stanowa okazała się dla zwykłych ludzi takim samym zagrożeniem. Była skorumpowana i brutalna. I ściagała Wesa równie zaciekle jak wcześniej armia. Na moment opuściło go szczęście - został aresztowany w miasteczku Longview we wschodnim Teksasie podczas próby przedarcia się do Luizjany, gdzie byłby poza zasięgiem działania teksańskiego wymiaru sprawiedliwości. Dwaj funkcjonariusze przywiązali go do grzbietu konia i ruszyli do Waco.

Na miejsce dotarł tylko jeden, i to bez Hardina. Wes zdołał wyrwać jednemu z nich rewolwer, zastrzelił policjanta i uciekł.

Teksas stał się jednak dla niego zbyt niebezpieczny. Kiedy podczas odwiedzin u krewnych o nazwisku Clements Wes dowiedział się, że jego trzej kuzyni wkrótce wyruszają ze stadem bydła do Abilene w Kansas, postanowił do nich dołączyć. Miał ochotę zobaczyć nowe miejsca i przy okazji ewakuować się z Teksasu.

Jak można było przewidzieć, problemy go nie opuściły. Gdy stado przekraczało granicę Terytorium Indiańskiego, podjechało kilku Indian z plemienia Osage i zażądało jednej długorogiej krowy w ramach cła i opłaty za przejście przez ich teren. Hardin się nie zgodził, a kiedy jeden z Indian mimo to próbował zabić krowę, Wes wyjął broń i zastrzelił go. Potem, jak głosi wieść, zarzucił ciało na grzbiet wołu, przywiązał zwierzę i zostawił tam jako ostrzeżenie dla wszystkich, którzy chcieliby mu przeszkodzić.

Niedługo później zabił kilku kowbojów pędzących bydło z Meksyku. Tekszańscy i meksykańscy kowboje od dawna mieli ze sobą na pieńku, a Hardin najchętniej rozstrzygał konflikty ołowiem.

Po przybyciu ze stadem do Abilene odnowił znajomość z Benem Thompsonem i Philem Coe, hazardzistami poznanymi w Teksasie. Szczególnie lubił Phila, który w nawiązaniu do popularnej gry karcianej nazywał go „Młodym Seven-up”. Thompson i Coe wspólnie prowadzili saloon Głowa Byka i mieli problemy z marshałem miejskim, słynnym Jamesem Butlerem „Dzikim Billem” Hickokiem.

Hardin, jak prawie każdy w kraju, słyszał o „Dzikim Billu” i znał jego renomę jako rewolwerowca. Musiała mu chodzić po głowie myśl o spróbowaniu sił w walce z nim, lecz gdy Ben Thompson to zaproponował, Hardin odmówił. Nie miał nic przeciwko zabijaniu, ale potrzebował dobrego powodu, a nie było nim w jego oczach uwolnienie Thompsona od denerwującego stróża prawa.

Podczas pobytu w Abilene Wes starł się z Hickokiem co najmniej raz. Statut miejski zabraniał noszenia broni w miejscu publicznym, a Hardin miał przy sobie aż dwa colty. Gdy Hickok poprosił go o ich zdjęcie, ten odmówił, prowokując stróża prawa do rozpoczęcia strzelaniny. Zamiast jednak dać się w nią wciągnąć, Hickok zaproponował, żeby się razem napili. Problem broni został odłożony na później. Hardin nadal ją nosił, a Hickok udawał, że tego nie widzi. Wyglądało na to, że obaj rewolwerowcy znaleźli wspólny język i po prostu się zaprzyjaźnili. Dzięki Hickokowi Wes dorobił się jeszcze jednego przydomka: „Mały Arkansaw”.

Wieść niesie, że John Wesley Hardin i „Dziki Bill” Hickok raz jeszcze pokłócili się o colty. „Dziki Bill” zażądał od Wesa ich oddania. Hardin wyjął rewolwery i wyciągnął do Hickoka kolbami naprzód, lecz gdy ten podszedł, by je odebrać, Wes uskoczył, błyskawicznie zakręcił coltami i wycelował w Hickoka. Sławny marshal był całkowicie zaskoczony i gdyby Wes postanowił strzelić, zabiłby go bez trudu. Zamiast tego schował rewolwery z powrotem do kabur. Dał do zrozumienia, że się z nimi nie rozstanie, i nie miał nic więcej do dodania.

W późniejszych latach wielokrotnie spierano się o to, czy incydent z rewolwerami istotnie się zdarzył. Hardin przytacza go w swojej autobiografii, ale nigdzie indziej nie ma o nim wzmianki. Tak czy inaczej, historyjka jest przednia i do niego pasuje. Wes zawsze był dumny ze swoich umiejętności strzeleckich.

Był również dumny z bycia Teksaszczykiem. Przekonał się o tym jeden z mieszkańców Abilene, gdy w jego obecności przeklął Teksas. Hardin wyzwiał go na pojedynek i chwilę później dołożył kolejne trofeum do swojej listy.

Spędził w Abilene trochę czasu. Człowiek kierujący spędami bydląt płacił za pilnowanie stada, dopóki nie będzie można ruszyć z nim dalej na wschód. W tym okresie Hardin dokonał swego pierwszego zabójstwa, które można uznać za usankcjonowane prawem. Meksykański kowboj Bideno zastrzelił w walce jednego z jego przyjaciół i zbiegł w kierunku Terytorium Indiańskiego.

Wes załatwił sobie uprawnienia do poprowadzenia pościgu. Zebrał ludzi i ruszył za Meksykaninem. Dopadli go w restauracji w niewielkim miasteczku trzydzieści kilometrów na północ od granicy między Kansas i Terytorium Indiańskim. Hardin dał nawet Meksykaninowi szansę na poddanie się i obiecał, że włos mu z głowy nie spadnie, jeśli pozwoli się aresztować. Bideo jednak sięgnął po rewolwer. Wes zabił go precyzyjnym strzałem w głowę.

Również w Abilene zdarzyło mu się zabić człowieka... za chrapanie. Możliwe zresztą, że był to wypadek. W hotelu American Wes oddał kilka strzałów przez ścianę do sąsiedniego pokoju, chcąc zmusić leżącego tam mężczyznę do przewrócenia się na bok i zaprzestania „piłowania”. Celował jednak odrobinę za nisko. Po pierwszym strzale przestraszony sąsiad usiadł; po drugim przestał chrapać już na zawsze. Gdy Hardin uświadomił sobie, co zrobił, wraz z kuzynem Manningiem Clementsem wymknął się z hotelu i uznał, że czas wracać do Teksasu.

Mimo wszystkiego, co wydarzyło się w przeszłości, mógłby prowadzić spokojne życie, gdyby tylko potrafił utrzymać temperament na wodzy, a colty w kaburach. Niestety - krótko po powrocie zastrzelił dwóch policjantów stanowych, którzy próbowali go aresztować, a potem kilku członków grupy pościgowej, którą za nim wysłano. Miał niewiele ponad osiemnaście lat, a zabił już w życiu co najmniej dwadzieścia siedem osób.

Wydawałoby się, że wszystkie te awantury nie pozostawiały mu czasu na romanse, ale najwyraźniej go znalazł, bo 29 lutego 1872 roku poślubił czternastoletnią Jane Bowen. Choć przez większość czasu włączył się po okolicy i wdawał w strzelaniny, udało mu się spłodzić z Jane dziecko - córkę, której nadali imię Molly.

Jedyną poważną ranę, jaką kiedykolwiek odniósł w walce, zawdzięczał scysji przy grze w kręgle. Jego przeciwnik, niejaki Sublett, zaatakował go strzelbą, i choć Wes wpakował w niego kilka kul, Sublett zdołał strzelić mu w brzuch grubym śrutem. Obaj przeżyli, lecz to Hardina oskarżono o próbę morderstwa - tym razem wyjątkowo niesłusznie.



Młody, lecz śmiertelnie groźny John Wesley Hardin, najbardziej niebezpieczny

rewolwerowiec na Dzikim Zachodzie. Zdjęcie wykonano w latach siedemdziesiątych, gdy pracował jako kowboj przy spędach bydła z Teksasu na północ - mniej więcej w tym samym czasie, gdy zastrzelił człowieka za chrapanie i gdy być może doszło do jego legendarnej konfrontacji z „Dzikim Billem” Hickokiem *Ze zbiorów Old West Photos*

---

Rany goiły się powoli, więc Wes uznał, że nie jest w stanie uciekać przed prawem. Poddał się i trafił do więzienia w Austin. Nie na długo: związał stamtąd, gdy tylko nabrał sił, po czym urządził rzeź ścigającym go stróżom prawa, a także zaangażował się w słynny konflikt Suttona i Taylora. Potem wyruszył do miasta Comanche w środkowym Teksasie, gdzie planował wraz ze swym bratem Joem zebrać stado do spędu. W tym czasie odbywały się w Comanche również wyścigi konne, które Wes uwielbiał.

Zastępca szeryfa sąsiedniego hrabstwa Brown, Charles Webb, zetknął się z Wesem wcześniej i nie pałał do niego sympatią. Nie mieli osobistych porachunków; Webbowi po prostu nie podobał się fakt, że zabójca panoszy się bezkarnie przez tyle lat. Kiedy więc Hardin bawił się w saloonie Wrighta na głównym placu Comanche, Webb, nie mówiąc słowa, stanął za nim. Szturchnięty przez kolegę Wes obrócił się i zapytał szeryfa, czy przyszedł go aresztować. Gdy ten zaprzeczył, Hardin zaproponował mu, by napił się z nim i jego towarzyszami. Webb udał, że się zgadza, lecz podszedłszy bliżej, nagle próbował wyszarpnąć broń.

Jeden z kolegów Hardina krzyknął ostrzegawczo. Wes obrócił się błyskawicznie, sięgając po colta. Webb zdążył strzelić wcześniej, ale tylko drasnął przeciwnika, a ten w odpowiedzi strzelił mu w twarz. Towarzysze Hardina przyłączyli się do walki, pakując w nieszczęsnego szeryfa kolejne porcje ołowiu. Webb padł na ziemię i nigdy już z niej nie wstał.

Wes mógłby zostać zlinczowany, bo Comanche było tamtego dnia pełne ludzi przybyłych na wyścigi i nie każdy z nich był przyjacielem czy krewnym Hardinów. Zjawił się jednak szeryf hrabstwa i rozpedził tłum. Wes szybko wsiadł na konia i pogalopował w dal, nim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

Tym razem nie ścigała go policja stanowa. Rozwiązano ją niedawno, ponownie powołując do egzekwowania prawa Strażników Teksasu. Nie byli oni tak skorumpowani jak policja stanowa, a ze ściganiem przestępców radzili sobie o wiele lepiej. Wes pewnie wiedział, że nie ma sensu wchodzić im w paradę.

Wkrótce po zastrzeleniu Webba rodzinę dotknęła tragedia. Większość Hardinów w okolicy aresztowano, by ograniczyć liczbę osób, które mogłyby

ukryć zbiega. Pewnego razu w Comanche tłum zapalał żądzą linczu, wyciągnął z więzienia brata Wesa, Joego, i dwóch kuzynów, Toma i Buda Dixonów, i powiesił ich na rozłożystych konarach dębu rosnącego na głównym placu miasta.

Ścigany przez Strażników, zrozpaczony śmiercią brata i kuzynów Wes postanowił na zawsze opuścić Teksas. Zabrał Jane i Molly, przyniósł się na Florydę, przybrał fałszywe nazwisko J.H. Swain i zaczął nowe życie. Jane urodziła kolejne dziecko, syna, a później drugą córkę. Wes nadal grał w karty i imprezował, ale przez dłuższy czas nikogo nie żabi!. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, być może los zmieniłby się na dobre.

Strażnicy Teksasu wciąż jednak siedzieli mu na karku. Namierzyli go, gdy po kilku latach przeniósł się z rodziną z Florydy do Alabamy. Z poleceniem jego aresztowania wysłano porucznika Johna Armstronga. Ten w asyście kilku miejscowych stróżów prawa podszedł do Hardina i jego przyjaciela Jimmyego Manna, gdy ci wracali pociągiem z hazardowego wypadu. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której Mann zginął, a Hardina aresztowano. Przewieziono go do Austin w kajdankach, eskortowanego przez uzbrojoną po zęby straż. Oskarżony o zamordowanie zastępcy szeryfa Charlesa Webba, został uznany za winnego i skazany na dwadzieścia pięć lat pobytu w więzieniu stanowym w Huntsville.

Z pewnością sądził, że uda mu się zbiec, tak jak czynił to wielokrotnie w przeszłości. Tym razem jednak prawo zdołało utrzymać go za kratkami mimo kilku prób ucieczki. Zarobił jedynie srogie baty i długie pobyty w izolatce. Musiał nawet ciągnąć za sobą przykutą łańcuchem do kostki kulę.

→ Restoration to Citizenship, ←

No. 15075

THE STATE OF TEXAS,

vs.

John Wesley Hardin

Convicted in the District Court of Comanche County.

Spring Term, A. D. 1898.

Offense. Murder in the 2<sup>d</sup> Degree

Term of Sentence. Twenty five (25) Years

~~Consented to the same & convicted in the District Court of Comanche County on the 1<sup>st</sup> day of January 1892 & 2 years in the State Penitentiary~~

EXECUTIVE OFFICE.

Austin, Texas, Jan 16 1894

For the reason that the above named convict has served out his term of sentence in the Penitentiary and was discharged therefrom on the 14<sup>th</sup> day of

February, A. D. 1894, that your petition ask it —

— that cases

he is granted a full pardon and restored to full citizenship and the right of suffrage.

By order of the Governor,

*W. P. [Signature]*  
Private Secretary



Dokument ułaskawienia i przywrócenia praw obywatelskich Johnowi Wesleyowi Hardinowi, na mocy którego zwolniono go z więzienia 14 lutego 1894 roku po odsiedzeniu czternastu lat z dwudziestopięcioletniego wyroku zasądzonego za zabicie zastępcy szeryfa w Comanche w Teksasie Ze zbiorów Texas State Library and Archives Commission

W końcu dotarło do niego, że tym razem nie uda mu się uciec. Jane z trójką ich dzieci mieszkała na małej farmie i choć z trudem wiązała koniec z

końcem, pozostawała wierna prawu. Hardin postanowił zmienić swoje zachowanie w nadziei na skrócenie kary. Próbował nawet się uczyć - czytał każdą książkę, jaka wpadła mu w ręce, w tym kilka poświęconych prawu. W pewnym momencie w jego głowie zrodziła się myśl, że po opuszczeniu więzienia mógłby zostać prawnikiem.

I tak się stało. Ułaskawiono go w lutym 1894 roku, krótko po tym, jak gubernator Teksasu przywrócił mu prawa obywatelskie. Nie było więc przeciwwskazań, by mógł wykonywać zawód prawnika po zdaniu egzaminu, co uczynił jeszcze w tym samym roku. Był już jednak wdowcem - Jane zmarła w wieku trzydziestu sześciu lat, nim Wes opuścił więzienie.

Drugie małżeństwo, zawarte z kobietą znacznie młodszą, okazało się nieudane i trwało niezwykle krótko. Potem Hardin przeniósł się do El Paso, najdalej na zachód w obrębie Teksasu, jak tylko się dało. Nawet w ostatnich latach XIX wieku El Paso wciąż było miastem Pogranicza, pełnym hazardzistów, dziwek i rewolwerowców. Najszybszym z nich był oczywiście Wes Hardin, którego jednak bardziej już interesowało pisanie książki o swoim życiu i opowiadanie o wszystkich krwawych historiach, w których kiedyś brał udział.

Zawsze lubił kobiety. Pewnego razu wpadła mu w oko niejaka Beulah M'Rose, dla której wykonywał jedno ze swych nielicznych zleceń prawniczych. Mąż Beulah, Martin, był poszukiwany i ukrywał się w Meksyku. Chciał przekroczyć z powrotem granicę i oddać się w ręce prawa, lecz bał się, że Stróże prawa go zastrzelą. Jego żona wynajęła Hardina, by ustalił z władzami, że jej mąż będzie mógł przekroczyć Rio Grande bez obaw o życie. Między Wesem a klientką szybko jednak zaiskrzyło i kobiecie przestało zależeć na powrocie męża z Meksyku. Kiedy M'Rose na własną rękę próbował się prześliznąć do El Paso, potwierdziły się jego obawy: został schwytany i zabity przez miejscowych stróżów prawa. Owdowiała Beulah oczywiście szukała pociechy w ramionach swego prawnika, Johna Wesleya Hardina. Szukała jej również w butelce, co ostatecznie okazało się zgubne dla Wesa. Młody policjant z El Paso, John Selman junior, aresztował ją za upijanie się w miejscu publicznym. Ojciec Johna, John Selman senior, był wtedy konstabłem w El Paso, ale - jak wiele osób noszących odznaki na Pograniczu - nie zawsze stał po jasnej stronie prawa. W przeszłości był złodziejem bydła i bandytą. Był również znanym rewolwerowcem, choć nigdy nie dorównywał poziomem Hardinowi.



Wes wściekł się na wieść o aresztowaniu Beulah przez młodego Selmana i nie robił z tego tajemnicy. Pijąc w saloonach El Paso, rozповідаł na prawo i lewo o tym, co się stało, i przeklinał policjanta. Ktoś powtórzył jego słowa staremu Selmanowi, który uznał je za zniewagę wobec syna. Nawet gdy Beulah wyjechała z miasta, stosunki między Hardinem a Selmanami pozostały napięte.

John Wesley Hardin przez całe życie szybko wpadał w gniew, a jeszcze szybciej sięgał po broń. W końcu miało się to na nim zemścić.



Zagrzechotał kośćmi w dłoni, szykując się do rzucenia ich na bar. Pewnie zapomniał już o kłótni, którą kilka godzin wcześniej odbył z Johnem Selmanem seniorem. Selman wciąż miał mu za złe to, co Wes mówił o jego synu. Chciał nawet rozstrzygnąć spór przy użyciu broni, lecz Hardin był wtedy nieuzbrojony. W ciągu wieczora Selman kilkakrotnie to wychodził z Acme, to wracał. Uwaga Hardina, jak zwykle w tym okresie życia, skupiona była raczej na hazardzie i piciu. Tym razem grał w kości z miejscowym sklepikarzem, Henrym S. Brownem.

Oparł łokieć o bar i rzucił kości, po czym na widok wyniku klepnął dłonią o drewno. „Brown, masz cztery szóstki do przebiccia” - oznajmił triumfalnie.

Ledwie jego słowa wybrzmiały, rozległ się strzał. To John Selman senior niezauważony przez Hardina wrócił do saloonu z rewolwerem w rękę, podszedł od tyłu do Wesa i strzelił. Kula weszła w tył głowy po prawej stronie, za uchem, przeszła mózg i wyszła obok lewego oka. Gdy Hardin upadał, umierający lub już martwy, Selman wpakował w niego dwie kolejne kulki - jedną w prawą rękę, a drugą w prawą stronę klatki piersiowej. Szczęście najlepszego rewolwerowca Pogranicza w końcu się wyczerpało.

Selmana aresztowano i postawiono przed sądem. Pojawiły się wątpliwości, czy rzeczywiście strzelał zza pleców ofiary, czy stojąc do niej przodem. W niektórych kręgach ta sprawa wciąż budzi kontrowersje. Pewne jest jedynie, że ława przysięgłych oczyściła go z zarzutów. Prokuratura dążyła do wznowienia procesu, ale nim mogło do tego dojść, Selman po pijanemu usiłował wyszarpnąć broń, by zaatakować marszala federalnego George'a Scarborough. Popełnił brzemienne w skutki błąd, bo Scarborough w ciągu

kilku sekund czterokrotnie przedziurawił go kulami. Selman zmarł w szpitalu tego samego dnia.

Hardina pochowano w El Paso. Dzięki wysiłkom jego dzieci w końcu światło dzienne ujrzała autobiografia, którą napisał w ostatnim roku życia. Opublikowano ją pod tytułem *The Life of John Wesley Hardin, as Written by Himself* (Zycie Johna Wesleya Hardina opisane przez niego samego”). Książka uzasadniała liczne zabójstwa Hardina i broniła go, lecz do dziś nie została wydrukowana ze względu na szczegóły dotyczące życia rewolwerowca, których nie znajdzie się nigdzie indziej. Oficjalnie mówi się o czterdziestu czterech ofiarach Hardina, ale rzeczywista liczba może być wyższa lub niższa.

Pewne jest jedno: od Abilene po El Paso John Wesley Hardin był najgroźniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek nosił przy pasie colta.



## BEN THOMPSON I ZASADZKA W VAUDEVILLE

**W**szyscy widzieli, że ci dwaj są pijani. Chociaż. .. może nie? Szli pogrążonymi w mroku ulicami San Antonio rozkołysanym lekko krokiem, ale każdy podejrzany dźwięk lub ruch natychmiast wzbudzał w nich czujność. Owszem, trochę wypili i zamierzali wypić jeszcze więcej, ale w późniejszych relacjach świadkowie nigdy nie mogli się zgodzić, czy Ben Thompson i King Fisher rzeczywiście byli pod wpływem alkoholu.

To niejedyna kwestia, w której świadkowie wydarzeń tamtej nocy mieli się sprzeczać.

Był 11 marca 1884 roku, a dwaj mężczyźni należący do grona budzących największą grozę rewolwerowców na całym południowym zachodzie szli do teatru i saloonu Vaudeville... a zarazem na randkę ze śmiercią.



Ben Thompson był z pochodzenia Kanadyjczykiem, podobnie jak Bat Masterson, z którym pod koniec życia się zaprzyjaźnił. Urodzony w roku 1843 w Nowej Szkocji w rodzinie Anglików, mieszkał w Kanadzie do dziewiątego roku życia, po czym wraz z rodziną przeniósł się do Austin w Teksasie, gdzie miał pozostać przez większość życia. Jego ojciec służył niegdyś w

Królewskiej Marynarce Wojennej i pływając po świecie w obronie interesów imperium brytyjskiego, popadł w alkoholizm. Ben i jego młodszy brat Billy polubili życie w Teksasie, choć obaj byli krewcy i często wdawali się w bójki z innymi chłopakami.

Ostatecznie ojciec opuścił rodzinę, pozostawiając wychowanie chłopców i ich dwóch sióstr matce. Dzięki wspaniałomyślności zaprzyjaźnionego z rodziną prawnika Ben mógł przez dwa lata uczęszczać do prywatnej szkoły w Austin. Kiedy w końcu musiał ją opuścić i pracować, by pomóc w utrzymaniu rodziny, ten sam prawnik załatwił mu pracę pomocnika drukarza w jednej z miejscowych gazet.

Chłopak radził sobie tak dobrze, że po roku mógł się przenieść do Nowego Orleanu i pracować dla „Picayune”, czołowej gazety w tym mieście. Właśnie w czasie pobytu w Nowym Orleanie pierwszy raz dopuścił się kontrowersyjnego i krwawego czynu. Większość opowieści o jego życiu wspomina o pojedynku Bena z młodym Francuzem Emilem de Tours, który podobno naraził się Benowi, obrażając kobietę w tramwaju konnym. Podobno Ben i de Tours stoczyli pojedynek na śmierć i życie w zamkniętym, zaciemnionym pomieszczeniu, posługując się nożami. Zwyciężył Ben. W ostatnich latach pojawiły się kontrowersje na temat tego epizodu. Niektórzy historycy uważają, że nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Tak czy owak, coś skłoniło Bena Thompsona do szybkiego opuszczenia Nowego Orleanu. Równie dobrze jak cokolwiek innego mogła to być walka na noże.

Po powrocie do Austin na nowo podjął pracę w gazecie, a w wolnym czasie odkrył w sobie żyłkę do hazardu i przekonał się, że na grze w karty można zarabiać nie gorzej niż na drukowaniu czasopisma. Gdy jeden z przeciwników, nie umiejąc pogodzić się z porażką, sięgnął po broń, Ben dał się poznać jako szybki i celny strzelec, a karciany towarzysz stracił życie.

W tym okresie, przed wojną secesyjną, Teksasowi wciąż zagrażali Komańcze i Kiowowie, nawet w takich ośrodkach jak Austin. Kiedy miasto najechała gromada Indian i porwała kilkoro dzieci, Ben znalazł się w grupie, którą wysłano w pościg za czerwonoskórymi. Jego umiejętne posługiwanie się karabinem w dużej mierze przesądziło o odbiciu małych zakładników i przywiezieniu ich z powrotem do miasta zdrowych i całych.

Gdy wybuchła wojna, wstąpił do kawalerii konfederatów, ale pierwszą bitwę stoczył z ludźmi w tych samych mundurach. W trakcie awantury zabił dwóch żołnierzy i wylądował za to w obozie karnym w Fort Clark. Udało mu

się stamtąd uciec i zaciągnąć na nowo do armii w innym miejscu. Tym razem kilkakrotnie miał okazję wziąć udział w walkach z Jankesami.

Podczas urlopu wrócił do Austin i poślubił swoją narzeczoną Catherine Moore. Pozostali małżeństwem do końca burzliwego życia Thompsona, choć nie zawsze mieszkali razem.

Po wojnie Teksas zajęły wojska federalne, tworząc rząd rekonstrukcji. Obaj bracia Thompsonowie trafili do więzienia za incydent sprzed lat, w którym zginął człowiek. Ben uciekł i przedostał się do Meksyku, by walczyć jako najemnik po stronie cesarza Maksymiliana. Kiedy cesarstwo zostało obalone, a władca zabity, Ben w ostatniej chwili uniknął egzekucji i wymknął się z kraju. Wrócił do Teksasu, osłabiony żółtą febrą, której nabawił się w Veracruz.

Jego brat Billy zdążył opuścić więzienie, lecz nie na długo. Aresztowano go za zastrzelenie w Austin jankeskiego oficera, a przy okazji przyskrzyniono też Bena - dla towarzystwa lub za jakiś stary grzech. Obaj stanęli przed sądem i zostali skazani na dziesięć lat odsiadki w więzieniu stanowym w Huntsville. Po dwóch latach zwolnił ich nowy rząd stanowy, który w końcu wygonił Jankesów i ich popleczników stojących na czele rządów rekonstrukcji.

Był to okres wielkich spędów teksańskiego bydlą do kolejowych stacji załadunkowych w Kansas. Prowadząc kilka lokali hazardowych w Austin, Ben słyszał, że miasto Abilene jest szeroko otwarte na nowych ludzi, i postanowił spróbować tam szczęścia. Dotarł na miejsce z niewielką sumą pieniędzy, którą po jednej tylko sesji przy pokerowych stolikach zwielokrotnił. Do spółki z Philem Coe, innym teksańskim hazardzistą, którego poznał w Austin, otworzył saloon Głowa Byka... i naraził się nowemu marshalowi miejskiemu, Jamesowi Butlerowi „Dzikemu Billowi” Hickokowi.

(Historia problemów Bena Thompsona i Phila Coego z „Dzikim Billem” Hickokiem została omówiona w rozdziale *Tragiczna pomyłka Dzikiego Billa*).

W wypadku powozu pod Kansas City w roku 1871 ranni zostali Ben, jego żona i synek. Kiedy dochodzili do siebie w domu, Ben otrzymał wiadomość o śmierci Phila Coego z rąk Hickoka. Już wcześniej rozważał opuszczenie Abilene na dobre, a śmierć przyjaciela i współnika pomogła mu podjąć ostateczną decyzję. Nie miał tam czego szukać. Kiedy on i jego rodzina wydobrzeli wystarczająco, by móc podróżować, wrócili do Austin, a Ben - do prowadzenia saloonów.

Był jednak niespokojny z natury, więc latem roku 1873 znów wyjechał do

Kansas i tym razem otworzył wraz z bratem saloon w Ellsworth. Obaj lubili sporo wypić i byli wybuchowi, a razem stawali się jeszcze gorsi niż osobno. Wdali się w utarczkę z dwoma hazardzistami, a kiedy tamci wyjęli broń, Ben i Billy zaczęli się bronić. Na ich nieszczęście miejscowy szeryf, który usiłował rozdzielić walczących, zginął od przypadkowej kuli wystrzelonej przez Billy'ego. Ben znów musiał uciekać z Kansas i wracać do Teksasu, tym razem z bratem.

Przez następnych kilka lat zajmował się hazardem i prowadził saloony w Teksasie, Kolorado i Nowym Meksyku. Gdy wybuchła walka między dwiema rywalizującymi liniami kolejowymi, Santa Fe oraz Denver & Rio Grande, walczącymi o prawo przejazdu przez złotonośne pola Kolorado, Ben pracował jako najemnik dla Santa Fe. Właśnie wtedy poznał innego świetnego Strzelca, Bata Mastersona, i zaprzyjaźnił się z nim. Ostatecznie linia Denver & Rio Grande wygrała w sądzie i Ben wrócił do pracy w Teksasie. Za swój udział w walce dla Santa Fe otrzymał 2300 dolarów i garść diamentów.

Bat Masterson, który miał w tej kwestii pewne rozeznanie, uważał Thompsona za najgroźniejszego rewolwerowca w historii Dzikiego Zachodu. W późniejszych latach chwalił również takie osobistości jak „Dziki Bill” Hickok, Wyatt Earp, Luke Short czy Clay Allison, ale wciąż twierdził, że w walce jeden na jednego żaden z nich nie pokonałby Bena Thompsona.

W roku 1879 Ben zrobił coś, czego spodziewałoby się po nim niewielu, a może i nikt: zgłosił się do konkursu na stanowisko marshala Austin. Nie wiadomo, dlaczego w tym punkcie życia postanowił się zająć egzekwowaniem prawa. Biorąc pod uwagę jego wybuchowy temperament i skłonność do rozrywek, być może traktował to jako zabawę, możliwość przeżycia jeszcze jednej ekscytującej przygody. Przegrał wybory, ale dwa lata później znów stanął w szranki i tym razem zwyciężył.

Nikt nigdy nie mógł oskarżyć Bena Thompsona o robienie czegoś na pół gwizdka. Teraz, gdy w końcu znalazł się po właściwej stronie prawa, egzekwował je sprawiedliwie i bez wyjątków. W trakcie jego kadencji przestępczość w Austin znacznie spadła i nie popełniono ani jednego morderstwa. Gdyby pozostał na stanowisku dłużej, mógłby wyrównać lub pobić rekordy należące do takich stróżów prawa jak Wyatt Earp, Bat Masterson czy „Dziki Bill” Hickok.



Ben Thompson - hazardzista, właściciel saloonów i rewolwerowiec, a także przez pewien czas szef policji w Austin w Teksasie - zawsze stylowo się ubierał. Choć wyglądał jak elegant, niektórzy uważali go za najszybszego ze wszystkich rewolwerowców w historii *Ze zbiorów Texas State Library and Archives Commission*

---

Niestety Ben nadal należał do ludzi, którzy na dłuższą metę nie potrafili

trzymać się z dala od kłopotów.

Latem 1882 roku zrodził się konflikt między nim a Jackiem Harrisem, hazardzistą i właścicielem teatru Vaudeville w San Antonio. Jako członkowie bractwa hazardowego Ben i Harris znali się od dawna i nigdy nie pałali do siebie sympatią. Niechęć eskalowała, gdy pokłócili się o wartość diamentów przywiezionych przez Bena z Kolorado w ramach zapłaty od kolei Santa Fe. Gdyby został w Austin, sprawa mogłaby się rozejść po kościach, ale często jeździł do San Antonio, by pić i grać, a jednym z miejsc, w których regularnie przesiadywał, był właśnie saloon Vaudeville. Wiedząc, że Ben może się tam zjawić i sprawiać kłopoty, Harris nie rozstawał się ze strzelbą.

Miał ją również wieczorem 11 lipca 1882 roku, gdy Ben Thompson wkroczył do saloonu. Na jego widok Harris obrócił się gwałtownie, rzucił wiązkę przekleństw i uniósł strzelbę. Ben, który - by móc się później powołać na prawo do samoobrony - zwykle czekał, aż przeciwnik pierwszy odda strzał, tym razem nie mógł sobie pozwolić na ten luksus, bo rywal był zbyt niebezpieczny. Wyszarpnął więc rewolwer i wypalił trzykrotnie, nim Harris zdążył pociągnąć za spusty strzelby. Jack upadł, śmiertelnie raniony, a zespół na scenie wciąż grał, zagłuszając huk strzałów.

Aresztowany Ben stanął przed sądem za morderstwo, lecz mając na względzie długotrwałe waśnie między nim a ofiarą oraz fakt, że Harris był uzbrojony w strzelbę, żadna szanująca się ława przysięgłych nie wydałaby wyroku skazującego. Thompson został zwolniony i wrócił pociągiem do Austin. Okazało się, że wieść o jego uniewinnieniu dotarła tam szybciej, i na stacji zgromadził się spory tłum wiwatujący na jego cześć. Po zabiciu Harrisa Ben rzekł się funkcji marshala, ale miasto, które niegdyś uważało go za kłopotliwego młodego awanturnika, teraz go kochało.

Niestety życie wkrótce wystawiło tę miłość na próbę. Biznes w saloonie podupadł i Ben zaczął pić jeszcze więcej niż przedtem. Upojony trunkiem włóczył się po ulicach, strzelając do wszystkiego, co wydało mu się dobrym celem - często do lamp. Z czasów gdy był drukarzem, zachował dozą fascynację prasą, więc często odwiedzał lokalną drukarnię; gdy jednak trafiał tam pod wpływem alkoholu, lubił przewracać kartony z gazetami i celować do urzędów. Wywołał zamieszanie w teatrze Austin, przerywając przedstawienie i strzelając do aktora grającego czarny charakter. Rewolwer był naładowany ślepakami i całe zdarzenie miało być zgrywą, ale uciekający w panice członkowie trupy i widownia dowiedzieli się tego dopiero później. Kiedy



wezvano Bena do sądu w innej sprawie, wjechał na salę konno. Trudno się dziwić, że po tych wszystkich ekscesach miasto odwróciło się od niego.

Jednym z niewielu przyjaciół, którzy pozostali wierni Benowi, był King Fisher, rewolwerowiec i złodziej bydła z południowego Teksasu. Ilekroć odwiedzał Bena w Austin, szli w pijackie tango. Musieli stanowić barwną parę: niski, przysadzisty, ubierający się w konserwatywne garnitury i kapelusze Ben oraz zawadiacki, wyzywający King Fisher, którego powleczone srebrem rewolwery z rękojeściami z kości słoniowej w ręcznie robionych fikuśnych kaburach z miejsca przykuwały wzrok. Fisher przyjechał w odwiedziny do Bena w marcu 1884 roku, a kiedy nadszedł czas jego powrotu do Laredo, namówił przyjaciela, by ten towarzyszył mu w podróży pociągiem aż do San Antonio. Zaproponował zatrzymanie się na noc w mieście, by jeszcze trochę popić i poszaleć. Ben się zgodził.

Wysiedli w San Antonio wieczorem. Najpierw obejrzeni przedstawienie, a potem ruszyli do Vaudeville na kolejny występ, popijawę i karty. Była to pierwsza wizyta Bena w tym miejscu od czasu zabicia Jacka Harrisa niemal dwa lata wcześniej. Przysięgał, że jego noga nigdy więcej tam nie postanie, ale dał się namówić Fisherowi.

Saloon prowadzili teraz dawni wspólnicy Harrisa, Billy Simms i Joe Foster. Ben w przeszłości przyjaźnił się z Simmsem, gdy ten uprawiał hazard w Austin. Potem jednak się poróżnili i choć nie byli zapiekłymi wrogami, do przyjaciół też się nie zaliczali. Zabicie Harrisa dodatkowo ich podzieliło.

Prawdopodobnie Ben przed wyjazdem z Austin pochwalił się, że zamierza odwiedzić Vaudeville, bo jeden z przyjaciół Fostera wysłał mu telegram z ostrzeżeniem, że Ben i King zmierzają do San Antonio. Kiedy weszli do saloonu, powitał ich Simms, lecz Fostera nie było w zasięgu wzroku. Poprowadził ich do stolika i usiadł z nimi.

Przysiadł się do nich Jacob Coy, miejscowy policjant dorabiający jako ochroniarz w Vaudeville. Pod z pozoru przyjazną atmosferą wyczuwało się napięcie. Simms starał się robić, co w jego mocy, by rozładować sytuację i zapobiec kłopotom.

Ben zapytał o Fostera. Simms poszedł po niego i przyprowadził go do stolika. Ben wyciągnął rękę na zgodę i zaproponował, że postawi mu kolejkę. Foster odmówił nie tylko wypitki, ale i uścisku dłoni, stwierdzając dobitnie, że on i Thompson nigdy nie będą przyjaciółmi. Rozwścieczeni znie wagą Ben i King Fisher zerwali się na równe nogi.

Od tego momentu relacje się różnią w zależności od tego, kto je zdaje. Według słów Simmsa i Coya to Ben wyszarpnął rewolwer i uderzył Fosterę łufą w szczękę, wybijając mu zęby. Coy twierdził, że rzucił się na Bena i chwycił rewolwer za bębenek, by uniemożliwić oddanie strzału. Mimo to strzały rozbrzmiały, a gdy dym się rozwiął, Ben, King Fisher i Joe Foster leżeli na podłodze. Ben i Fisher nie żyli, a Foster był śmiertelnie ranny. W wyniku dochodzenia komisja koronera stwierdziła, że Ben i Fisher zginęli od kul wystrzelonych w samoobronie przez Fosterę i Coya.

Naoczni świadkowie strzelaniny utrzymywali jednak, że gdy tylko Foster obraził Bena, obaj właściciele lokalu i Coy szybko się wycofali, przeczuwając, co zaraz się wydarzy. Ben i Fisher zerwali się z miejsc, ale nie zdążyli wyciągnąć broni, bo sponad nich, z lewej strony, gdzie mieściły się zasłonięte łóżka teatralne, huknęły strzały. W tej wersji Ben i Fisher wpadli w zasadzkę zastawioną przez wynajętych zabójców i zostali podziurawieni jak sito. Nie mieli najmniejszych szans.

Gdy pojawili się świadkowie opowiadający tę wersję, gazety z Austin zaczęły naciskać na władze San Antonio, by raz jeszcze przeprowadziły oględziny zwłok Bena i Fishera. Gdy to zrobiono, badanie wykazało, że strzelano z góry, z karabinów, a nie z bliska z rewolwerów. Mimo to władze nie przeprowadziły kolejnego śledztwa i nikogo nigdy nie oskarżono o zabójstwo.

Niejasne okoliczności śmierci nie zachwiały legendą, jaka zaczynała już otaczać Bena Thompsona. W odróżnieniu od niektórych postaci Dzikiego Zachodu w pełni na nią zasłużył. Walczył z Indianami, był kawalerzystą, hazardzistą, rewolwerowcem, stróżem prawa... a jakby tego było mało, także filantropem fundującym żywność i przyodziewek liczny sierotom w Austin, choć za jego życia niewielu obywateli miasta o tym wiedziało. Nic dziwnego, że po śmierci wybaczone mu ekscesy i wyprawiono najświetniejszy pogrzeb, jaki kiedykolwiek odbył się w tym mieście.

Trudno o lepsze pożegnanie najgroźniejszego rewolwerowca i jednej z najbarwniejszych postaci Dzikiego Zachodu.

CZĘŚĆ SZÓSTA



# WYPADKI I POMYŁKI

---

*Nigdy nie zabiłem człowieka,  
który by na to nie zasłużył*

— Clay Allison



## TO NIE BYŁ CLAY ALLISON

**T**ak zwani bandyci nie zawsze byli tymi złymi. Na Pograniczu często zwykłe morderstwa klasyfikowano jako zabójstwa w samoobronie, ale bywało i tak, że werdykt okazywał się zgodny z prawdą. Weźmy choćby to, co zdarzyło się pewnego razu podczas świąt Bożego Narodzenia w Las Animas w Nowym Meksyku.

Clay Allison urodził się w Tennessee w roku 1841. Gdy wybuchła wojna secesyjna, podobnie jak wielu młodych mężczyzn z tego stanu poszedł walczyć z Jankesami. Armia konfederatów zwolniła go jednak, gdy wojskowi lekarze uznali, że jest zbyt niestabilny emocjonalnie, by służyć w wojsku. Podejrzewali, że to skutek rany głowy odniesionej w dzieciństwie, ale równie dobrze mogła to być cecha wrodzona.

Po wojnie wyruszył na zachód i znalazł zatrudnienie jako kowboj na ranczach nad rzeką Brazos w Teksasie. Brał udział w kilku spędach długorogiego bydła przez Terytorium Indiańskie do stacji załadunkowych w Kansas, a także w tych zdążających na zachód, do Nowego Meksyku. To ostatnie miejsce spodobało mu się jeszcze bardziej niż Teksas, więc w latach siedemdziesiątych osiedlił się tam i założył własne ranczo niedaleko Cimarron.

Choć wybrał sobie szanowane zajęcie i dobrze prosperował, szybko dorobił się opinii człowieka gwałtownego i niebezpiecznego. Pod wpływem alkoholu stawał się całkowicie nieobliczalny. Potrafił na przykład galopować na koniu ulicami miasta i strzelać do okien oraz latarni, mając na sobie jedynie buty i kapelusz. Wezwany do sądu, by odpowiedzieć za niektóre wybryki,

wjechał do sali konno. Szczególnie upodobał sobie strzelanie w ziemię u stóp Jankesów, którzy mieli pecha stanąć mu na drodze, i zmuszanie ich do osobliwego tańca dla uniknięcia trafienia. (O ironię zakrawa fakt, że najpoważniejszą ranę, jaką kiedykolwiek odniósł, Clay zadał sobie sam, postrzelivszy się w stopę pośród chaosu wywołanego przez spłoszone muły). Inne ekscesy Allisona obejmują choćby zlinczowanie przez straż obywatelską pod jego wodzą osadnika podejrzewanego o wielokrotne morderstwa, zniszczenie prasy drukarskiej w gazecie, która opublikowała krytykujące go artykuły, oraz zabicie innego rewolwerowca, Chunka Colberta, który rzeczywiście próbował go zastrzelić w nadziei, że uśmiercenie kogoś tak słynnego przysporzy mu rozgłosu.

Biorąc pod uwagę jego historię, trudno się dziwić, że Stróże prawa stawali się wyjątkowo czujni, ilekroć odwiedzał ich miasto. Z pewnością było tak 21 grudnia 1876 roku, gdy szeryf John Spear zauważył Claya i jego brata Johna wjeżdżających do kowbojskiego miasteczka Las Animas w Nowym Meksyku, na równinie na wschód od Pueblo. Przez cały dzień z niepokojem nasłuchiwał raportów o tym, że Allisonowie ostro piją w miejscowych saloonach. Clay Allison nawet w swoim najlepszym wydaniu był co najmniej kapryśny. Po alkoholu przypomina! beczkę prochu, która w każdej chwili może eksplodować.

Spear wezwał swego zastępcę Charlesa Fabera, pełniącego jednocześnie funkcję konstabla w Las Animas. Szeryf pokrótce opisał mu sytuację: nie dość że Allison był w mieście i pił, to jeszcze tego wieczoru miały się odbyć tańce, co oznaczało, że do miasta zjadą kowboje, farmerzy i inne żądne rozrywki osoby z całej okolicy. Było niemal pewne, że przy tylu ludziach Allison w końcu wywoła jakąś burdę.

Faber musiał mieć w tej sprawie mieszane uczucia. Z jednej strony był stróżem prawa, zobowiązanym do ochrony obywateli. Z drugiej, miał swoje ambicje i chciał sam zaznać odrobiny sławy. Clay Allison był powszechnie uważany za najszybszego rewolwerowca na całym terytorium Nowego Meksyku i jednego z najszybszych na Dzikim Zachodzie. Gdyby Faber zdołał go pokonać, a jeszcze lepiej - zabić, miałby szansę zapisać się w annałach.

Takie myśli musiały krążyć mu po głowie tamtego feralnego dnia.

Nadszedł wieczór, a z nim tańce. Miejskowa tancbuda wypełniła się ludźmi. Zjawili się też Clay i John Allisonowie, mający już nieźle w czubie. Nie minęło dużo czasu, a zaczęło się utyskiwanie. Bracia zachowywali się

głośno i ordynarnie, a co gorsza, byli niezdarni i swoimi kowbojskimi buciorami deptali stopy otaczających ich tancerzy i tancerek. Powiadomiono szeryfa, który polecił Faberowi spróbować zaprowadzić porządek w sali.

Clay był już w takim stanie, że przystąpił do jednej ze swych ulubionych rozrywek: rozbierania się w miejscu publicznym. Oczywiście pasa nie zamierzał zdejmować. Gdy zastępca szeryfa wszedł do sali, Allison cały czas miał przy sobie kaburę z coltem. Gdy tylko Faber to zobaczył, zwietrzył swoją szansę. Krzyknął do braci i muzyka umilkła. Pozostali uczestnicy zabawy zaczęli się wycofywać, pozostawiając wokół Allisonów wolne miejsce na wypadek wymiany ognia.

Faber zażądał od Claya i Johna oddania rewolwerów. Miał do tego prawo, bo statut miasta głosił, że przed wejściem na zabawę trzeba się pozbyć broni. Clay Allison tym razem nawet się nie rozzłościł, tylko parsknął śmiechem i kazał szeryfowi rozejrzeć się po sali. Nie tylko on i John mieli rewolwery - uzbrojonych było wielu mężczyzn. Zapytał kpiąco, czy ich też Faber zamierza rozbroić.

Konstabl uświadomił sobie, że popełnił błąd. Wytykając mu brak konsekwencji, Clay może i nie zaskarbił sobie przychylności tłumu - który wciąż się go bał - lecz zdołał ośmieszyć Fabera. Rozwścieczony zastępca szeryfa wyszedł z tancbudy w mroźny grudniowy wieczór.

Nie zamierzał odpuszczać Allisonowi. Żaden bandzior nie będzie robił z niego głupka. Poszedł do biura szeryfa, wziął strzelbę i wrócił do sali, a szeryf Spear i kilku ludzi zaprzysiężonych na chybcika jako „zastępcy specjalni” ruszyło za nim.



---

Młody, lecz już niebezpieczny Clay Allison około roku 1866. Niestabilny psychicznie, być może w wyniku odniesionej w dzieciństwie rany głowy, w zależności od nastroju potrafił być uczciwy i przyjacielski lub agresywny i śmiertelnie groźny  
*Ze zbiorów „Big Bend Quarterly”*

---

Faber ze strzelbą w rękach z impetem sforsował drzwi pomieszczenia. Ktoś krzyknął ostrzegawczo i niewinni świadkowie ponownie dali nura na ziemię albo puciekali jak najdalej od Allisonów. Na widok uzbrojonego kowboja Faber uniósł broń i wypalił z jednej lufy, gdy ten odwracał się i sięgał po rewolwer. Ładunek śrutu trafił go w pierś i ramię.

Faber popełnił jednak fatalny błąd: wziął Johna Allisona za jego groźniejszego brata Claya, który stał kilka metrów dalej.

Widząc, jak zakrwawiony brat upada na podłogę, Clay błyskawicznie wytrzeźwia i wyszarpnął broń z szybkością, która wywoływała strach przed nim w całym pasie granicznym między Teksasem a Nowym Meksykiem. W mgnieniu oka oddał cztery strzały i choć Fabera

trafił tylko jeden pocisk, to wystarczyło. Ugodzony w pierś zastępca szeryfa padł martwy na podłogę. Na nieszczęście Johna Allisona, przed śmiercią zdążył pociągnąć za drugi spust strzelby, trafiając go ponownie.

Szeryf Spear i jego asystenci ze zgrozą obserwowali wypadki od strony drzwi. Kiedy Clay Allison obrócił się do nich z dymiącą lufą rewolweru i nienawiścią w oczach, postąpili w zgodzie ze starym porzekadłem, że ostrożność to mądrzejsza siostra odwagi: ulotnili się.

Przekonany, że jego brat umiera, Allison schował broń, chwycił martwego konstabla za włosy i ciągnął po ziemi, pozostawiając na niej smugę krwi. Może i potrafił zabijać z zimną krwią, ale po jego policzkach płynęły łzy, gdy unosił ciało Fabera, by John mógł je zobaczyć.

„John, to jest ten sukinsyn, który do ciebie strzelał. Dopadłem go. Wszystko będzie dobrze, nie martw się”.

Mimo tych słów pociechy Clay z całą pewnością sądził, że brat jest bliski śmierci. Robił jednak, co mógł: opatrzył mu rany, a wkrótce potem Johna położono na wóz, który pędem ruszył do Fort Lyon, gdzie przyjmował najbliższy chirurg. Przez całą drogę Clay siedział przy bracie i, o dziwo, John wciąż oddychał, gdy wóz dojechał do fortu.

Rany były ciężkie, ale pojawiła się isierka nadziei, że nie okażą się śmiertelne.

Jako że na trzeźwo Clay Allison na ogół przestrzegał prawa, wrócił do Las Animas, by stanąć przed sądem za zabicie zastępcy szeryfa. John Allison wciąż leżał w szpitalu. Jego zeznania nie były potrzebne - wiele osób (tak naprawdę wszyscy obecni w sali) widziało, co się wydarzyło feralnego wieczoru. Clay nie zagrażał Faberowi. Można by argumentować, że tym razem to on próbował uniknąć kłopotów, wskazując zastępcy szeryfa, że on i jego brat nie są jedynymi uzbrojonymi ludźmi w miejscu publicznym. Wszyscy widzieli również, jak Faber wpada do lokalu i strzela bez ostrzeżenia. Ława przysięgłych bez wahania stwierdziła, że Clay miał prawo strzelać w samoobronie i pomścić brata. Oczyszczono go z zarzutów.

John przeżył i wrócił do zdrowia. Clay kontynuował żywot ranczera, ale jego zachowanie stawało się coraz bardziej nieprzewidywalne i agresywne. Po tym, jak zaplanował lincz kilku ludzi, których obwiniął o zamordowanie miejscowego kaznodziei, został zmuszony do opuszczenia Nowego Meksyku. Wrócił do Teksasu i pracował przy spędach bydła, a ostatecznie osiadł w pobliżu Pecos. Zmarł przedwcześnie w roku 1887, wbrew temu, co można by przypuszczać, nie od kuli. Wioząc zboże na ranczo, spadł z wozu i skręcił kark. Pochowano go w Pecos w Teksasie, na tej samej ulicy, na której mieścił się słynny saloon Orient.

Choć chełpił się swoim bilansem ofiar, utrzymywał też, że nigdy nie zabił nikogo, kto by sobie na to nie zasłużył. Tamtego wieczoru w Las Animas mogła to być nawet prawda.





## TRAGICZNA POMYŁKA „DZIKIEGO BILLA”

**W**ieczorem 5 października 1871 roku Abilene w Kansas było jak beczka prochu. Na wybuchową sytuację złożyło się kilka czynników.

Abilene, jak wiele innych miast w Kansas, miało osobliwe stosunki z kowbojami, którzy przyprawdzali do tutejszych kolejowych stacji załadunkowych długorogie bydło z Teksasu. Mieszkańcy miasta uwielbiali pieniądze płynące z tego biznesu, ale nienawidzili teksańskich awanturników, którzy po zakończeniu wielotygodniowego spędu chcieli się wyszaleć. Tak czy owak - w październiku było już po sezonie spędów. W Abilene pozostało jeszcze trochę kowbojów i ci jednak wkrótce mieli odejść - a razem z nimi większość hazardystów, właścicieli saloonów i prostytutek, którzy corocznie przybywali tu, by oskubywać ich z wypłat. Przynajmniej w zimie miasto mogło liczyć na spokój.

Zanim jednak się go doczekało, Tekszańcy i ci, którzy na nich zarabiali, urządzili ostatnią obłąkańczą imprezę. Na domiar złego 5 października odbywał się targ hrabstwa Dickinson, na który zjeżdżali wszyscy farmerzy będący w stanie dojechać do miasta w jeden dzień. Wcześniej trochę padało, więc zjechało ich nieco mniej niż zwykle, a Tekszańcy przynajmniej do pewnego momentu woleli przesiadywać pod dachem, lecz to nie wystarczyło, by uniknąć kłopotów. Wieczorem Abilene było już wypełnione po brzegi tłumami, które włączyły się z wrzaskiem po ulicach. Być może świętujący

chcieli się jedynie dobrze bawić, ale przy takiej liczbie osób i takich emocjach coś w końcu musiało się wydarzyć.

Marshal miejski czekał na ten moment w saloonie Alamo, przekonany, że cokolwiek się stanie, da sobie z tym radę. Był przystojnym elegantem z jasnymi włosami do ramion i bujnym wąsem. Miał na sobie płaski kapelusz z szerokim rondem, surdut, jedwabną koszulę z falbanami i frędzlami na piersi, równie fantazyjną kamizelkę, spodnie w kratkę i wysokie czarne buty. Wokół pasa nosił czerwoną szarfę, za którą zatknięte były kolbami naprzód dwa rewolwery Colt Navy. Nazywał się James Butler Hickok.

Ale wszyscy mówili o nim „Dziki Bill”.



„Dziki Bill” Hickok był sławny, jeszcze zanim został marshałem Abilene, a stało się to w kwietniu owego roku. Określenie „być legendą za życia” pasuje do niego jak ulał. Ale oczywiście nie był nią od urodzenia. Przyszedł na świat w Illinois w roku 1837. Jego rodzice wspierali abolicjonistów i nawet zorganizowali w swoim domu przystanek „kolei podziemnej” - szlaku ucieczki czarnoskórych niewolników do Kanady. Nic więc dziwnego, że kiedy nadeszła wojna secesyjna, ich syn James gorąco wspierał unionistów.

Wcześniej James Butler Hickok pracował na stacji dyliżansów Rock Creek w Nebrasce. Stacja znajdowała się na ziemi kupionej przez firmę transportową od niejakiego Dave’a McCanlesa. Niektórzy twierdzą, że Hickok przyjął tę pracę po to, by mieć coś do roboty, gdy dochodził do siebie, gojąc rany po bliskim spotkaniu z niedźwiedziem grizzly, którego ostatecznie zabił, używając wyłącznie noża. Może w tej opowieści tkwi ziarno prawdy; w przypadku tego człowieka niczego nie można wykluczyć. Pewne natomiast jest to, że Hickok i McCanles zabiegali o względy tej samej kobiety, i kiedy doszło do walki, młodyjames zabił starszego od siebie Dave’a.

Po zaciągnięciu się do wojska służył jako zwiadowca, szpieg i snajper. W późniejszych czasach krążyły liczne opowieści o jego śmiałych wyczynach w boju z konfederatami w tym okresie życia, ale i tu trudno stwierdzić, które z nich są prawdziwe. Wkrótce po wojnie Hickok popadł w kłopoty, zabijając w pojedynku kolejnego rywala wwalce o względy kobiety, Dave’a Tutta. Jego renoma rewolwerowca rosła stopniowo, by eksplodować po publikacji

wydania „Harper’s New Monthly Magazine” z lutego 1867 roku, w którym zamieszczono długi artykuł pułkownika George’a Warda Nicholasa zatytułowany *Dziki Bill*.

Była to nieproporcjonalnie wyolbrzymiona wersja konfliktu Hickoka z McCanlesem na stacji Rock Creek. Rywalizację o kobietę zastąpiła tu obrona stacji przed dowodzoną przez Canlesesa bandą i własnoręczne zabicie przez Hickoka dziesięciu bandytów. Wkrótce potem Jamesa obsadzono w roli bohatera całkowicie fikcyjnych powieści kieszonkowych publikowanych w cyklu „Romanse Dewitta za 10 centów” i sprzedawanych tytułami w stylu *Dziki Bill, zabójca Indian* czy *Pierwsza seria Dzikiego Billa*. Niektórzy spośród czytelników z pewnością rozumieli, że to zmyślone historie, ale wiele osób świącie wierzyło w ich prawdziwość, podobnie jak w przypadku równie fikcyjnych opowiadań o jednym ze znajomych Hickoka, Williamie F. „Buffalo Billu” Codym.

O ile jego historia była przedstawiana w formie sensacyjnej hiperboli, o tyle w prawdziwym życiu Billa też co nieco się działo. Służył jako zwiadowca w siódmym pułku kawalerii generała George’a Armstronga Custera i był osobistym znajomym swego dowódcy i jego żony, którzy zawsze wspominali go z ogromną sympatią. Cytowano nawet wypowiedź, w której Custer określa Hickoka jako swego ulubionego zwiadowcę.

Pierwszą przygodą „Dzikiego Billa” w roli stróża prawa była funkcja marshala federalnego. Potem pełnił obowiązki szeryfa Ellis Country w Kansas, do którego należało zbuntowane Hays City. Dwukrotnie zaatakowany przez niesubordynowanych kowbojów z tego miasta, zabił obu. Podobnie uczynił ze sprawiającym kłopoty pijanym kawalerzystą z siódmego pułku, czym ściągnął na siebie gniew Toma Custera, brata swego dawnego dowódcy.

Uznawszy, że lepiej będzie się wynieść z Hays City niż walczyć z kawalerią Stanów Zjednoczonych, wiosną 1871 roku Hickok osiadł w Abilene. Został drugim marshalem tego miasta - pierwszy, Thomas „Bear River” Smith, oczyścił je z bandytów własnymi rękami i uważany był za kogoś w rodzaju zbawcy Abilene. Ale poprzedniej jesieni spotkał go smutny koniec: zginął z ręki rozwścieczonego osadnika, który rzucił się na niego z siekierą, gdy Smith próbował mu dostarczyć orzeczenie sądu. Władze miasta przez całą zimę szukały odpowiedniego następcy. Nim nadeszło lato, a z nim tysiące teksańskich kowbojów wędrujących ze stadami przez Terytorium Indiańskie, uznano, że najlepszy w tej roli będzie „Dziki Bill” Hickok.

Ten zawsze chętnie wykorzystywał swoją legendę, o ile tylko mu to pasowało. Pracę rozpoczął od przesiadywania w saloonie Alamo. Miał kilku zastępców, którzy powinni gasić pożary w zarodku, ale niewiele mieli do roboty, bo trzy razy dziennie o tych samych porach, precyzyjnie jak w szwajcarskim zegarku, „Dziki Bill” wyłaniał się z Alamo i przechadzał ulicą w pełnym rynsztunku. Widok czerwonej szarfy i zatkniętych za nią rewolwerów z kolbami z kości słoniowej, od których odbijały się promienie słońca, zniechęcał do występku nawet nieokrzesanych teksańskich kowbojów.

Jedną z atrakcji Abilene był teatr Novelty, w którym wędrowne trupy aktorskie grały przedstawienia dla rozentuzjasmowanych kowbojów. Właściciele lokalu potrzebowali kogoś, kto utrzymywałby tam porządek i zapobiegał zaczepianiu aktorek. Hickok polecił im znajomego z czasów służby woj skowej, Mike’a Williamsa.

Nie wszyscy Tekszańcy przybywający do miasta bali się słynnego marshala. Znany hazardzista i rewolwerowiec Ben Thompson otworzył tam saloon do spółki ze swoim krajanem Philem Coem. Thompson miał opinię rewolwerowca równie szybkiego jak Hickok (albo i szybszego) i większość mieszkańców oczekiwała, że prędzej czy później dojdzie między nimi do starcia. Ben jednak podchodził do swego przedsięwzięcia pragmatycznie: pogłoski głoszą, że próbował podjudzić młodego teksańskiego awanturnika Johna Wesleya Hardina do zabicia „Dzikiego Billa”.

Hardin nie był zainteresowany. Nie miał nic przeciwko zabijaniu, ale nie zamierzał tego robić wyłącznie w ramach przysługi, nawet dla kogoś, kto podobnie jak on pochodził z Teksasu.

Tak naprawdę Hickok bardziej nie lubił się z Coem niż z Thompsonem. Saloon tych dwóch nazywał się Głowa Byka, a nad wejściem wisiał rysunek rzezonego zwierzęcia, niby poprawny anatomicznie, choć w pewnych miejscach znacznie przesadzony. Oczywiście pobożni mieszkańcy miasta czuli się tym widokiem urażeni i uważali go za obsceniczny. Marshalowi Hickokowi polecono zająć się tą sprawą.

Kiedy poprosił Coego i Thompsona o zdjęcie szyldu lub zamalowanie nieprzyzwoitego fragmentu, ci odmówili. Hickok poszedł po dwulufową strzelbę, kupił galon farby i wrócił z robotnikiem, który miał wykonać jego polecenie. Robotnik zamalowywał szyld, a marshal stał obok ze strzelbą w rękach. Biedny malarz musiał być mocno zdenerwowany, wiedząc, że w każdej chwili może się znaleźć na linii ognia między Hickokiem

aTekszańczykami.

Nie wydarzyło się jednak nic z wyjątkiem tego, że galon farby przysłonił obsceniczny szyld. Wojna została odroczone.

Oczekiwany pojedynek Hickoka i Thompsona nigdy nie nastąpił. Pod koniec lata Thompson opuścił Abilene i pojechał do Kansas City odebrać żonę. Stamtąd razem ruszyli do Teksasu, ale pod drodze zostali poważnie ranni w wypadku powozu.

Tymczasem do Abilene przyjechał cyrk prowadzony przez atrakcyjną wdowę Agnes Thatcher Lake. Bill i Agnes od razu wpadli sobie w oko. Kobieta była gotowa wyjść za Hickoka, gdyby zechciał podróżować z nią i cyrkiem, ale on nie miał takiego zamiaru. Przez krótki okres był związany z Wild West Show Billa Cody ego i miał serdecznie dosyć takiego życia. Rozstał się więc z Agnes, choć nie na zawsze.





Ekstrawagancki James Butler „Dziki Bili” Hickok-stróż prawa, rewolwerowiec i hazardzista; jedna z tych postaci Dzikiego Zachodu, które naprawdę zapracowały na swoją renomę. Z powodu słabego wzroku podczas pełnienia funkcji marshala w Abilene w Kansas w roku 1871 zabił jednego ze swoich zastępców *Ze zbiorów Denver Public Library, Western History Collection*

Tak czy owak, zawsze wolał kobiety lżejszych obyczajów. Przez pewien czas zadawał się z Mattie Silks, właścicielką najpopularniejszego burdelu w mieście, którą nauczył, jak szybko wyszarpywać rewolwer i strzelać. Potem jego zainteresowanie przeniosło się na jedną z dziewczyn Mattie, Jessie Hazel. Oczywiście wiedział, czym trudni się jego wybranka, ale poza godzinami pracy nie pozwalał jej spotykać się z nikim oprócz niego. Wściekł się więc, gdy zaczęła patrzeć łaskawym okiem na jego starego wroga Phila Coego. Po raz kolejny był gotów zabić z powodu kobiety. Może i by to zrobił, kiedy pewnego popołudnia przyłapał ich razem przy kuflu, gdyby nie to, że Coe był nieuzbrojony. Nietypowo jak na hazardzistę, rzadko nosił przy sobie broń.

Wiele można powiedzieć o „Dzikim Billu” Hickoku, ale mordercą nie był. Nie mógł zastrzelić Coego z zimną krwią, a ponieważ ten był potężniejszy i silniejszy, po prostu wyrzucił Billa z lokalu. To upokorzenie jeszcze wzmogło panującą między oboma mężczyznami nienawiść.

Aż nadszedł początek października, a z nim dzień szalonej imprezy kowbojów przed ich powrotem do Teksasu. Phil Coe zamierzał zabrać się z nimi, zamykając na zimę Głowę Byka. Jessie Hazel wyjechała do St. Louis, a on obiecał ukochanej, że wiosną przyjedzie po nią i razem wrócą do Abilene. Dżdżysty dzień przeszedł w wieczór. Coe i inni Teksaszczyki włóczyli się po ulicach, łapiąc każdego nieostrożnego porządnego obywatela, który stanął na ich drodze, biorąc go na barana, niosąc do najbliższego saloonu i zmuszając do postawienia wszystkim kolejki, nim go wypuścili. Z całą pewnością nieszczęśnicy byli tym zwyczajem przerażeni, mimo że Teksaszczyki uważali to za niegroźną zabawę. Pewnego razu osaczyli nawet Hickoka, choć powstrzymali się od dosłownego schwytania go. Marshal szybko odnalazł się w sytuacji: powiedział, by poszli do jednego z saloonów i wypili kolejkę, a barman dopisze kwotę do jego rachunku.

To wystarczyło; tłum wypuścił Billa i popędził skorzystać z oferty. Marshal ruszył do teatru Novelty, by porozmawiać z Mikiem Williamsem. Poprosił go, by pilnował tego odcinka ulicy na wypadek kłopotów. Wszyscy

zastępcy zostali bowiem zwolnieni z funkcji przez radę miasta kilka tygodni wcześniej, gdy wydawało się, że nie będą już potrzebni. Hickok wrócił do Alamo, by tam przeczekać burzliwy wieczór.

Nie wiedział, że tego dnia Phil Coe zerwał ze swoją tradycją nie- noszenia broni.

Hickok siedział w saloonie plecami do ściany. To z kolei była jego tradycja, której zawsze pozostawał wierny. Rozglądał się, mrużąc oczy przed dymem tytoniowym. Hałas dobiegający z zewnątrz narastał. W pewnym momencie rozbrzmiał strzał i marshal zerwał się na równe nogi.

Strzał dobiegł z chodnika przed wejściem do Alamo. Ludzie schodzili marshalowi z drogi, gdy kroczył ku drzwiom. Wyszedł na zewnątrz i mniej więcej dwa i pół metra od siebie zobaczył Phila Coego z rewolwerem, z którego lufy wciąż wydobywał się dym.

Hickok zapytał jednak *ro forma*, kto strzelał. Coe parsknął śmiechem. „Zastrzeliłem bezdomnego psa” - oświadczył. Marshal wiedział, że to nieprawda. Phil zrobił to, by wywabić go z lokalu. Teraz, otoczony przyjaciółmi, zamierzał go zmusić do długo odkładanej wymiany ognia. „Dziki Bill” nie był głupcem. Wiedział, że powinien się wycofać w obliczu przeważających sił przeciwnika. Coe jednak nie pozwolił mu na to. Uniósł rewolwer i dwukrotnie strzelił. Pierwsza kula otarła się o płaszcz Hickoka, druga przeszła mu między nogami i wbiła się w deski chodnika.

Z niedoścignioną szybkością, która pozwoliła mu tak długo utrzymać się przy życiu, „Dziki Bill” wyszarpnął zza paska oba colty. Wystrzelił dwa pociski, które trafiły Coego w brzuch. Nim wybrzmiało echo, usłyszał za sobą stukot butów na deskach. Obrócił się i zobaczył biegnącą ku niemu postać z rewolwerem w ręce. Szybko pociągnął za spusty obu coltów. Trafiony dwukrotnie w głowę mężczyzna padł martwy na ziemię. Hickok pogroził otaczającemu go tłumowi, mówiąc, że ma jeszcze parę kul do rozdania.

Nikt nie skorzystał z oferty. Zszokowani kowboje cofnęli się i Bill mógł podejść do drugiego z zabitych przez siebie mężczyzn.

Dopiero wtedy, w dochodzącym z okien Alamo świetle, zrozumiał swój tragiczny błąd: zastrzelił nie wroga, lecz swego przyjaciela Mike'a Williamsa.

Wstrząśnięty do głębi, podniósł ciało i zaniósł je do saloonu. Ze łzami w oczach łagodnie położył Williamsa na jednym ze stołów bilardowych. Potem przysunął sobie krzesło i usiadł. Mijały minuty, a on w milczeniu siedział przy

zwłokach przyjaciela.

Potem, w porywie furii, wstał gwałtownie i wyszedł z saloonu. Przez następną godzinę chodził tam i z powrotem wzdłuż Texas Street, wpadając co rusz do saloonów, w których gromadzili się kowboje. Rycząc jak wściekły stary byk, Hickok kazał im się natychmiast wynosić z Abilene. Ci, którzy próbowali się kłócić, dostawali kolbą po łbie i padali na kolana. Każdy obserwator wiedział, że mogło być gorzej. Równie dobrze marshal mógł ich zabić. Jeden po drugim wskakiwali na konie i umykali do obozowisk za miastem. Hickok był jeden, a Teksańczyków były dziesiątki, ale tej nocy nie miało to znaczenia. W Abilene gaszono światła. Sezon szaleństw dobiegł końca.

Phil Coe żył jeszcze kilka dni, lecz ostatecznie rany brzucha okazały się śmiertelne. Ciało zawieziono do Teksasu i tam pochowano. Mike Williams spoczął na cmentarzu w Abilene. 12 grudnia 1871 roku rada miasta zwolniła „Dzikiego Billa” Hickoka z funkcji marshala.

Pełnił ją około ośmiu miesięcy i w tym czasie nie zginął w mieście nikt oprócz Phila Coego i Mike’a Williamsa.

Śmierć Mike’a bez wątpienia była tragiczną pomyłką Hickoka. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, można ją zrozumieć. Nigdy więcej nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Drugiego sierpnia 1876 roku zasiadł do pokera w saloonie Carla Manna numer 10 w Deadwood w Dakocie, wbrew swojej długoletniej zasadzie obrócony plecami do drzwi. W chwili, gdy Jack McCall strzelił mu w tył głowy, Hickok trzymał w ręku następujące karty: parę asów, parę ósemek i damę.

Od tamtej pory takie rozdanie znane jest jako Trupia Ręka.





## PECHOWY NAPAD ROURKE'A

**Z**ima na równinach Kansas jak zwykle była mroźna. W styczniu roku 1878 mieszkańcy Kinsley, małej osady na północny wschód od Dodge City, prawdopodobnie przez większość czasu siedzieli w ciepłku i nie w głowie im były awantury. Tak się jednak złożyło, że tego dnia awantura zawitała do nich pod postacią kilku nieznajomych, którzy galopem wjechali na stację kolei Santa Fe z rewolwerami przy biodrach i rabunkiem w planach.

Bandą dowodził Mike Rourke, człowiek twardy i zaprawiony w złodziejskim rzemiośle. Nie była to jego pierwsza próba napadu. Tym razem jednak jej wynik miał być inny niż w poprzednich przypadkach.

Szczerze mówiąc, szczęście już splątało figła Mike owi i jego bandzie, do której należał też inny doświadczony bandyta – Dave Rudabaugh. Pierwotny plan zakładał zaatakowanie pociągu jadącego na wschód podczas postoju w celu nabrania wody przy zbiorniku kilka kilometrów przed Kinsley. Czekali w gotowości, lecz maszynista nie zatrzymał lokomotywy - pociąg zmierzał prosto do miasta! Rourke i jego ludzie nie wiedzieli, że woda skończyła się wcześniej i załoga uzupełniła ją w Dodge City.

Przez chwilę z niedowierzaniem i zdumieniem spoglądali w ślad za odjeżdżającym pociągiem. Potem wskoczyli na konie i pogalopowali za nim, by dopaść go podczas postoju w miasteczku. Kiedy wpadli na stację, pociągu nie było w zasięgu wzroku. Pomyśleli, że jeszcze nie przyjechał, i z rewolwerami w dłoniach wbiegli do budynku dworca.

Zastali tam tylko jedną osobę - młodego operatora telegrafu Andrew

Kinkade'a. Rourke pomyślał, że skoro zdążyli przed pociągiem, mają okazję zrabować jeszcze więcej. Wycelowwał do telegrafisty z rewolweru i zażądał wszystkich pieniędzy znajdujących się na stacji. Andrew spokojnie otworzył wbudowaną w biurko kasę i pokazał bandytom, że jest pusta.

Sfrustrowany Rourke zapytał o sejf. Kinkade wyjaśnił, że nie może go otworzyć. Jedyнным kluczem dysponował dróżnik, który teraz spał w hotelu.

Bandyci zapewne spojrzeli po sobie, zastanawiając się, co dalej. Nagle wśród mroźnej nocy rozbrzmiał gwizd lokomotywy. Rourke i jego kompani czekali na pociąg, wiedząc, że maszyna zawsze w ten sposób oznajmia swoje przybycie na stację.

Był tylko jeden problem: dźwięk dobiegł nie zzachodu, a ze wschodu.

Skoro zaś pociąg przybywa z tamtego kierunku, było jasne, że ten jadący na wschód, który zamierzali obrabować, przejechał już przez Kinsley. Mylili się, sądząc, że byli szybsi. Teraz nadciągał pociąg zmierzający w odwrotną stronę.

Co gorsza, na peronie pojawiło się właśnie dwóch czekających na niego pasażerów. Kinkade zauważył ich przez okno i nie zważając na rewolwery bandytów, krzyknął ostrzegawczo.

Ci wybiegli z dyzurki, nie chcąc dopuścić, by mężczyźni uciekli i wszczęli alarm. Chwilowy chaos pozwolił Kinkadeowi wyrwać się z uścisku Rourke'a i rzucić się do drzwi prowadzących na peron.

W powietrzu słychać już było dudnienie lokomotywy. Gdy żelazny rumak wtaczał się na stację niczym ociężała bestia, Andrew Kinkade ku zdumieniu świadków skoczył na tory przed nim.

Odważny manewr się opłacił. Kinkade przeleciał przez całą szerokość torów i wylądował na ziemi obok nich, o włos unikając tragedii. Zasłonięty przez masywną lokomotywę, przeturlał się, wstał, złożył dłonie w trąbkę i krzyknął do maszynisty, że na stacji są bandyci. Gorączkowo dawał znaki, by pociąg się nie zatrzymywał. Ku jego radości lokomotywa rzeczywiście toczyła się dalej.

Chwilę później jednak do Rourke'a, Rudabaugh'a i reszty bandy po raz pierwszy i ostatni tego dnia uśmiechnęło się szczęście. Okazało się, że maszynista w ogóle nie zauważył brawurowego skoku Kinkade'a ani nie usłyszał jego wołania. Po prostu hamulce słabo działały. W końcu udało się je zmusić do współpracy i pociąg stanął niecałe sto metrów za budynkiem dworca.

Bandyci pognali ku niemu, kołysząc się niezgrabnie w swoich kowbojskich butach. Dopadli do lokomotywy i rzucili się na wciąż nieświadomego niczego maszynistę, rozkazując mu natychmiast ruszać. Rourke chciał wywieźć pociąg z miasta, by móc go obrabować bez obaw, że przeszkodzą mu uzbrojeni mieszkańcy.

Maszynista musiał się nieźle przestraszyć, widząc wymierzone w siebie lufy, ale zachował dość rezonu, by powiedzieć, że nie może teraz uruchomić lokomotywy. Hamując przy wjeździe na stację, spuścił ciśnienie z kotła i musiał poczekać, aż wytworzy się dość pary. Potem się okazało, że to nieprawda, ale Rourke uznał tłumaczenie za przekonujące.

Tymczasem dwaj inni członkowie bandy pobiegli wzdłuż pociągu do wagonu ekspresowego, żeby zmusić kuriera do otwarcia sejfu. Ten zdążył się jednak zorientować, że coś jest nie tak. Chwycił strzelbę i cofnął się w głąb wagonu. Kiedy bandyci otworzyli drzwi, strzelił bez wahania.

Śrut trafił jednego z rabusiów i powalił na ziemię. Drugi czym prędzej wziął nogi za pas. W kabinie lokomotywy Rourke i jego towarzysz usłyszeli strzał i klnąc pod nosem, wyskoczyli i pobiegli w stronę wagonu ekspresowego. Gdy tylko się oddalili, maszynista jak gdyby nigdy nic uruchomił pociąg. Pchnął dźwignię przepustnicy i skład ruszył, zostawiając w tyle zdumionych bandytów.

Rourke i jego ludzie wiedzieli, że mogą już jedynie minimalizować straty. Wszyscy, łącznie z rannym, wskoczyli na konie i pogalopowali w noc. Ich akcja okazała się kompletną klapą.

Nie był to jednak koniec nieszczęść. Choć rabunek nie doszedł do skutku, firma przewozowa nie zamierzała im odpuścić. Zaaapelowała do nowo wybranego szeryfa hrabstwa Ford o ściganie bandy. Młodemu stróżowi prawa nie trzeba było powtarzać dwa razy.

Nazywał się Bat Masterson.



Były łowca bizonów, który służył jako zastępca szeryfa w Dodge City, wygrał wybory na szeryfa zaledwie trzema głosami. (Więcej na ten temat w rozdziale *Bat Masterson i bitwa na Placu*). Wiedział, że jeśli uda mu się schwycić bandę Rourke'a, może sobie zaskarbić większą przychyłność

mieszkańców miasta, więc zebrał grupę zaprawionych w walce ludzi Pogranicza, z którymi był zaprzyjaźniony. W towarzystwie Kincha Rileya, który walczył z nim pod Adobe Walls w północnym Teksasie, Dave'a „Pieska Preriewego” Morrowa i Johna Joshui Webba nowy szeryf wyruszył śladem Mike'a Rourke'a i pozostałych rabusiów.

Szukały ich także inne grupy, ale Bat dzięki udziałowi w polowaniach na bizona znał okolicę prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek.

Intuicja zaprowadziła jego ludzi nad Crooked Creek. Pierwszą noc poza miastem spędzili w obozowisku nad rzeką. Śnieg, który zaczął padać już za dnia, w nocy się wzmógł.

Nazajutrz, gdy Stróże prawa ruszyli dalej z biegiem Crooked Creek, trwała regularna śnieżycza. Wczesny zmierzch zastał ich u ujścia rzeki. Postanowili zatrzymać się na noc w chatce należącej do ranczera Harry'ego Lovella, który wypasał w tej okolicy swoje bydło.

Śnieżycza była tak potężna, że prawie uniemożliwiała podróż. Bat przypuszczał, że bandyci są gdzieś w pobliżu i szukają schronienia. Jeśli wiedzieli o obozowisku ranczera, a było to prawdopodobne, mogli zmierzać w tym kierunku.

Następnego dnia jego przecucie się potwierdziło. Do domku podjechało dwóch jeźdźców. Chwilę trwało, nim pośród zamieci Bat zidentyfikował Dave'a Rudabaugh i Edgara Westa. Dave'a rozpoznano podczas próby napadu, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że i Edgar brał w nim udział. J.J. Webb, którego bandyci nie znali, zgłosił się na ochotnika do udawania bezrobotnego kowboja korzystającego z darmowego noclegu w chatce.

Fortel sprawdził się doskonale. Wśród śmiechu i żartów z pogody Webb doprowadził bandytów do drzwi i puścił przodem. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz, Bat Masterson wyskoczył z ukrycia i kazał im podnieść ręce. Na widok dwóch sześciostrzałowców w dłoniach szeryfa Edgar West posłuchał rozkazu. Dave jednak nie zamierzał poddać się bez walki. Sięgnął do biodra, by wyszarpnąć broń.

Charakterystyczny dźwięk odciąganej przez Webba kurka rewolweru przekonał go, że opór nie ma sensu. Rudabaugh uniósł ręce nad głowę. Pozostali Stróże prawa podeszli i rozbroili bandytów, po czym skuli ich kajdankami.

Dopiero nazajutrz, gdy śnieżycza zelżała, mogli eskortować więźniów do

Dodge City. Zaraz potem Bat wyruszył śladem ich kompanów. Ci jednak zdążyli się już oddalić na bezpieczną odległość i szeryf musiał zrezygnować z pościgu.

Kilka miesięcy później dwaj ze ściganych niespodziewanie pojawili się w Dodge. Do tego czasu Bat poznał tożsamość wszystkich uczestników napadu i uczulił swoich zastępców oraz obywateli miasta, by ich wypatrywali. Na wieść, że dwóch z nich widziano w jego obrębie, zebrał grupę, złożoną ze swego brata Jima, J.J. Webba oraz byłego szeryfa, a obecnie swego zastępcy, Charleya Bassetta, i poprowadził kolejny pościg. Dogonili bandytów zaraz za miastem i aresztowali ich, nie oddając ani jednego strzału. Jeden z przestępców wprawdzie sięgnął po broń, jak przedtem Dave Rudabaugh, ale gdy ta zahaczyła mu się o kieszeń, otoczony przez stróżów prawa zrezygnował z obrony.

Na wolności wciąż był przywódca grupy, Mike Rourke. Pewnego razu Bat i jego ludzie dowiedzieli się, że widziano go w chatce Lovella nad Crooked Creek, lecz choć galopowali co siłą, zdążył im uciec.

W końcu i on wpadł. Niespełna rok później wydał go władzom inny bandyta. Rourke'a schwytano, postawiono przed sądem za napad w Kinsley i skazano na dziesięć lat więzienia.

Bat Masterson wytropił i aresztował czterech bandytów bez użycia broni, co uznano za spektakularny sukces, jeden z pierwszych w jego długiej karierze. Zapoczątkowała go jednak seria nieoczekiwanych błędów i pechowych przypadków, które pewnej mroźnej nocy w Kansas przytrafiły się Mikeowi Rourkeowi i jego nieszczęsnej bandzie.



## NOWOROCZNA STRZELANINA W WICHICIE

**B**yło tak zimno, że para buchała z ust mężczyzny idącego główną ulicą Wichity, Douglas Avenue, wieczorem 1 stycznia 1877 roku. Niewysoki szatyn poruszał się z pewnością siebie i spokojnym dostojeństwem, które nie szły w parze z jego skromną posturą. Utykał lekko w następstwie odniesionej niegdyś rany. Do płaszcza przypiętą miał gwiazdę marszala.

Każdego dnia, nawet w święta, robił o tej porze obchód. Saloony Wichity nigdy nie zamykały drzwi, a rozróżba mogła wybuchnąć w każdej chwili. W początkach istnienia tego szalonego kowbojskiego miasta na wszystkich wiodących do niego głównych drogach postawiono szyldy głoszące: „W Wichicie możliwe jest wszystko!”. W kolejnych latach tutejsza społeczność nieco spuściła z tonu, w dużej mierze dzięki wysiłkom człowieka, który tego wieczoru przemierzał Douglas Avenue. Wciąż jednak musiał być czujny.

Minął saloon Hope’a. Choć wszystkie okna i drzwi były zamknięte z powodu zimna, ze środka dobiegały stłumiona muzyka i śmiech. Nie słysząc nic podejrzanego, marshal skręcił w alejkę i przeszedł na tyły saloonu, by skorzystać z mieszczącej się na zewnątrz toalety.

Ledwie zdążył usiąść, rozległy się strzały i przez drzwi ubikacji zaczęły wpadać pociski.

Takie rzeczy tylko w Wichicie. Tam możliwe było wszystko.



W roku 1871 przedsiębiorcy Bill Greiffenstein i Jim Meade założyli miasto, które miało się stać nowym ośrodkiem transportu bydła. Dotąd funkcję tę pełniło Newton, w którym mieścił się terminal linii kolejowej Atchison, Topeka & Santa Fe. Przez ostatni rok stada pędzone z Teksasu przez Terytorium Indiańskie zmierzały do „Krwawego Newton”, bo takiego przydomka doczekało się miasto ze względu na częste awantury między mieszkańcami a teksańskimi kowbojami. Teraz, po wybudowaniu linii Wichita & Southwestern, biegnącej z Newton do nowego miasta Wichita, stada miały do pokonania krótszą odległość, nim wsadzono je do wagonów i wysłano do chicagowskich rzeźni. Wichita & Southwestern była odnogą linii Santa Fe i miała tych samych inwestorów. By namówić władze w Newton na finansowe wsparcie nowej linii, zawarto porozumienie między przedsiębiorstwem kolejowym a hrabstwem Sedgwick, w którym leżały oba miasta. Od tej pory hrabstwo miało się dzielić na dwie części: na północy wydzielono hrabstwo Hardy z siedzibą w Newton, a nową stolicą okrojonego hrabstwa Sedgwick została Wichita. Wszyscy mieli nadzieję, że porozumienie przyniesie profity każdej ze stron.

W rzeczywistości bardziej skorzystała na nim Wichita. Miasto rosło w oczach, szybko stając się nie tylko stanowym centrum hodowli bydła, ale też rozrastających się upraw pszenicy. Rozgardiasz w mieście i wizyty ogromnej liczby teksańskich kowbojów szybko przekonały założycieli, że nawet miasto określające się jako otwarte potrzebuje kogoś, kto egzekwowałby prawo i pilnował porządku.

Zwrócili się w tej sprawie do niejakiego Mike’a Meaghera. W ciągu następnych pięciu lat z przerwą Meagher zapewniał miastu więcej porządku, niżby sobie życzyło.

Urodzony w hrabstwie Cavan w Irlandii w roku 1843 Mike był - przynajmniej z pozoru - przeciwieństwem krewkiego rozrabiaki, z jakim zwykle utożsamiano Irlandczyka. Niski i spokojny, mógł się jednak poszczycić siłą, żelazną wolą i ogromną nieustępliwością. Nie wiadomo, jak trafił do Kansas, ale można przypuszczać, że jego rodzinę wygnała z Irlandii jedna z klęsk głodowych, jakie dotknęły ten kraj w latach czterdziestych XIX wieku. Razem z Mikiem przyjechał do Kansas jego brat John, którego czasem

brano za jego bliźniaka z powodu znacznego podobieństwa, choć w rzeczywistości był o dwa lata młodszy.

Władze Wichity mianowały Mike'a Meaghera marshałem w roku 1871, gdy miasto dopiero raczkowało. John został jego pierwszym zastępcą. W kolejnym roku zorganizowano wybory nowego marszala. Meagher zgłosił się do konkursu, ale władze miasta nie patrzyły już na niego tak łaskawym okiem. Uznały, że wykonuje swą pracę... nieco zbyt sumiennie. Martwiło je bezwzględne egzekwowanie miejskiego statutu, ukrócenie hazardu i łapówkarstwa, zmuszanie teksańskich kowbojów do przestrzegania prawa i zabranianie im noszenia broni. Taka nieustępliwość ze strony stróża prawa mogła zagrozić dobrobytowi miasta. Wichita musiała pozostać dzika i nieokrzesa, by prosperować. Władze "wystawiły więc własnego kandydata, który miał być ich marionetką i przymykać oko na niektóre występki.

Nic z tego. Obywatele nie zamierzali brać udziału w tej farsie. Pierwsze wybory marszala w historii Wichity w Kansas wygrał Mike Meagher.

Rok później stracił pierwszego zastępcę: Johna wybrano na szeryfa hrabstwa Sedgwick. Nadal jednak ściśle współpracowali, a niekiedy nawet wspólnie ścigali przestępców. W okolicy szczególnie panoszyła się banda koniokradów dowodzona przez Tekszańczyka Billa Talbota. Bracia Meagherowie dopadli ją pewnego wieczoru podczas hucznej zabawy w saloonie Joe Lowe'a w Delano, dzielnicy czerwonych latarni zaraz za granicą Wichity. Złodzieje stawili opór, ale kiedy Mike Meagher śmiertelnie ranił Billa Talbota, reszta bandy się poddała. Talbot był przyrodnim bratem jeszcze bardziej znanego teksańskiego bandyty Jima Shermana, lecz Meagher nie należał do osób, które obawiałyby się odwetu. Po prostu wykonywał swoją pracę.

Kadencja marszala w Wichicie trwała rok. W roku 1873 Mike Meagher znów wygrał, lecz rok później przegrał nieznacznie z kandydatem wystawionym przez radę miasta, Billem Smithem. W tym samym czasie były burmistrz Jim Hope, hurtownik alkoholu i właściciel najlepiej prosperujących saloonów miasta, został ponownie wybrany na stanowisko. Jego koledzy mogli zacierać ręce.

Po raz kolejny osiągnęli skutek przeciwny do zamierzonego. Przez trzy lata pracy Mike'a Meaghery na stanowisku marszala skarbcie miejskie uzależniły się od grzywien nakładanych na aresztowanych przez niego przestępców. Oczywiście były to sumy mniejsze niż te zarabiane na kowbojach, ale wciąż



znaczące. Bill Smith przymykał oko na większość przypadków łamania praw miejskich i rzadko kogokolwiek aresztował, uważając zapewne, że robi dokładnie to, czego sobie życzą jego przełożeni - ci oficjalni i ci mniej oficjalni.

Tymczasem Mike Meagher dostał pracę jako marshał federalny. Opinia solidnego, skutecznego egzekutora prawa podziałała na jego korzyść.

W czerwcu 1874 roku burmistrz Hope próbował się pozbyć marshala Smitha, ale rada miasta odrzuciła jego prośbę. Smith nadal pełnił swoją funkcję. Miasto podwyższyło wszystkie opłaty licencyjne, by zrekompensować sobie utratę dochodu z grzywien. Pobieranie tych opłat było zadaniem marshala miejskiego. Smith poprosił o pomoc, zatrudniono więc i zaprzysiężono kilku kolejnych funkcjonariuszy. Jednym z nich był młody Wyatt Earp, który po raz pierwszy - choć oczywiście nie ostatni - przypiął do piersi gwiazdę stróża prawa.

Nawet mając ludzi do pomocy, Smith kiepsko sobie radził z egzekwowaniem prawa w mieście. Lepiej poskramiała przestępców i awanturników nieformalna straż obywatelska utworzona przez grupę mieszkańców. W roku 1875, kiedy zbliżała się pora kolejnych wyborów, redaktor miejscowej gazety „The Wichita Eagle” Marsh Murdock namówił Mike’a Meaghery, by raz jeszcze stanął w szranki ze Smithem. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, włodarze miasta znów poparli Smitha, ale jego nieskuteczność i ośmieszenie się w oczach wielu mieszkańców spowodowały, że tym razem los się od niego odwrócił. Różnica ponownie była nieznaczna, tyle że na korzyść Meaghery.

Mike zrezygnował z pracy marshala federalnego i wrócił do miasta. Wyrzucił kilku zastępców i policjantów, którzy pracowali dla Smitha. Wyatta Earpa zostawił. Prawda jest taka, że podejrzewał go o podprowadzanie pieniędzy z opłat licencyjnych oraz grzywien pobieranych w ramach obowiązków zawodowych i planował przeprowadzić w tej sprawie śledztwo. Nim jednak do tego doszło, Earp sam zrezygnował i wyjechał z miasta dalej na zachód, do Dodge City, które było obecnie równie szalonym i niebezpiecznym młodym miastem jak Wichita w początkach swego istnienia.

Teraz, gdy Mike Meagher znów był na stanowisku, a większość ruchu związanego z załadunkiem była przeniosła się gdzie indziej, miasto stało się nieco spokojniejsze. Nadal stanowiło ośrodek przemysłu zbożowego, a krajobraz wokół niego usiany był silosami i spichlerzami. Od czasu do czasu

jednak coś zakłócało spokój, a wtedy do akcji wkraczał Mike Meagher, który wygrywał kolejne wybory. W pewnym momencie, wciąż szukając sposobu na zarobienie kolejnych pieniędzy, władarze miasta postanowili podnieść grzywny nakładane na prostytutki przyłapano na wykonywaniu swego zawodu na ulicy. Ten ruch rozgniewał dziewczyny i ich alfonsów. Sporą część gniewu skierowali na Meaghera, mimo że nie miał on z tą uchwałą nic wspólnego.

Pewnego wieczoru, gdy szedł przez ogródek piwny należący do niemieckiego imigranta Emila Wernera, natknął się na jednego z alfonsów Jima Fishera. Na widok marshala Fisher zerwał się na równe nogi i zaczął go przeklinać. Sporo tego wieczoru wypił i Meagher bez wątpienia zauważył jego stan. Zignorował go więc i szedł dalej. Nie należał do ludzi, którzy zniżają się do wymiany obscenicznych obelg z alfonsami.

Był to jeden z nielicznych błędów Meaghery. Rozwścieczony Fisher wyszarpnął spluwę i strzelił do niego. Pocisk trafił marshala w biodro. Obróciło go, ale zdołał utrzymać się na nogach. Ze stoickim spokojem sięgnął po rewolwer i oddał celny strzał. Fisher padł trupem. Był jednym z trzech ludzi, których Mike zabił w swojej karierze marshala.

Rana się zagoiła, ale od tamtej pory kulał. Nie przeszkadzało mu to w dalszym pełnieniu obowiązków. Do końca 1876 roku Wichita była stosunkowo spokojnym miejscem.

Ale rankiem 1 stycznia 1877 roku Sylvester Powell, znany z ekscesów woźnica dylizansów, odwiązał od pała cudzego konia i odjechał na nim. Zrobił to tak amatorsko, że właściciel zwierzęcia zobaczył go i rozpoznał. Kiedy próbował odzyskać zwierzę, Powell wyjął rewolwer i zagroził, że strzeli, jeśli tamten nie pozwoli mu odjechać. Okradziony zrezygnował, nie chcąc tracić życia w obronie mienia. Zamiast tego doniósł o wszystkim marshalowi.

Meagher jak zawsze bez wahania przystąpił do dzieła. Pojechał za Powellem, który wciąż trzymał skradzionego konia. Marshal aresztował go i odprowadził do aresztu, gdzie złodziej miał siedzieć, póki nie trafi przed sąd. Potem Mike ruszył na swój zwyczajowy obchód.

Nie miał pojęcia, że kiedy on patrolował ulice, w areszcie zjawiał się właściciel firmy dylizansowej, w której pracował Powell. Wpłacił kaucję i zażądał zwolnienia swego pracownika, pokazując papiery podpisane przez miejscowego sędziego. Pilnujący Powella urzędnik nie miał wyjścia - musiał go wypuścić.

Nie wiadomo, co kierowało przedsiębiorcą. Może po prostu wyświadczał przysługę pracownikowi. A może należał do tych, którzy mieli marshallowi za złe zbyt gorliwe egzekwowanie prawa, i chciał wywołać rozróbę. Doskonale natomiast wiadomo, co się wydarzyło po wyjściu Powella na wolność. Woźnica prosto z aresztu udał się do jednego z saloonów i dla kurażu wlewał w siebie kolejne kieliszki trunku. Kiedy był już wystarczająco pijany, wyruszył na poszukiwanie Mike'a Meaghera.

Zapewne zauważył go idącego ulicą i wszedł za nim w alejkę za saloonem Hope'a. Inaczej nie wiedziałby, że marshal znajduje się w wychodku za lokalem. Podszedł, wyjął broń i zaczął strzelać przez drzwi.

Po kilku strzałach był przekonany, że trafił Meaghera. Trzymając rewolwer wymierzony w drzwi toalety, powoli i ostrożnie się do niej przybliżał. Był już niemal przy drzwiach, gdy te się otworzyły i wyskoczył z nich Mike.

Istotnie został trafiony. Jeden z pocisków wbił mu się w udo, ale ominął kość, więc ból był do zniesienia. Na widok rzucającego się ku niemu marszala Powell machinalnie nacisnął spust. Tym razem trafił Mike'a w rękę. Na swoje nieszczęście nie w tę, która trzymała rewolwer.

Meagher strzelił do napastnika, lecz chybił. Powell rzucił się do ucieczki. Ranny marshal mógł jedynie za nim kuśtykać, spowalniany już nie tylko przez starą, ale i nową ranę. Powell dobiegł do końca alejki i skręcił w Douglas Avenue. Odwaga, którą wlał sobie do gardła wraz z whisky, wyparowała. Prawdopodobnie żałował, że zaatakował Meaghera, i miał nadzieję, że marshal jest zbyt ciężko ranny, by kontynuować pościg. Mijając drogerię Hilla, zwolnił. Mimo święta po ulicy kręcili się ludzie; być może nie chciał zwracać na siebie nadmiernej uwagi.

„Powell!”- usłyszał zza pleców głos Meaghera.

Obrócił się i zaczął podnosić broń. Mike jednak wystrzelił, nim przestępca zdążył nacisnąć spust. Kula trafiła koniokrada w serce. Osunął się na ziemię i wyzionął ducha.

Krwawiący z ran na nodze i ręce marshal dokuśtykał do zabitego. Walka, która miała przejść do historii jako noworoczna strzelanina w Wichicie, dobiegła końca.



Meagher wylizał się z ran, ale czasy jego służby na stanowisku marszala dobiegały końca. Wkrótce wraz z żoną wyjechał z miasta i osiedlił się w Caldwell w Kansas, gdzie otworzył saloon, a po pewnym czasie został wybrany na burmistrza. I właśnie podczas sprawowania tej funkcji dopadło go przeznaczenie w postaci człowieka, który miał z nim niezłatwione porachunki.

Był to Jim Sherman, znany też jako Jim Talbot - przyrodni brat koniokrada Billa Talbota, którego Meagher zabił kilka lat wcześniej. Sherman od dawna czekał na szansę wzięcia odwetu. 17 grudnia 1881 roku wraz z kilkoma towarzyszami wjechał do Caldwell i zaczął strzelać na głównej ulicy, by zwabić Meaghera. Był pewien, że były stróż prawa przybiegnie, by pomóc w stłumieniu awantury.

Nie mylił się. Na dźwięk wystrzałów Mike wybiegł ze swego saloonu, pragnąc wspomóc miejscowego marszala. Chwilę później powalił go strzał z karabinu. Mike Meagher skonał na drewnianym chodniku przed operą w Caldwell. Jim Sherman wziął upragniony odwet.

Bandyci stracili tylko jednego człowieka. Pozostali uciekli z miasta. Jakiś czas później Shermana ujęto i przywieziono do Caldwell, by go osądzić za śmierć Mike'a Meaghera. Większość świadków zdążyła już jednak umrzeć lub wyjechać i ostatecznie został uniewinniony. Wyjechał do Kalifornii i żył tam do roku 1926, kiedy to zginął od kuli w tajemniczych okolicznościach. Niektórzy z pamiętających dawne czasy spekulowali, że to John Meagher, brat Mike'a, po tak długim czasie zdołał go pomścić, ale tajemnicy tej nigdy nie wyjaśniono.

Choć Mike Meagher był lepszym stróżem prawa niż większość postaci na Dzikim Zachodzie, stał się sławny głównie dzięki strzelaninie noworocznej, świetnie pokazującej, jak niebezpiecznym miejscem była podówczas Wichita: miejscem, w którym człowiek nie mógł nawet w spokoju odwiedzić wychodka.



## OSTATNIA WALKA MILLERA I FRAZERA

**T**oyah w Teksasie było pod koniec XIX wieku małą osadą, zaledwie przystankiem dla podróżnych. Położona jakieś trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Pecos kolonia mogła się jednak poszczycić kilkoma saloonami, a dla spragnionych kowbojów pracujących na okolicznych ranczach tylko to się liczyło. Było to ich ulubione miejsce rozrywki, więc - co oczywiste - ściągali tu także zawodowi hazardziści, prostytutki i inne charakterystyczne postacie Dzikiego Zachodu.

W pewien wrześniowy dzień roku 1896 jedną z ulic Toyah szedł w kierunku pewnego saloonu wysoki, szczupły mężczyzna w czarnym kapeluszu i równie czarnym surducie. Pod pachą trzymał strzelbę, ale poza tym wyglądał tak łagodnie, że można było go nawet wziąć za pastora. Prawdę powiedziawszy, niektórzy znali go jako „Diakona Jima”, nie dlatego, że rzeczywiście był diakonem, lecz z powodu wyglądu i regularnego uczęszczania na nabożeństwa religijne.

Dziś jednak nie zmierzał do kościoła.

Zdecydowanym krokiem podszedł do wejścia jednego z saloonów i uniósł strzelbę. Saloon miał tradycyjne dwuskrzydłowe wahadłowe drzwi. „Diakon Jim” wsunął podwójną lufę do wnętrza ponad nimi i zajrzał do środka, prawdopodobnie mrużąc oczy, by jego wzrok przywykł do półmroku. Zauważył swoją ofiarę siedzącą przy stoliku karcianym.

„Diakon Jim” bez wahania pociągnął za oba spusty strzelby. Broń huknęła ogłuszająco i pod wpływem odrzutu uderzyła go w ramię.

Tym razem walka miała się skończyć inaczej niż poprzednio.



Wszystko zaczęło się w Pecos, stolicy hrabstwa Reeves, utworzonego w roku 1881 po dociągnięciu do tego obszaru torów linii Texas & Pacific Railroad. W ciągu kilku lat miasto z przystanku z jednym zbiornikiem na wodę stało się tętniącym życiem ośrodkiem oferującym zaopatrzenie ranczom z całego rozległego obszaru zachodniego Teksasu. Pojawiła się potrzeba opanowania tego żywiołu. Jednym z pierwszych szeryfów hrabstwa został Bud Frazer, nieugięty gość, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać i skutecznie egzekwował prawo.

Hrabstwo Reeves było jednak (i nadal jest) spore i nikt nie poradziłby sobie z nim sam, więc Frazer miał kilku zastępców. Od roku 1891 jednym z nich był Jim Miller.

Urodził się w roku 1861 w Van Buren w Arkansas, niedaleko gór Ozark. Był cichym, skromnym młodym człowiekiem, który niewiele mówił o swojej przeszłości - i miał ku temu powód. Pod pozorami spokojnej natury krył się w istocie ktoś, kogo współcześnie nazwalibyśmy socjopatą - człowieka pozbawionego uczuć, potrafiącego zabić bez mrugnienia okiem i bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Ci, którzy poznali go na tyle, by przejrzeć pobożną fasadę, mówili, że to kawał zimnego drania. Ale patrząc na niego, nikt by się tego nie domyślił. Ubierał się elegancko, w elegancki czarny kapelusz i surdut zapięty niemal pod szyję niezależnie od pory roku, nawet w środku upalnego teksańskiego lata.

W późniejszych czasach krążyły pogłoski, że zabił własnych dziadków, gdy miał zaledwie osiem lat. Jego pierwszą udokumentowaną zbrodnią było jednak uśmiercenie szwagra.



---

Saloon w Pecos w Teksasie, w którym w latach osiemdziesiątych XIX wieku grał w faro znany zabójca Jim „Diakon” Miller. Miller (w białym kapeluszu) siedzi przy stoliku w pozycji nietypowej dla rewolwerowca: nie jest zwrócony plecami do ściany *Ze zbiorów Denver Public Library, Western History Collection*

---

Miller miał dwadzieścia dwa lata i już wtedy najchętniej posługiwał się strzelbą. Stanął przed sądem w Arkansas i został uznany za winnego zabójstwa, ale sąd apelacyjny anulował werdykt i Miller wyniósł się do Teksasu, nim prokuratura zdążyła się zastanowić, czy wznowiać proces. Przyjechał do Pecos i dowiedział się, że szeryf Bud Frazer potrzebuje zastępców. Złożył podanie. Frazer zaprzysiął go i dał mu odznakę, choć później miał żałować, że nie zbadał jego przeszłości.

Początkowo większość mieszkańców Pecos lubiła Jima. Był uprzejmy, pięknie się wyrażał, nie upijał się w saloonach ani nie zażywał tabaki. Chodził regularnie do kościoła i wydawało się, że lubi śpiewać hymny razem z resztą wiernych. Na swój sposób przystojny, z ciemnymi włosami i zamaszystym wąsem, z pewnością cieszył się uznaniem matek pragnących wydać córki za mąż.

On sam upodobał sobie niejaką Sallie Clements. Ożenił się z nią i założył

ranczo, nie rezygnując z posady zastępcy szeryfa. Mniej więcej w tym czasie ludzie zaczęli się zastanawiać, skąd wziął pieniądze na ranczo i bydło. Ponieważ niedawno niektórzy z okolicznych hodowców zostali okradzeni, podejrzenie padło na Millera i krewnych jego nowej żony, którzy należeli do porywczych i szybko sięgali po broń.

Nigdy się nie wyjaśniło, czy Miller rzeczywiście kradł bydło. Rodzina Clementsów mimo swoich wad sprawiała wrażenie uczciwej i prawdopodobnie została posądzona niesłusznie. Ale podejrzenia dotyczące samego Millera podzieliły społeczność Pecos. Część mieszkańców nadal wierzyła w jego nieposzlakowany charakter, a część uważała, że choćby wydawał się nie wiadomo jak cywilizowany, w istocie jest oszustem.

Cokolwiek sądził o tym szeryf Frazer, musiał się przyjrzeć zaistniałej sytuacji. Nie mógł pozwolić, by jego zastępcą był człowiek, co do którego istnieją poważne podejrzenia. Z przeprowadzonego przez niego śledztwa wynikało, że Miller nie ma nic wspólnego z kradzieżami bydła w okolicy. Ale zaufanie społeczne zostało już podkopane. Miller miał żal do Frazera, a temu nie podobało się, że jego zastępca uchybił powadze urzędu.

Mimo to wyjeżdżając w sprawach służbowych, Frazer powierzył swoje obowiązki właśnie Millerowi, co okazało się kolejnym błędem.

Jego zastępca odwracał bowiem oczy od przypadków łamania prawa, czym ostatecznie zniechęcił do siebie przychylną mu społeczność miasta.

W Pecos zaczęły krążyć pogłoski, że Miller planuje zabicie Frazera, gdy ten wróci do miasta. Przyjaciele ostrzegli przebywającego w El Paso szeryfa. Plan Millera zakładał, że dwaj jego wspólnicy będą czekali na peronie kolei Texas & Pacific, kiedy zatrzyma się na nim pociąg wiozący Frazera. Udając, że kłócą się ze sobą, wyciągną broń i zaczną strzelać. Oczywiście chybią... tyle że „przypadkowa” kula dosięgnie Frazera, tak by wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek.

Może by się udało, gdyby nie ostrzeżenie. Kiedy jednak pociąg z sykiem zahamował w Pecos, Frazer nie był sam. Razem z nim wysiadło dwóch rośłych facetów, w tym doskonale znany kapitan Strażników Teksasu John Hughes. Zbirom Millera wystarczył rzut oka na obstawę szeryfa, by uznać, że nie chcą mieć z nią na pieńku. Wycofali się dyskretnie. Frazer dostrzegł Millera, podszedł i aresztował go pod zarzutem planowania morderstwa.

Nikt nie chciał zeznawać przeciwko Jimowi, a plotki nie wystarczyły do skazania podejrzanego. Podczas procesu w El Paso został uniewinniony i



wrócił do Pecos, oczywiście już niejako zastępca szeryfa, bo ten wolałby go tam w ogóle nie widzieć.

Kupił w mieście hotel i wydawał się prowadzić uczciwe życie. Frazer nie wierzył w to ani przez sekundę. Miał do niego potworny żal, a oliwy do ognia dolał fakt, że niektórzy plotkowali o całej sprawie za jego plecami. Panowała opinia, że Miller zagrał szeryfowi na nosie, unikając skazania. Gniew narastał i narastał, aż w końcu Frazer nie wytrzymał: wziął rewolwer i poszedł szukać Jima, choć z punktu widzenia prawa nie miał na niego żadnych haków.

Zobaczywszy go na ulicy, zaczął strzelać bez ostrzeżenia. Pierwszy pocisk trafił Jima w pierś, lecz jakimś cudem nie spowodował widocznych obrażeń. Frazer strzelił ponownie, dziurawiąc prawą rękę przeciwnika. Praworęczny Miller musiał niezdarnie sięgnąć lewą ręką do kabury po prawej stronie i wyjąć broń. Nie należał do tych rewolwerowców, którzy równie dobrze strzelają obiema rękami. Lewą szło mu słabo. Pierwszy pocisk zrył jedynie ziemię u stóp Frazera. Drugi całkowicie zoczył z kursu i zranił miejscowego sklepikarza Joego Krausa, który miał nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Kiedy Miller ostrzeliwał wszystko dookoła, Frazer spokojnie celował. Jego pociski uderzały w surdut Millera na wysokości klatki piersiowej, lecz nie czyniły mu krzywdy. Ostatni jednak trafił w brzuch. Miller zgiął się wpół i osunął na ulicę. Frazer schował rewolwer, sądząc, że jest po wszystkim.

I w pewnym sensie było, ale tylko na jakiś czas.

Świadkowie podnieśli zakrwawione ciało Millera i zanieśli do holu hotelowego. Wezwano miejscowego lekarza. Gdy ten odchylił poły surduta, by przyjrzeć się ranom, zdumienie zebranych nie miało granic. Wreszcie zrozumieli, dlaczego Jim nigdy, niezależnie od pogody, nie zdejmuje surduta. Pod spodem znajdował się żelazny napierśnik. To on odbijał pociski Frazera.

Choć rana brzucha okazała się poważna, Miller przeżył i powoli dochodził do siebie. W tym czasie odbyły się kolejne wybory szeryfa. Sprawa z Millerem postawiła Frazera w złym świetle, a fakt, że otworzył ogień bez uprzedzenia - w fatalnym. Przegrał głosowanie i wyjechał z Pecos do Nowego Meksyku. Jim miał z tego pewną satysfakcję. Rozповідаł znajomym, że wysiadał Frazera z miasta, i odgrażał się, że kiedyś na dobre wyrówna z nim rachunki.

Mijały miesiące. Miller wyzdrowiał. Wciąż mieszkał w Pecos, gdy pewnego razu, dzień po Bożym Narodzeniu 1894 roku, Frazer wpadł do

miasta w interesach. Wiedział od przyjaciół o pogroźkach Millera i nie miał wątpliwości, że jeśli na siebie wpadną, ten będzie próbował go zabić. Gdy więc zobaczył Jima idącego ulicą, profilaktycznie wyszarpnął sześćostrzałowiec i sam zaczął strzelać, tak jak poprzednim razem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy pocisk przeszył prawą rękę Millera, więc ten znów musiał posłużyć się lewą, by sięgnąć po rewolwer i odpowiedzieć ogniem. Nie był ani trochę bardziej oburęczny niż pół roku wcześniej, więc jego kule znów latały po całej ulicy, daleko od celu. Frazer trafił go w nogę, lecz Miller wciąż stał. Były szeryf podszedł bliżej, chcąc dopełnić dzieła, i tym samym raz na zawsze zakończyć waśń. Strzelił trzykrotnie... prosto w serce.

Choć to niewiarygodne, nikt nigdy mu nie powiedział, jakim cudem Miller przeżył poprzednią strzelaninę. Frazer musiał zrobić wielkie oczy, gdy trzy strzały oddane w pierś przeciwnika nie przyniosły oczekiwanego skutku, jak gdyby jego kule nie miały się Jima.

Cofnął się zdumiony, po czym zrobił w tył zwrot i czmychnął. Obolały Miller, wiedząc, że lewą ręką nie potrafi strzelać, pozwolił mu uciec.

Tym razem to on zawiadomił stróżów prawa. Miał wielu świadkowie Frazer strzelił pierwszy, więc podał go do sądu. Mimo dowodów ława przysięgłych w El Paso nie zdołała dojść do consensusu i proces musiał rozpocząć się od nowa. Przeniesiono go do Colorado City. Tamtejsi przysięgli uznali Frazera za niewinnego próby zabójstwa. Prawdopodobnie przyczyniła się do tego zła sława Millera, bo same fakty świadczyły na jego korzyść.

Wrogość nie przestawała buzować. Gdy Miller lizał rany, Frazer kręcił się po zachodnim Teksasie i Nowym Meksyku, najprawdopodobniej obwiniając Millera za to, że jego obiecująca niegdyś kariera stróża prawa legła w gruzach. Zaczął przesiadywać w saloonach, pić i uprawiać hazard.

I właśnie w saloonie, w małym miasteczku Toyah, 13 września 1896 roku znalazł go Miller. Nie wiadomo, czy przyjechał tam ze względu na niego, czy też przypadkiem był w Toyah i zauważył Frazera wchodzącego do lokalu. Jakkolwiek było, wykorzystał okazję. Ze strzelbą w rękach podszedł do saloonu i zatrzymał się w wejściu, celując ponad wahadłowymi drzwiami. Wcześniej to Frazer dwukrotnie otwierał do niego ogień bez uprzedzenia. Tym razem Miller się zrewanżował, pakując w niego podwójny ładunek śrutu. Siła strzału zrzuciła nieszczęśnika z krzesła, a karty rozsypały się na stół. W odróżnieniu od przeciwnika, były szeryf nie miał ukrytej zbroi. Strzały

okazały się śmiertelne.

Jim „Diakon” Miller odwrócił się i odszedł.

Wkrótce aresztowano go i postawiono przed sądem za zabójstwo Buda Frazera. Proces odbył się w Eastland w Teksasie i co ciekawe, podobnie jak w procesie Frazera, ława przysięgłych nie zdołała wydać werdyktu. Co więcej, również powtórny proces był lustrzanym odbiciem procesu jego adwersarza: Miller także został uniewinniony.

Kontynuował więc długą karierę bandyty i płatnego zabójcy, która zapewniła mu opinię jednego z najbardziej bezwzględnych morderców na Dzikim Zachodzie. Podejrzewano nawet, że to on został wynajęty do zabicia Pata Garretta, stróża prawa z Nowego Meksyku i zabójcy Billy ego Kida. Nie ma wątpliwości, że w pełni zasłużył na swoją złą sławę.

Szczyście opuściło go jednak w roku 1909, gdy miał osaczyć i zabić pewnego człowieka w Oklahomie. Robota się udała, ale niektórzy z towarzyszących mu ludzi zostali ujęci. Władze wysłały za Millerem grupę pościgową, która wkrótce dopadła go w Fort Worth. Zawieziony do Oklahomy, by stanąć przed sądem, nie wydawał się żywić zbyt dużych obaw o wynik procesu. Nie pierwszy raz sądzono go za morderstwo i za każdym razem wychodził z sądu jako wolny człowiek.

Tyle tylko, że tym razem do procesu nie doszło. Tłum wdarł się do więzienia, w którym osadzono Millera i jego ludzi. Wywleczono czterech więźniów z cel i zaciągnięto do pobliskiej stodoły. Samozwańczy mściciele przerzucili liny przez krokwie, a bandytom założyli na szyje pętle, po czym wieszali jednego po drugim, Millera zostawiając na koniec.

Nawet gdyby żelazna zbroja okrywała go od stóp do głów, nie uchroniłaby go przed przeznaczeniem.



## KULĄ W KULĘ

**T**rudno określić, kiedy tak naprawdę kończy się historia Dzikiego Zachodu. Sporo osób używa jako cezurę początku XX wieku, ale wiele znanych napadów i strzelanin wydarzyło się później. Nawet po zakończeniu pierwszej dekady nowego stulecia w niektórych miejscach jedynym wiarygodnym transportem był ten czworonożny, a ludzie wciąż chodzili uzbrojeni na wypadek kłopotów, bo najbliższy stróż prawa mógł się znajdować o pół dnia drogi, jeśli nie dalej.

Mimo to w roku 1917 okolice miasta Wharton w południowo- -wschodnim Teksasie można było nazwać cywilizowanymi. Stary Dzikie Zachód powinien trwać tam już wyłącznie na kartach historii.

To jednak tylko pokazuje, jak nieprzewidywalne jest życie i jak bardzo pozory mogą mylić. Nazwane na cześć braci Whartonów, którzy walczyli w rewolucji teksańskiej, miasto było stolicą hrabstwa o tej samej nazwie i głównym ośrodkiem hodowli bydła w regionie, zapoczątkowanej przez legendarnego hodowcę Abła Headę „Shanghaia” Pierce’a. Krótco po przełomie wieków we wschodniej części hrabstwa odkryto złoża siarki, co przyczyniło się do napływu ludzi i wzrostu bogactwa okolicy.

Miasto, rzecz jasna, potrzebowało marszala. W roku 1917 stanowisko to piastował W.W. Pitman. Skromny, niewysoki, wolał zapobiegać kłopotom, niż musieć stawiać im czoło, ale odwagi miał niemało, czego dowiódł wieczorem 15 września.

Francisco Lopez był z kolei nieprzyjemnym typem cieszącym się w okolicach Wharton złą sławą. Podejrzany o kilka rabunków, lubił też wypić, a

kiedy wlał w siebie zbyt wiele tequili, stawał się niebezpieczny. Tej nocy poszedł w tango, po czym włóczył się po mieście i strzelał do wszystkiego, co się rusza. Ludzie uciekali w popłochu. Dźwięczało roztrzaskiwane szkło z okien i zaparkowanych wzdłuż ulicy aut. Na razie nikt nie został ranny, lecz wydawało się to jedynie kwestią czasu... o ile ktoś nie zdoła w porę powstrzymać Lopeza.

Tym kimś mógł być tylko marshal W.W. Pitman.

Tak blisko wybrzeża Zatoki Meksykańskiej lato jest duszne nawet nocą. Możliwe, że pot wystąpił Pitmanowi na czoło, gdy szedł ulicą w poszukiwaniu awanturnika. Pewnie łatwo go wytropił, nasłuchując hałasu. Za nim szedł spory tłumek gapiów pragnących zobaczyć konfrontację, która cofnie ich w szalone lata Dzikiego Zachodu.

Pitman prawdopodobnie rzucał na nich przez ramię nerwowe spojrzenia. To byli obywatele jego miasta i miał obowiązek ich chronić. Nie chciał, żeby ktoś został przypadkiem ranny, a było niemal pewne, że Lopez nie da się aresztować bez walki. Oczywiście marshal nie mógł mu pozwolić na demolowanie miasta, bo i wtedy prędzej czy później któraś z kul trafiłaby niewinną osobę.

Znalazł Lopeza na głównej ulicy. Choć rewolwerowiec miał niezłe w czubie, w miarę pewnie trzymał się na nogach. Jego broń chwilowo tkwiła w kaburze, ale w każdej chwili mógł po nią sięgnąć i znów zacząć strzelać, gdzie popadnie. Pitman jednak zwietrzył szansę na ujęcie awanturnika, nim ktokolwiek ucierpi.

Ze swoim zwykłym spokojem podszedł i pozdrowił Lopeza, po czym powiedział, że aresztuje go za zakłócanie spokoju i poprosił, by z nim poszedł. Lopez nie był w nastroju do posłuszeństwa. Roześmiał się drwiąco, zrobił krok do tyłu i sięgnął po rewolwer.

Był znacznie szybszy niż Pitman. Wycelował, nim marshal zdążył wyjąć broń. Pociągnął za spust. Z lufy buchnął płomień. Lopez pociągnął ponownie. Spełniały się obawy Pitmana: kule świszczały mu obok głowy, zagrażając gapiom. Marshal musiał jak najszybciej położyć temu kres.

Wyszarpnął wreszcie rewolwer i strzelił dokładnie w momencie, w którym Lopez po raz trzeci naciskał spust.

Świadkowie mówili potem, że odgłosy dwóch strzałów zlały się w jeden. Chwilę później Lopez krzyknął z bólu, a rewolwer z impetem wypadł mu z ręki i wylądował u stóp. Kiedy awanturnik ze zdumieniem wpatrywał się w

broń, Pitman podszedł, założył mu kajdanki, po czym zaprowadził go do więzienia.

Dopiero później, gdy wrócił po rewolwer Lopeza, odkrył, co właściwie się stało. Wytrącenie przeciwnikowi broni z ręki za pomocą wymierzonego precyzyjnie strzału już i tak byłoby przypadkiem niezwykłym, niemal cudem. Ale to, co tamtej nocy wydarzyło się w Wharton, okazało się jeszcze bardziej wyjątkowe. Pitman nie trafił w dłoń Lopeza, więc poza mrowieniem w palcach - wyszła z walki bez szwanku. Nie trafił nawet w bębenek ani kolbę rewolweru.

Jego pocisk wpadł do lufy!

Co więcej, oględziny wykazały, że Pitman strzelił szybciej: pociski zderzyły się w momencie, gdy ten wystrzelony przez Lopeza opuścił bębenek i znalazł się w lufie. Broń była zdeformowana: lufa wybrzuszyła się w miejscu, w którym kule uderzyły o siebie i się spłaszczyły. Choć wydarzyło się to w schyłkowym okresie ery Dzikiego Zachodu, strzał Pitmana był jednym z najbardziej zdumiewających, jakie oddano w walkach na rewolwery

Oczywiście znaczącą rolę odegrał tu łut szczęścia, ale nie byłoby go, gdyby nie chłodna głowa i pewna ręka marszala W.W. Pitmana, stróża prawa, który dowiódł, że przynajmniej tej jednej nocy w Wharton w Teksasie stary Dzikie Zachód wciąż miał się dobrze.

# BIBLIOGRAFIA

## POJEDYNEK POD BIAŁYM SŁONIEM

Cox, William R., *Luke Short*, „*Tme West*”, September/October 1961.

Cunningham, Eugene, *Courtright the Longhaired*, „*True West*”, June 1957.

Fairly, Bill, *Tales from Where the West Begins: Feud Reached Climax in 1887*, „*Fort Worth Star-Telegram*”, November 13, 1996.

Pirtle, Caleb, *Fort Worth: The Civilized West*, Tulsa: Continental Heritage Press, Inc., 1980. Rosa, Joseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Selcer, Richard F., *Hell's Half Acre*, Fort Worth: Texas Christian University Press, 1991. Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## KRES WARRENA EARPA

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Lawmen*, New York: Crown Publishers, 1980. Murray, Virgil, *Warren Baxter Earp*, „*Wild West*”, August 1998.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

Tefertiller, Casey, *Wyatt Earp: The Life Behind the Legend*, New York: John Wiley & Sons, 1997.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

Turner, Alford E., ed. *The Earps Talk*, College Station: Creative Publishing Company, 1980. Waters, Frank, *The Earp Brothers of Tombstone*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1976.

## OSTATNIA WALKA DOCA

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Lawmen*, New York: Crown Publishers, 1980. Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York:

Dodd, Mead, 1970.

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

Rabinowitz, Harold, *Slack Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

Wallace, Robert, *The Miners*, Alexandria: Time-Life Books, 1976.

## STRZELANINA W SALOONIE LONG BRANCH

Carter, Samuel, III, *Cowboy Capital of the World: The Saga of Dodge City*, Garden City: Doubleday, 1973.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Rosa, Joseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Vestal, Stanley, *Dodge City, Queen of Cowtowns*, New York: Harper, 1952.

## STRZELANINA W TANC BUDZIE TUTTLE' A

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Rosa, Joseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## STRZELANINA W TANC BUDZIE TUTTLE' A

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Secret, William H., „Jim Levy: Top-notch Gunfighter, „True West”, July/August, 1978. Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. II, Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

Wolle, Muriel Sibell, *The Bonanza Trail: Ghost Towns and Mining Camps of the West*, Chicago: Sage Books, 1953.

## POJMANIE „CZARNOLICEGO CHARLEYA” BRYANTA

Breihan, Carl W., *Outlaws of the Old West*, New York: Bonanza Books,



1957.

Drago, Harry Sinclair, *Outlaws On Horseback*, New York: Bramhall House, 1964.

Drago, Harry Sinclair, *Road Agents and Train Robbers*. New York: Dodd, Mead, 1973. Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Raine, William MacLeod, *Famous Sheriffs and Western Outlaws*, New York: Doubleday, 1929.

## WOJNA O STOLICĘ HRABSTWA

Arnold, Anna E., *A History of Kansas*, Topeka: State of Kansas, 1920.

Cain, Del, *Lawmen of the Old West*, Plano: Republic of Texas Press, 2000.

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Lawmen*, New York: Crown, 1980.

Miller, Floyd, *Bill Tilghman: Marshal of the Last Frontier*, Garden City: Doubleday, 1968. Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats*, New York: Metro Books, 1996.

Rosa, Joseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. III. Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

## OSTATNIA AKCJA DALTONÓW

Breihan, Carl W., *Outlaws of the Old West*, New York: Bonanza Books, 1957.

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown, 1995.

Drago, Harry Sinclair, *Outlaws on Horseback*, New York: Bramhall House, 1964.

Drago, Harry Sinclair, *Road Agents and Train Robbers*, New York: Dodd, Mead, 1973. Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown, 1977.

Johnson, Dorothy M., *Western* New York: Dodd, Mead, 1970.

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats*, New York: Metro Books, 1996.

Rosa, Joseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995.

## BAT MASTERSON I BITWA NA PLACU

Carter, Samuel, III, *Cowboy Capital of the World: The Saga of Dodge City*, Garden City: Doubleday, 1973.

DeArment, Robert K., *Bat Masterson: The Man and the Legend*, Norman: University of Oklahoma Press, 1979.

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Lawmen*, New York: Crown Publishers, 1980. Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

Vestal, Stanley, *Dodge City, Queen of Cownowns*, New York: Harper, 1952.

## YOUNGEROWIE KONTRA AGENCI PINKERTONA

Breihan, Carl W., *Outlaws of the Old West*, New York: Bonanza Books, 1957.

Breihan, Carl W., *Younger Brothers*, San Antonio: The Naylor Company, 1961.

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown, 1995.

Drago, Harry Sinclair, *Outlaws on Horseback*, New York: Bramhall House, 1964.

Drago, Harry Sinclair, *Road Agents and Train Robbers*, New York: Dodd, Mead, 1973. Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown, 1977.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

## KONIEC DOBREJ PASSY BANDY SAMA BASSA

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown Publishers, 1995. „Frontier Times”, *Outlaws: Sam Bass*, <http://www.frontiertimes.com/outlaws/Aiass.html> Handbook of Texas Online, *Sam Bass*, <http://www.tsha.utexas.edu/handbook/online/articles/view/BB/fbaab.html> Hendricks, George, *The Badman of the West*, San Antonio: The Naylor Company, 1970. Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown Publishers,

1977. Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Robinson, Charles M., Ill, *The Men Who Wear the Star: The Story of the Texas Rangers*, New York: Random House, 2000.

*The Story of Sam Bass*, <http://www.ci.round-rock.tx.us/planning/rrcollection/mainstreet/sambass/>

## POŚCIG W DIABLO CANYON

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Rosajoseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. II. Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY PEZESTĘPCA KALIFORNII

Berton Mills Tibbet, [http://www.ci.bakersfield.ca.us/police/Chiefs/Berton\\_MiUs\\_Tibbet.htm](http://www.ci.bakersfield.ca.us/police/Chiefs/Berton_MiUs_Tibbet.htm) Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown, 1977.

Packard, ThomasJ. & Tibbet, William E., <http://www.camemorial.org/htmlprev/packard.htm> Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Porterville Celebrating 100th Birthday, Visalia Times-Delta, <http://www.visaliatime-sdelta.com/communities/sesquicentennial/200207713/292948.html> Thomas Jefferson Packard, [http://www.ci.bakersfield.ca.us/pohce/Chiefs/Thomas\\_Jefferson\\_Packard.htm](http://www.ci.bakersfield.ca.us/pohce/Chiefs/Thomas_Jefferson_Packard.htm)

## STRZELANINA W KAMIENNYM KORRALU

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown Publishers, 1995.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Smith, Wallace, *Prodigal Sons*, Boston: Christopher Publishing House, 1951.

## BANDA DOOLINA KONTRA MARSHALE FEDERALNI

Breihan, Carl W., *Outlaws of the Old West*, New York: Bonanza Books, 1957.

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown Publishers, 1995.

Drago, Harry Sinclair, *Outlaws on Horseback*, New York: Bramhall House, 1964.

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown, 1977.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Kerr, William Ray, *In Defense of Ingalls, Oklahoma*, „True West”, October 1964.

Miller, Floyd, *Bill Tilghman: Marshal of the Last Frontier*, Garden City: Doubleday, 1968. Raine, William MacLeod, *Famous Sheriffs and Western Outlaws*, New York:

Doubleday, 1929.

Terrell, Ron, *Heck Thomas*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982. Terrell, Ron, *The Dalton-Doolin Gang*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

## NIEUDANY NAPAD NA BANK

Lyttle, R. G., *The Meeker Bank Robbery October 13, 1896*, „The Rio Blanco Historical Society”, May 1965.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

## POJMANIE „CZARNEGO JACKA” KETCHUMA

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown Publishers, 1995.

Hovey, Walter C., *Black Jack Ketchum Tried to Give Me a Break!*, „True West”, March/ April 1972.

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Romero, Trancito, *I Saw Black Jack Hanged*, „True West”, September/October 1958. *Tom Black Jack! Ketchum*,

[http://www.geocities.com/folsom\\_musemri/ketchum.html](http://www.geocities.com/folsom_musemri/ketchum.html)

## KRÓL NAPADÓW NA BANKI

Adelsbach, Lee, *Henry Starr: Thumbs Up and Stand Ready!*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

Bruns, Roger A., *The Bandit Kings*, New York: Crown Publishers, 1995.

Drago, Harry Sinclair, *Outlaws on Horseback*, New York: Bramhall House, 1964.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Shirley, Glenn, *Henry Starr: Last of the Real Badmen*, New York: David McKay, 1965. Young, Richard, and Dockery Young, Judy, eds., *Outlaw Tales*, Little Rock: August House, 1992.

## SZWINDEL W EXPRESS COMPANY

Anderson, H. Allen. McGee, Thomas T. „The Handbook of TexasOnline”, <http://www.tsha.utexas.edu/handbook/online/articles/view/MM/Patterson>, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Stanley, F. (Stanley F. Crocchiola), *Rodeo Town (Canadian, Texas)*, Denver: World Press, 1953.

## SZWINDEL W EXPRESS COMPANY

*Bob Ford: Dirty Little Coward*, [http://ri.essortment.com/-bobfordjesse\\_rzfk.htm](http://ri.essortment.com/-bobfordjesse_rzfk.htm) *Cloud, Jim, Dead: The Man Who Killed the Man Who Killed Jesse James*, <http://www.theoldwestwebride.com/txtlA/edkelly.html>

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Outlaws*, New York: Crown Publishers, 1977. Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Terrell, Ron, *The James/Younger Gang*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

## UPEWNIJ SIĘ, ŻE NIE ŻYJE!

Boren, Kerry Ross *Jack Slade's Grave Located*, „Frontier Times”, April/May 1976.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970. Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Rosajoseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995. Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*,

Vol. III. Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

## TAJEMNICZA ŚMIERĆ PATA GARRETTA

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.  
Hurst, James W., *The Death of Pat Garrett*, <http://www.southernnewmexico.com/snm/garrett.html>

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985. Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

## ZASŁUŻONY KONIEC JOHNA WESLEYA HARDINA

Carter, Harlon, *Henry Selmán*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

Hardin John Wesley, *The Life of John Wesley Hardin, as Written by Himself* Norman: University of Oklahoma Press, 1961.

Horan James D., *The Authentic Wild West: The Gunfighters*, New York: Crown, 1976.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Lachuk, John, *John Wesley Hardin*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

Marcello, Patricia Cronin, and Hart, Louis, *Did Gunfighters Hickok and Hardin Have a Showdown in Abilene?*, „*Wyścig o Wschód*”, April 1998.

Metz, Leon, *John Wesley Hardin: Dark Angel of Texas*, Norman: University of Oklahoma Press, 1996.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

Raine, William MacLeod, *Famous Sheriffs and Western Outlaws*, New York: Doubleday, 1929.

Robinson, Charles M., Ill, *The Men Who Wear the Star: The Story of the Texas Rangers*, New York: Random House, 2000.

Trachtman, Paul. *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## BEN THOMPSON I ZASADZKA W VAUDEVILLE

Breihan, Carl W., *Outlaws of the Old West*, New York: Bonanza Books,

1957.

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Horan James D., *The Authentic Wild West: The Gunfighters*, New York: Crown, 1976.

Johnson, Dorothy M., *Western Badmen*, New York: Dodd, Mead, 1970.

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.

Rosajoseph G., *Age of the Gunfighter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995.

Streeter, Floyd B., *Ben Thompson: Man with a Gun*, New York: Frederick Fell, 1957.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## TO NIE BYŁ CLAY ALLISON

Hendricks, George, *The Badman of the West*, San Antonio: The Naylor Company, 1970.

McLoughlin, Denis, *Wild & Woolly: An Encyclopedia of the Old West*, Garden City: Doubleday, 1975.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York, Metro Books, 1996.

Stanley, F. (Stanley F. Crocchiola), *Clay Allison*, Denver: World Press, 1956.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## TRAGICZNA POMYŁKA „DZIKIEGO BILLA”

Adare, Sierra, *Interview: Joseph G. i?0M, „Wild West”*, April 1998.

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Dunham, Jim, *James Butler Hickok: Prince of Pistoleers*, „Guns and the Gunfighters”, New York: Bonanza Books, 1982.

Hart, Louis, *Wild Bill Hickok Had a Way with Six-Shooters*, „Wild West”, April 2000.

Horan James D., *The Authentic Wild West: The Gunfighters*, New York: Crown, 1976.

Marcello, Patricia Cronin, and Hart, Louis, *Did Gunfighters Hickok and Hardin Have a Showdown in Abilene?*, „Wild West”, April 1998.

O’Conner, Richard, *Wild Bill Hickok*, Garden City: Doubleday, 1959.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of*

*the West*, New York, Metro Books, 1996.

Raine, William MacLeod, *Famous Sheriffs and Western Outlaws*, New York: Doubleday, 1929.

Rosa, Joseph G., *They Called Him. Wild Bill: The Life and Adventures of James Butler Hickok*, Norman: University of Oklahoma Press, 1974.

Rosa, Joseph G., *Wild Bill Hickok: The Man and His Myth*, Lawrence: University Press of Kansas, 1996.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

Young, Richard, and Young, Judy Dockery, eds. *Outlaw Tales*, Little Rock: August House, 1992.

## PECHOWY NAPAD ROURKE'A

Carter, Samuel, III, *Cowboy Capital of the World: The Saga of Dodge City*, Garden City: Doubleday, 1973.

DeArment, Robert K., *Bat Masterson: The Man and the Legend*, Norman: University of Oklahoma Press, 1979.

Horan, James D., *The Authentic Wild West: The Lawmen*, New York: Crown Publishers, 1980.

Rabinowitz, Harold, *Black Hats and White Hats: Heroes and Villains of the West*, New York: Metro Books, 1996.

Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. II, Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

Vestal, Stanley, *Dodge City, Queen of Cowtowns*, New York: Harper, 1952.

## NOWOROCZNA STRZELANINA W WICHICIE

Drago, Harry Sinclair, *The Legend Makers*, New York: Dodd, Mead, 1975.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. II, Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

## OSTATNIA WALKA MILLERA I FRAZERA

Metz, Leon Claire, *The Shooters*, New York: Berkley Books, 1996.



Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Pool, William C., *A Historical Atlas of Texas*, Austin: Encino Press, 1975.

Trachtman, Paul, *The Gunfighters*, Alexandria: Time-Life Books, 1974.

## **KULA W KULE**

Anonim, *The "Five States" Guide to Texas*, Dallas: Five States of Texas, Inc., 1963.

Patterson, Richard, *Historical Atlas of the Outlaw West*, Boulder: Johnson Books, 1985.

Pool, William C., *A Historical Atlas of Texas*, Austin: Encino Press, 1975.

Thrapp, Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, Vol. III, Lincoln: University of Nebraska Press, 1988.

## O AUTORZE



James Reasoner jest autorem powieści *Cossack Three Ponies* i *Under Outlaw Flags*, wydanych przez Berkley Books i nominowanych do Spur Award; serii *Civil War Battles*, dotyczącej wojny secesyjnej, a także cyklu *The Last Good War*, poświęconego drugiej wojnie światowej. Od ponad 25 lat zawodowo trudni się pisarstwem. Pisał wszystko - od kryminałów po science fiction i fantasy. Jako człowiek od urodzenia związany z Teksasem żywi głębokie i niesłabnące zainteresowanie historią Dzikiego Zachodu. Mieszka w małym miasteczku z żoną Livią, także nagradzaną autorką kryminałów i powieści z dziejów amerykańskiego zachodu, znaną jako L.J. Washburn, oraz dwiema córkami.

*Najsłynniejsze strzelaniny Dzikiego Zachodu* to jego pierwsza książka niebeletrystyczna.

---

[1]

Marshal - na Dzikim Zachodzie funkcjonariusz zajmujący się egzekwowaniem prawa w mieście (marshal miejski) lub na większym obszarze, zależnie od nadanych kompetencji (zwany tu marshałem federalnym). Pełni podobną funkcję jak szeryf, tyle że ten ostatni ma pod opieką konkretne hrabstwo (przyp. tłum.). [↵](#)

---

[2]

Początkowy skrót od pierwszych liter trzech stanów - MKT - ewoluował w lepiej brzmiące K-T, a stąd już prosta droga do jakże wdzięcznego - the Katy (przyp. red.). [↵](#)

---

[3]

Long Branch - dosłownie „Długi Konar”, choć biorąc pod uwagę, że nawa nawiązuje do kształtu sali, po polsku powiedzielibyśmy raczej „Kiszka” (przyp. tłum.). [↵](#)

---

[4]

Brankard - rodzaj zadaszzonego wagonu towarowego, przeznaczonego dla obsługi pociągu (przyp. red.). [↵](#)

---

[5]

Słowo „bat” oznacza m.in. kij (przyp. tłum.). [↵](#)

---

[6]

Jedno ze znaczeń angielskiego słowa *sand* to „determinacja” (przyp. tłum.). [↵](#)

---

[7]

Nazwa pochodziła od nazwy stanu Oklahoma i hiszpańskiego *hombres* oznaczającego mężczyzn, ludzi [przyp. red.]. [↵](#)

---

[8]

Niezwiązanej z bandą Doolina, która również nosiła ten przydomek [przyp. tłum.]. [↵](#)

---

[9]

Pagórek o płaskim szczycie i stromych zboczach, charakterystyczny dla krajobrazu Dzikiego Zachodu (przyp. red.). [↵](#)

---

[10]

Były to torby wykonane z tkanin przypominających dywany (przyp. red.). [↵](#)

Jednym z najbardziej rozpowszechnionych obrazów z Dzikiego Zachodu jest pojedynek, w którym dwaj stojący naprzeciwko siebie mężczyźni na dany sygnał wyszarpują broń z kabur i strzelają do siebie.

Niektórzy historycy twierdzą, że takie zdarzenia nigdy (!) nie miały miejsca. Źródła z tamtego okresu świadczą o czymś zupełnie innym.

Pojedynki uliczne nie były oczywiście tak częste, jak sugeruje to współczesna fikcja, ale jeśli nawet są mitem, to niepozbawionym ziarna prawdy...



Jeden dzień, jedna walka, jeden incydent mogą zrodzić legendę. Wystarczy być tam, gdzie tworzy się historia, by samemu trafić do annałów. Z drugiej strony, nieobecność we właściwym miejscu o właściwej porze może sprawić, że szansa zostanie niemal nieodwracalnie zmarnowana. Weźmy przypadek Warrena Earpa...

Kres Warrena Earpa ★ Ostatnia walka Doc'a Hollidaya

Pościg w Diabło Canyon ★ Bitwa Masterson i bitwa na Placu

Strzelanina w tancbudzie Tuttle'a ★ Ostatnia akcja Daltonów

Youngerowie kontra agenci Pinkertona ★ Strzelanina w Kamiennym Korralu

Tajemnicza śmierć Pata Garretta ★ Tragiczna pomyłka „Dzikiego Billa”

Człowiek, który zabił zabójcę Jessego Jamesa

Patronat medialny:

[astrahistoria.pl](http://astrahistoria.pl)

Historia w najlepszym wydaniu

Zapraszamy na strony: [www.astrahistoria.pl](http://www.astrahistoria.pl), [www.facebook.com/WydawnictwoAstra](https://www.facebook.com/WydawnictwoAstra)

Na okładce: Aktorzy wcielający się w role Wyatt'a Earpa i jego braci w Tombstone na Dzikim Zachodzie  
© Dreamstime, Mikael Males

Zdjęcie w tle: ulica w Tombstone © shutterstock.com, Zack Frank



**ASTRA**  
WYDAWNICTWO

[www.wydawnictwoastra.pl](http://www.wydawnictwoastra.pl)

